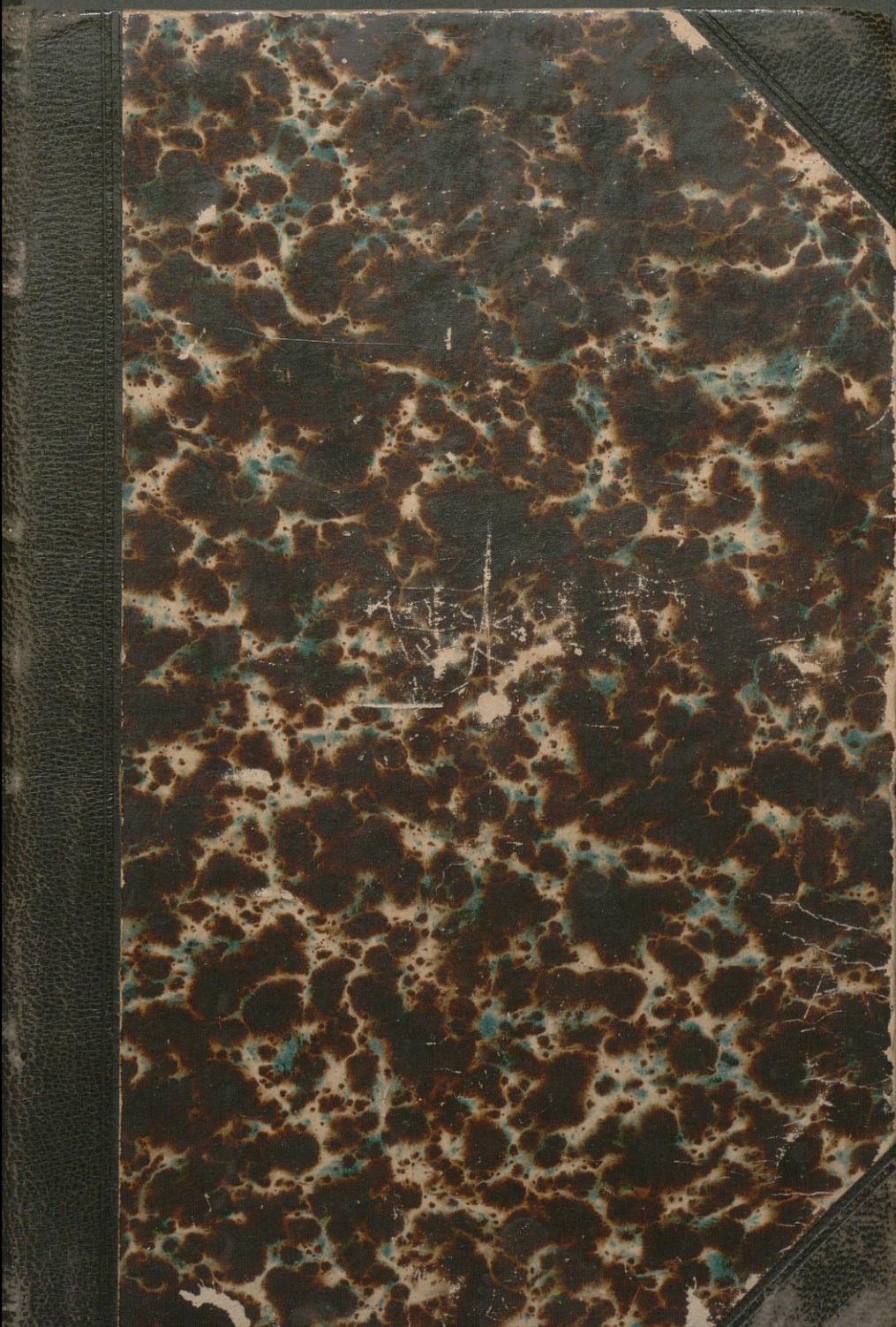
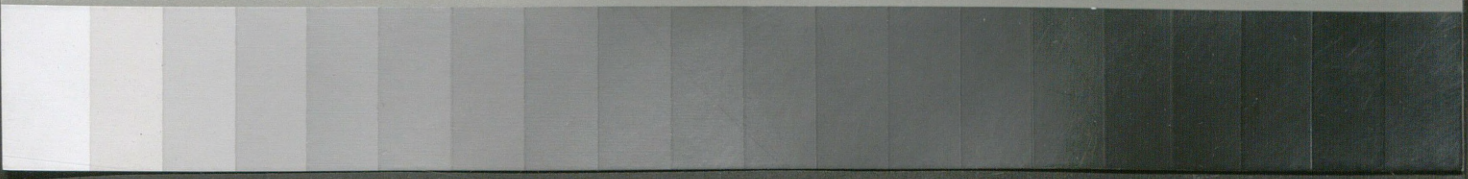


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Centimetres

Inches





TEKA NIECZUI

TEKA NIECZUI

POŚLANIE JMĆ PANA NIECZUI DO MAŁYCH POLAKÓW
I CZERWONYCH RUSINÓW, A KTÓRE TEŻ I WIELCY POLACY
NA CZAS SOBIE CZYTAĆ MOGĄ, DLA ZBUDOWANIA
I DLA KROTOCHWILI

TOM I

PARYŻ

1883



Nie samym chlebem człowiek żyć będzie, ale każdym słowem, pochodzącym przez usta Boże.

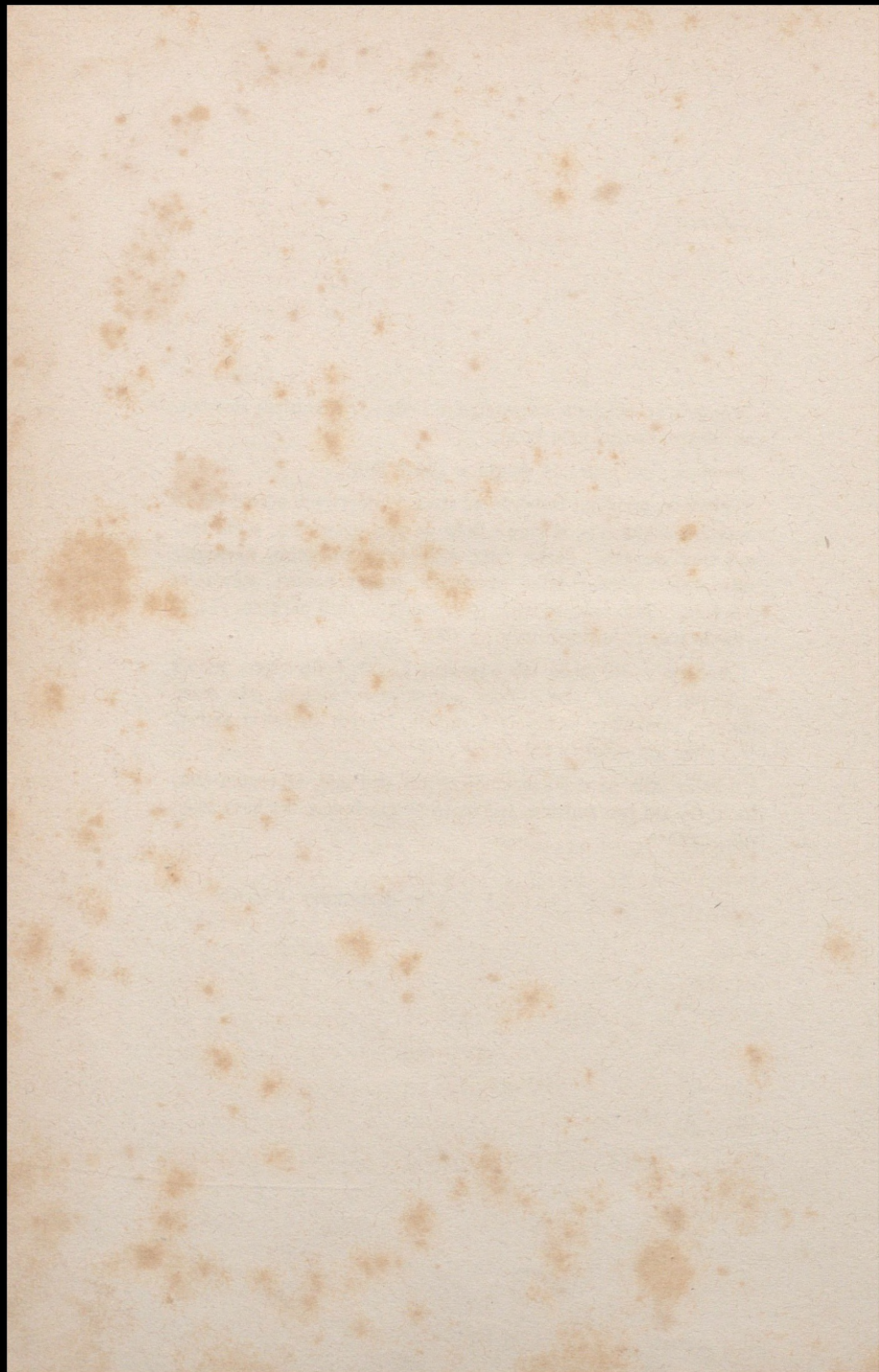
Mówicie : nie jesteśmy głodni w słowo Boże. . .

Niebożęta, oszukani jesteście od złych i fałszywych predykantów waszych. Rozumiecie, iż słowo Boże do was przynoszą, a oni trucizną was zarażają. Farba tylko chleba na wierzchu, wewnątrz zbutwiałość szczerą; tylko skóreczka jagody winnej, wewnątrz żółci pełno. Jad smoczy wino ich i trucizna zmij okrutna. Takie są nauki wasze, mili heretycy. . .

I rzekłem : nie będę ich wspominał, ani będę więcej mówił w imieniu ich; ale słowo Boże jest w sercu mojem, jako ogień palący, zamknięty w kościach moich, którym usiłowałem zatrzymać, ale nie mogłem.

A który idzie za mną, mocniejszy jest nad mię, któregom obuwia nosić nie jest godzien, ten was chrzcić będzie Duchem świętym i ogniem.

X. FABIAN BIRKOWSKI (*Kazanie*).



Niech będzie pochwalony Pan Jezus!

A naprzód muszę Waszmości powiedzieć, że nim się zabrałem do tego pisania, jako to pióro nie bywało mojem rzemiosłem, chciałem znaleźć którego z przednich pisarzy polskich, coby to za mnie napisał, albo przynajmniej skorygował moje pisanie. Ale, mówiąc *inter nos*, niewielu ich tu jest między nami. Jednych bowiem żartka fantazyja na drodze ich żywota poniosła i przysporzyła im grzeszków, za które teraz pokutują w czyściu; drudzy, obok zdrowego ziarna, ponasiewali zgorzenia, co tutaj surowo się karze; innych zaś pycha pogubiła. Pan Mickiewicz tu jest. Towiańszczyznę mu przebaczone, bo w złej i dobrej doli, ani zacności swojej nie skaził, ani wiary nie stracił, a zawsze wielkiem sercem miłował ludzi, co tutaj z woli Najwyższego bardzo wysoko się pisze. A przeto u Błogosławionych i Świętych Pańskich w wielkiem

jest zachowaniu — a cóż dopiero u nas, którzyśmy się dopiero niebieskiego przedsonka dobili. Ale, kiedyś się z tym moim projektem pisania jemu poklonił, jeszcze się na mnie ofuknął, mówiąc swoim litewskim akcentem, który i tutaj zachował:

— A daj-mi tam Waszmość święty pokój z pisaniem! Ażaż-to nie wiesz, jak mnie Pan Tarnowski sponiewierał w Warszawie za to, com pisał na ziemi? Jeszczeż mi in pisma posyłać z nieba, aby się bakalarze nad niemi zdziwiali ku ucieszeniu Moskali! Pisz Wasze sam jako umiesz, a jak mądrze a zacnie napiszesz, to i tak przeczytają.

Poszedłem tedy jak zmyty i wcale już nie miałem odwagi tentować szczęścia u owych-to duchownych i świeckich uczonych naszych, których tu mamy zastęp tak piękny, że prawieby nim można nakryć kilka chorągwi. Aż tu mi drogę zachodzi Xiądz Podkanclerzy, który w pisarstwie polskim także nie poślednie zajmował miejsce. Więc do niego po radę, a on mi rzecze:

— A toż-to Waść chyba oszalał nam się dać korygować, którzyśmy za Stanisława Augusta albo też za Xięstwa Warszawskiego pisali. Czyż-to Waść nie wiesz, że to my właśnie, jakeśmy się wzięli do polerowania języka, takeśmy i barwę narodową zeń starli, a niebawem już bylibyśmy i ducha narodowego zeń wypolerowali. Na szczęście przyszli po nas pisarze « smorgońskiej szkoły », jak ich stary Koźmian nazywał, i język nasz, a i jeszcze co więcej uratowali. Za waszych czasów język był barbarzyńską łaciną dużo skażony, ale żyły w nim jeszcze lepszych wieków tradycje i żywo tętnił duch narodowy. Pisz Wasze tak, jakeś rozmawiał z sąsiady i po konfederackich perorował

obozach, a na tem i to jeszcze zarobisz, że cię każdy pacholek zrozumie, o co też głównie dziś chodzi.

Tymczasem na to zjawił się Wężyk Kasztelan i zaraz, poprawiwszy złotych okularów, a swoją czerwoną trzcinę ze złotą gałką podniósłszy do góry, surowo spojrzal na X. Hugona, ale jako to zawsze niewyczerpanej dobroci ma serce, wprędce się udobruchał, grożąc trzciną i mówiąc :

— A jak to dobrze, że Pana Trembeckiego tu niema, miałbyś Waszmość z nim za to niepoczesną rosprawę.

Zaczem X. Podkanclerzy się tylko uśmiechnął, bo wiedział, że zacny Kasztelan oddał był palmę romantykom za życia, lubo pod koniec znowu się był w klasyczne herezycy uplątał, a potem do mnie :

— Nie pisać trzeba, lecz gromić. Ale jakże to Waszmość się chcesz zapatrywać na rzeczy: czy tak, jak je dziś wszyscy widzimy, czy też tak, jak je widziałeś za życia?

A przytem podparł ręką podbródek, jak to czynił zazwyczaj, kiedy się oddawał reflexyi, i patrzył mi w oczy. A ja na to :

— Chowaj że mnie Boże, ażebym czynności pokoleń dzisiejszych miał mierzyć łokciem naszych czasów zamierzchłych. Ale są prawdy i prawa, które stanowią duszę narodu, a te są niezienne i wieczne. Wprawdzie X. Dutkiewicz, ex-Jezuita, który mnie wychowywał, wyrobił mi był pewne *punctum* widzenia, którego przez długie czasy nie mogłem się pozbyć. Ależ-to ja nietylko w Konfederacyi służyłem, gdzie X. Marek prawil nam duby smalone, jako Polska cudem będzie zbawiona i « dekret w niebie już jest podpisany. » Przecież już Konstytucyą Trzeciego Maja podpisałem krwią moją — a potem

przez wiele lat wiały chorągwie nad głową moją, których hasłem była « wolność narodów », i tak doniosłem szablę moją do Lipska. Jadłem też różnemi czasy gorzki chleb wygnania i byłem, jak Waszmość, kałauzowany, przez Niemców, toż i tam czegoś się nauczyłem w cierpieniu. Nie dostało mi się, jako owemu Doliwczykowi, takie «szalone szczęście» w udziale, «że cierpiał za ojczyznę i to w miarę, nie dość mało, żeby być śmiesznym, ani dość wiele, żeby na prawdę być nieszczęśliwym», ale prawdziwa łaska Boża spłynęła na mnie, bo cierpiałem jak Job i moję krew własną przelewałem *usque ad finem*. Za co tam inni się bili, nigdym o to nie pytał: ja się biłem za Polskę. A tak przez całe pół wieku, Bóg mi jest świadkiem, żadnemu innemu Panu nie służyłem jak mojej Ojczyźnie, od której też nigdy nic nie żądałem. A to jest moje *punctum* widzenia.

Zaczem X. Podkanclerzy się rozweselił i rzekł mi:

— Tedy tak dobrze. A jak się Waś kiedy w jakie subtelności uwikłasz, wówczas do mnie po radę, a ja ci te rzeczy wyjaśnię.

Właśnie mu chciałem powiedzieć, że się w żadne subtelności uwikłać nie mogę, bo tylko to chcę spisać, cośmy tu między sobą różnemi czasy mówili, a tu i ówdzie jaki obrazek dorzucić, któryśmy własnemi oczyma widzieli, kiedy Kasztelan zbliżył się do mnie, mówiąc:

— A co to tam Waszmość pisać zamyślasz? Bo to i ja nieraz gorzkie łzy płaczę nad tem, co się dziś dzieje w mojem mieście rodzinnem: ale znów z drugiej strony niełatwe to jest zadanie, bo są pewne względy...

A tak mówiąc, wziął mnie pod ramię i zaczął mi

szeptać. A X. Podkanclerzy wziął mnie z drugiej strony pod ramię: jako to Polacy nawet i w niebie nie mogą się odzwyczaić od tego nieszczęsnego szeptania.

Więc tedy spór. Ten radzi to, a ten owo. Aż nareszcie rzecze Kasztelan:

— Uważaj dobrze, bo jeśli pójdziesz za radą X. Hugona, to pamflet napiszesz.

Nuż tedy ja w niego:

— Otóż to racya. A czyż-to Jegomość nie wiesz, że każdy utwór sztuki, którego zamiarem jest wypowiedzieć prawdy polityczne albo społeczne dla żyjących pokoleń, jest pamfletem? Ażaż to Komedia Boska i Nieboska nie były pamfletami? A zresztą nic mi na tem: kto sobie włożył pamflet w kołyskę, ten może wziąć pamflet do grobu.

Nuż znowu spór. A wtedy już się ich siła nagromadziło koło mnie. Ten prawi tak, a ten owak, a nie masz dwóch, którzyby się od siebie nie różnili choćby małym odcieniem. A którzy się już zgodzili ze sobą, to im to tak dziwno, że sami temu nie wierzą. Tak to nasze wady ziemskie odzywają się czasem u nas i w niebie: jeno że grunt jest jeden pomiędzy nami. Bo jużci tu niemasz innych jak tylko zacni i z wątpliwości ziemskich oczyszczeni. Wszyscy są dobrej woli i wiary i żaden z nich się, ani o marszałkowstwo, ani o ministerstwo nie stara, więc nie potrzebują nie udawać. Żaden z nich nie ma dóbr ziemskich pod rządem moskiewskim, żaden nie suplikuje o dyrekcją teatru we Lwowie, w Krakowie, lub w Warszawie, a licho mu tam po jakimkolwiek tytule albo orderze, więc nie potrzebuje

mieć względu na nikogo. To też warto było posłuchać co powiadali, zwłaszcza że huczek się zrobił maleńki jakoby na sejmiku, gdzieby sascy byli w zgodzie z familiją, co się nie zdarzało na ziemi. Przyszło nawet do tego, że jeden z nich (pewno ma syna, albo wnuka w partyi Krakowskiej) zbliżył się do mnie i rzekł niecierpliwie:

— A jakim-to prawem Waszmość chcesz publikować na ziemi, co się tu dzieje pomiędzy nami?

Tenby i w niebie chciał zaprowadzić cenzurę. Więc drudzy w niego, zaczęm się gwar jeszcze bardziej rozbrzęczał. Wszelako wtedy Pan Mickiewicz mi się pokazał, spojrzął na mnie znacząco, lewe oko przymrużył i rzekł:

— Pal Tadeuszu, jak do jasnej świecy!

Zaczem cisza zaległa, jak mak siał, i nie było już oppozycyi.

Tak tedy powstały te listy, które Waszmości z pozdrowieniem posyłam.

Przeczytawszy, zechciej je skorygować, ano nie tak jak gazeciarze krakowscy skorygowali przemowę Ojca Świętego, Piusa, do polskich pątników, że aż Ojciec Święty całe z niej zniknął, a jeno Pan Popiel się został; albo też jak «Przegląd Polski» koryguje rękopisma, które mu zacni ludzie przysyłają, wykreślając z nich miejsca co lepsze i mówiąc: «że się to opuszcza, jako już znane.» Miałbym moje pisanie takiej poddawać korekcie, to raczejbym je posłał do moskiewskiej cenzury, przynajmniejby mnie takie krajanie, jako od ręki obcej, nie tak bardzo bolało. Albo już lepiej wcale nie koryguj, chyba tam co w interpunkcyi.

A potem daj to do druku.

LIST PIERWSZY

Zdaje się roku 1869.

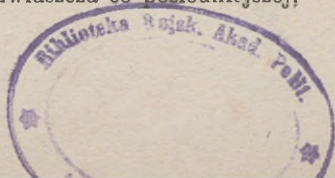
Zaczynam tedy moją rzecz od początku.

Bo trzeba Waszmości wiedzieć, że my się tu zawsze razem trzymamy: Konfederaci Barsecy i Kościuszkowscy, Legionisci, Posłowie i żołnierze z Listopadowego Powstania, wygnańcy sybirscy i więźniowie niemieccy, tułacze nasi ze wszystkich części świata, prześladowani za ojczyznę i wiarę, pozabijani unicy, cierpiącego ludu naszego óma wielka i nieszczęśliwych a zacnych tłumy nieprzeliczone. Trzymają też z nami Błogosławieni z pokoleń innych, drudzy się do nas spuszczaają z warstw wyższych: więc kaznodzieje nasi z wieków dawniejszych, Czarnieckiego żołnierze, albo też w wojnach przeciwko Turkom polegli, i zabawiają się z nami, dziwując się nam, żeśmy-to tyle za ojczyznę cierpieli i jej wszystko oddali, chociaż już wtedy starostw nie miała, a *panis bene merentium* to były kajdany i lody sybirskie. A zachodzą do nas na

czas i cudzoziemcy, którzy się miłością dla Polski wsławili, albo też dla niej cierpieli: więc Anglicy i Francuzi, Niemcy, Węgrowie i Włosi, tu i ówdzie, który Rosyanin się do nas przytuli, jenośmy jeszcze żadnego Czecha tu nie widzieli. Zacność tutaj jest wielka, spokój duszy niebieski, cisza grecka, chociażśmy dopiero w przedsionku szczęśliwości wiecznej: do nieba jeszcze od nas daleko, czyściec tuż pod naszymi nogami, nawet i piekło zdaleka widzimy, — a wszelka żywołów rozterka tak nas dotyka, jakbyśmy jeszcze żyli na ziemi. Chociaż ciał naszych na sobie nie mamy, brak ich nam się uczuwać nie dawa; owszem, lżej nam tak, bo namiętnościom ludzkim nie ulegamy, a pozostało nam tylko ich rozumienie. Wszelako każdy tak się tutaj przedstawia, jako był w najważniejszej chwili swojego życia: więc Biskupi we fioletach, żołnierze w mundurach, a my w naszych konfederackich kontuszach. Młody Zawisza w burce krymskiej, a Pan Lelewel w kaszkieciku, w bluzie i w szaraczkowym płaszczyku, a zawsze z wiązcami pod pachą. Różnicy stanów tu nie ma, wszyscy równi; ale że każdy jest tu sądzonym wedle tego, czem był i jakim był na swoim urzędzie, więc też chowa się między nami naszej przeszłości wspomnienie: jeno że miejsce, jakie tu każdy zajmuje, odmierzone jest tylko jego cnotami. To też nieraz widzimy, jako ten który był Senatorem, niziuchno się nosi przed kmieciem, a ów drugi, co był Hetmanem, ugina czoło w pokorze przed swoim własnym żołnierzem, bo kmieć i żołnierz, w poszarpanem odzieniu i ziewającym obuwiu, więcej cierpieli i tęższego hartu duszy dali dowody, zanim, w głodzie i biedzie a bez szemrania, donieśli dusze swoje

do nieba, niżeli Senator i Hetman. A tak każdy jest tutaj pokornym, pokora każe każdemu mieć siebie za nic, a dać drugiemu miejsce przed sobą, i w tej-to pokorze mamy tu naszą hierarchiję, którąśmy sami sobie stworzyli. A postawiliśmy na jej czele naszych najpierwszych męczenników za ojczyznę i wiarę, których jeszcze przed naszą konfederacją Moskwa kazała porwać i wywieźć na męki, a którym się przeto i tutaj pierwszeństwo należy. Około tego tronu gromadzimy się na nasze sejmiki, gdzie nas dochodzą wieści o tem, co się dzieje na naszej ziemi, na nasze duchowe ćwiczenia, gdzie się oświecamy wzajemnie, na nasze modły, któremi usiłujemy uprosić zbawienie dla naszej ziemskiej ojczyzny. A jesteśmy tu jako cienie, które się tylko tam jawią, gdzie światłość, a znikają w obec ciemności, widne dla godnych zawsze i wszędzie, a dla niegodnych niema ich nigdzie. A na tem niechaj dosyć ci będzie: bo jeżeliś jest godnym, to i bez tego nas zawsze widzisz nad sobą — a który poszedł między zaprzańce, niech sobie głowy nie psuje daremnie, bo nigdy nie zrozumie, jak to tu jest i nigdy nas nie obaczy...

Owo więc tego dnia staliśmy sobie w gromadkach około owego tronu na promiennych spoczywającego obłoczkach, na którym króluje Jmć Xiążę Biskup Krakowski, a otoczony jest naszymi przodownikami, jako Biskup Załuski, pan Starosta Ziwolecki, panowie Krasinścy i inni. I napawamy się ową przedziwną wonią łąk naszych z nad Wisły, która nas zawsze taką przejmuje błogością, że prawie roskoszy niebieskiej, zwłaszcza co pośledniejszej,



równać się może. A rozmawiamy sobie o owych-to rozmaitych swobodach, które z łaski dobrego Pana zaczynają się rozścielać po Małej Polsce i Rusi Czerwonej i pozwalają biednym ludziom cokolwiek wolniej odetchnąć. I cieszymy się tem daleko więcej, jak naszym własnem zbawieniem, i mówimy sobie : Bożeż mój, Boże! Gdyby ci ludzie teraz jęli się pracy a, pomni tylu nieprzeliczonych cierpień i ofiar, jakie już sami ponieśli, napoili się wzajemną ku sobie miłością, i, gdyby, wyrugowawszy z pomiędzy siebie prywatę i sobkowstwo i osobiste ambicje, a porzuciwszy na zawsze wszelkie swary i wszelką niezgodę, pomagali jeden drugiemu i dorabiali się swej lepszej doli, chociażby tylko jak owe mrówki na swoim mrowisku, Bożeż mój, Boże! za jakie lat kilkanaście raj-by sobie stworzyli w swoim kraiku, a kiedyby była łaska Boża po temu, toby się to z tego wywinęło coś więcej — a z czasem możeby nam i naszą Polskę postawili na nogi...

A kiedy tak sobie mówimy, JW. Biskup Krakowski coś skrzywił nosem i rzecze do mnie, żem to był mu najbliższy :

— Jakiś śwęd mnie zachodzi z Krakowa. Popatrz-no Wasze, co się tam dzieje.

Jmć X. Biskup, chociaż ma głowę w obłokach, miewa czasem prorocze widzenia, jako je miewał pod koniec życia. Więc wtyężyłem wzrok ku Krakowu, kiedy tymczasem słyszę jakieś niespokojne szepty około siebie. W niektórych gromadkach gwar się podrywa, a Pan Lelewel siedzi sobie spokojnie na pniu starego cedru i czyta książeczkę, na której napisano: Teka Stańczyka. Więc tedy wszyscy do Lelewela, — a tu w ten moment hałas tak

wielki od piekieł uderzył nas w uszy, że nas prawie ogłuszył.

Całe piekło zawrzało rewolucją iście piekielną. Czarne dymy w ogromnych kłębach wzbijają się w górę, z pomiędzy nich wyślizgują się olbrzymie języki płomieni i liżą czyścowe podłogi, a iskry w ognistych snopach dolatują aż do nas i gasną w rosie niebieskiej. Hałas zaś, krzyki, jęki, wołania i gwałty tam takie, jak gdyby orda się zwarła z kozactwem i o buńczuk się bito. Patrzymy pomiędzy szpary rozdzierające się wśród kłębow dymu — a to Jarosz Bejła się zerwał i zburzył, a wywijając maczugą, której dopadł gdzieś w piekle, diabłom rogi ze łbów postrącał, temu oko wyłupił, owemu szczękę zdruzgotał, przy czem i kilku socyalistom żebra połamał, i woła na całe gardło: — Widzicie diabły, że miałem rację! Polska jest trupem, który icozy robactwo! Już się utworzyło stronnictwo w Krakowie, które się do moich zasad przyznało. Ja jego ojcem! Stronnictwo to nawet poszło już dalej odemnie, bo kiedy ja tylko z demokratów szczyłem, oni plują w twarz patryotom i depcą nogami ofiary, które za Polskę zginęły. A pójdą jeszcze daleko dalej... Puście mnie diabły! bo jakież macie prawo brać mnie na męki, kiedym miał rację i przyszłość wywróżył! — Więc diabli z widłami do niego: ale z Bejłą nie taka-to łatwa jest sprawa. Zuchwalec za życia, jeszcze zuchwalszym jest w piekle. Toż ma on i tam swoich stronników. Zaraz stanęli przy nim profesor Antoni Walewski, Adam Gurowski i inni zaprzańcy z czasów Mikołajowskich, dalej Trembecki, Poniński i cały zastęp zdrajców z pod berła Stanisława Augusta; nuż wreszcie Targowica ze swymi

hersztami na czele: ci ze stryczkami na szyjach, tamci z rękojeściami złamanych szabel, inni ze sztandarami, obryzganmi krwią polską. I wszczęła się bitwa sroga, jakoby na ziemi, jeno że tu po jednej stronie chorągwie łotrowskie, a po drugiej zastępy szatanów...

Ale tutaj na takie bunty mają sposób bardzo prosty, którego i wy zażywacie na ziemi, kiedy się psy zaczęły gryść między sobą. Otworzono natychmiast śluzy wód przedstworzennych i spuszczone potop na ową część piekła, tak że i jednych i drugich, kiedy się zwarli ze sobą, zaraz wodą zalano. Zakipiało tam wtedy tak strasznie, jakoby płonący wulkan wpadł w morze, olbrzymie kłęby pary wzniosły się nad tą kotliną i wszystko przykryły. Przez jakiś czas nic widać nie było, tylko chmury haniebnie cuchnące, a ścielące się pod naszymi nogami: dopiero po chwili ujrzeliśmy Bejlę, jako się wysunął z chmur, jakoby z łaźni, i chromając na jedną nogę, szedł się suszyć na słońcu. A mruczał sobie pod nosem: — Że w moich Mieszaninach miałem rację, o tem nigdy nie zwątpię: ale co prawda, to lepiej było zacząć i skończyć na Pamiętkach Soplicy, bo już w Listopadzie, chociaż go Pan Tarnowski za moje najlepsze dzieło uważa, nasiąłem nie mało zgorzenia.

Tak nawet ci, którzy na dnie piekieł się smarzą, miewają czasem natchnienia skruchy, co nas też mocno wzruszyło. Ale natenczas przeleciał Anioł nad nami i rzekł do nas:

— Człowiek żyjący na ziemi może mieć chwile zwątpienia; ale na wieki potępieni są ci, którzy rozsiewają zwątpienie pomiędzy bliźnich...

Jak tylko się to widowisko skończyło, zaczęliśmy się znowu gromadzić, bo podczas owego buntu trochę się byli porozpierzchali; lecz jeszcześmy się nie całkiem zebrali, kiedy słyszymy nad nami szum połączony ze świstem, właśnie jak gdyby wielka kula działowa nam na głowy spadała. A wtem rzeczywiście uderzyło coś sobą o ziemię tuż przed nogami JW. Biskupa — a to z taką gwałtownością, że się w tem miejscu całe tumany kurzu podniosły i wszystko zaćmiły. Kiedy się kurz rozwiął nareszcie, patrzymy: człowiek, w kłębek zwinięty, wije się w prochu przed naszą starszyzną, płacze jak bóbr, bije się w piersi i przysięga na siedm boleści:

— JW. Panie! jakom jest wierny sługa Jego Królewskiej Mości, nadużyto tam mego nazwiska. Jakom żyw, nigdym się w listowanie nie wdawał z Gaską, a chowaj-że mnie Boże z tymi tam facetami. Wyprawiałem-ci różne błazeństwa za życia, ale mnie moi trzej królowie, którym służyłem, choćby tu sami zstąpić mieli, wyświadczą, że nigdy nie najgrawałem z nieszczęśliwych a zacnych...

Więc Xiążę Biskup mu przerwał, bo mu żal było niewinnego człowieka, i rzekł mu:

— Wstań-no Wasze, a nie frasuj się tym despektem, który ci wyrządzono. Królów Waszmości tu fatygować nie będziemy, boby się rzewnie splakali nad tem, coby na swojej ziemi stąd obaczyli, o twojej zaś zacności nigdyśmy nie wątpili.

A na to Jmć Pan Pasek, który-to zawsze się przy nas zabawia, bo nam serdecznie owych nieprzeliczonych bitew

zazdrości, w których po tysiąc dział grało, a takie wielkie kule koło nas świstały, rzecze mi na ucho:

— Masz tedy! nawet i błażni do nich się nie przyznają.

A ja mu na to:

— A co to Waść pleciesz? Nie błazen-to był, jeno niepospolity swowego czasu moralista a filozof. Był też w wielkiem zachowaniu u swoich współczesnych, i cale równy Panu Rejowi z Nagłowic. Dopiero w ostatnich czasach, gdzie im tak trudno dawne dzieje zrozumieć a niektorzy też i umyślnie je falszują, także i z niego błazna zrobiono.

Tymczasem Stańczyk wstał z kolan, łzy otarł i zaraz się rozweselił, jeno kiedy po nas spojrział, to szeroko oczy otworzył, bo też nie znał nas nigdy. Więceśmy go zaraz wzięli pomiędzy siebie, aby go trochę ośmielić, a ja do niego:

— Rozejrzyj się Waść między nami, wiele-tu rzeczy obaczysz, którycheś nie widział za życia. Wy tam z góry na świat patrzycie, wiek dla was jedną chwilką — a my tu wprawdzie także godzin już nie liczymy, ale przecie czuć i odczuwać musimy, co się dzieje na ziemi, boć tam niejedno się dopiero wysnuwa, do czegośmy zmurowali podstawy.

— Widząc ja, — powie on na to, — że u was cale inaczej. Złotogłowia pomiędzy wami niewiele, a i krój sukien nie taki. Żołnierze wasi odziani po prostu, ale przystojnie. Ubożuchnych jest sporo, bo owo właśnie widzę, jako ten i ów jest ubrany chędogo, ale nieborak ani jednego złotego guza niema na sobie. A pobitych, pokaleczonych, zsiekaných, jest jeszcze sporzej: ci jak się zdaje zgnili

żywcem w lochach podziemnych, tamtych spalono na stosach, a ten i ów jest zmarznięty w lodach sybirskich. Serce mi się ściska, gdy na nich patrzę — a idzie to już w setki tysięcy a może w miliony.

Więceśmy mu to tłumaczyli, jakimi ofiarami myśmy to ich stare królestwo trzymali na ziemi, a pokazaliśmy mu zarazem owe-to nieprzejrzane gromady wiejskiego ludu, które tu zalegają doliny i góry i te się wieszają po skałach, tamte się chłodzą po gajach — a to go bardzo zdziwiło, jakoż rzekł:

— A to tylko lud nasz się nie zmienił: te same siermięgi, te same czapki i pasy, jak mego czasu. Jest w tem jakaś wielka prawda wiekowa, której ja wypowiedzieć nie umiem, ale która duszę moję napawa weselem. Więc ja do niego:

— Wiesz co, Panie Stańczyk, zostań też mały czas z nami, bo tu się teraz otwiera Trybunał, właśnie w sprawie tych, którzy nadużyli twojego nazwiska. A my tym ichmościom sięgniemy do nerek, aby prawdy dostać. Mamy my tu uczonych i odczytanych co niemiara, więc nam takich nie braknie, co w tej kwestyi do samego dna się dobiorą. Ale Waś masz wzrok bystry, więc mógłbyś czasem czego dopatrzeć, co uczeni przeoczą.

Ale Stańczyk był rostargniony i słuchał tylko pół-uchem, a za to patrzył rozwartemi oczyma.

Nie daleko od nas widzimy wyspę tak piękną, jakiej nie masz na ziemi. Brzegi jej, ku nam zwrócone, kąpią się w cichej wodzie stojącej, a zaścielone są majowej zieloności murawą i ozdobione pysznymi drzewami i krzewy, pomiędzy którymi widać na przodzie wielkie wierzby pła-

czące, pochylone nad wodnym zwierciadłem. Dalej zda się, jakoby to był step ukraiński, nieprzejrzana równina, tu i ówdzie lasy burzanów, mogiły uciekają jedna za drugą i giną w sinem powietrzu, duchy starych hetmanów błędzą pomiędzy niemi, orle białe się wieszają w powietrzu, — a za tem wszyskiem czuć brzegi Dniepru i słychać szumy fal jego, jako się rozbijają o porohy i pędzą ku morzu. Na ostatniem zaś tle widać góry szwajcarskie, wiecznym śniegiem pokryte, a między niemi ich królowę, Montblanc, na której szczycie, jakoby dwie muszki maleńkie, ledwie oku widzialne, czernieją dwaj pierwsi wędrowcy. Tak dziwnie złożone mewamy tu czasem około siebie widoki.

Tę wyspę, « szukając swego gniazda daleko od ziemi », Antoni Malczewski wybrał na mieszkanie dla siebie. Tam w rozpamiętywaniach losów swojej ojczyzny i swoich własnych pędził dni swoje, a chociaż już z wiecznym spokojem w duszy, często z głęboką boleścią spoglądał na tę ziemię, gdzie « lampa szczęścia, co w oczach jego się paliła, zagasła i swoim dymem całą twarz zaćmiła. » Bo kiedy był młodym i szablę nosił u boku, a cały świat stał mu otworem, legiony polskie przyprzewodziły za sobą olbrzymią armiję obcych żołnierzy, których wódz przyrzekł oswobodzić jego ojczyznę, — a w kilka lat potem nieubłagany los zmienił owe legiony w armijkę lalek, którą tyran pół-zwierze bawił się codzień na Saskim placu, gniotąc jej ducha całą ohydą upokorzenia i tłukąc rotmistrze i pułkowniki, których postawa lekkiem go przejmowała. Mimo całego spokoju, często bezdennym bólem jego pierś się otwiera, bo nikt nie jest przystępniejszym

uczuciu rozpacz, jak ten, który widział, jako na jego niebie słońce w całym blasku wzeszło i zgasło — i jego ziemię czarną nakryło nocą, właśnie w tej porze, kiedy być miało południe. Innym razem siadywał na brzegu i z głęboką tęsknotą wpatrywał się w wodę, przebijając swym wzrokiem jej gładkie zwierciadło, a wtedy zdawało się, że się przed nim otwiera najgłębsze jej łono: « Może w tej wodzie jego Maryę utopiono... » Lecz za to czasem wstawał, wyprężał się i patrzył na owe góry wiecznym śniegiem pokryte — a wtedy widać było na jego twarzy ten uśmiech, w którym odbija się blask zachwycenia, « z jakim wybrani słyszą cherubinów pienia. » Otóż kiedy Julek Tarnowski, zmuszony także « szukać swojego gniazda daleko od ziemi », na rękach starych rycerzy został między nas wniesiony, Malczewski upodobał go sobie, wziął go do siebie i dał mu z ojcowską miłością na swojej wyspie siedzibę. Wszyscyśmy byli tem zbudowani: bo gdzież jest piękniejszy twór Boży, jak młodzieniec świetnego rodu, opływający w dostatki, od wszystkich serdecznie kochany, nad którego kolebką wzeszła jasno świecąca jutrznia, mająca go przeprowadzić spokojną koleją życia do promienistego praojców grobu — a który przecież, świętym porwany zapalem, poszedł się bić za ojczyznę i zginął. Taki młodzieniec, gdyby był nawet pozostał pomiędzy tymi, którzy żyją pod hasłem zgniłej zasady szlacheckiej « nie mieszania się do niczego », nie mogąc być innym jak zacnym i dobrym dla wszystkich, byłby był mógł w miłości i poważaniu późnej dożyć starości i byłoby także powiedziano na jego pogrzebie, że pełen zasług i chwały « sam się wreszcie położył jako snop do-

stały. » Ale on wzgardził tą chwałą i, jako wierny syn ojców ojczyzny, jako nieodrodzone hetmańskie pacholę, przelał krew swoją. Taka krew w wielkiem jest tutaj poszanowaniu, a strugi jej rozlane po ziemi błyszczą jak mleczne drogi w rosie niebieskiej. Julek był tutaj w łaskach niezwykłych: już mu skrzydła zaczęły odrastać od ramion, już niebawem były się wzniosł między anioły. Tymczasem owego dnia, właśnie kiedy na ową wyspę patrzymy, widzimy Julka, jako się zachwiał i wydał krzyk straszny, jakoby krzyk duszy do dna rozdartej, krzyk od którego nawet nasze zadrżały wnętrzności. Pochylił się nad nim Malczewski i rzekł:

— Cóż ci to dziecko?

Naówczas ów krzyk straszliwy jeszcze raz się powtórzył, a nieszczęśliwy młodzieniec zawołał:

— Ach! na ziemi... ktoś plunął na krew moją!

Malczewski mówi:

— Dzieciatko moje! na krew za ojczyznę przelaną któż pluje? to chyba obcy.

A wtedy krzyk się po raz trzeci powtórzył i slyszeliśmy rospaczliwe a przez strumienie łez przebijające się słowa:

— Oh! nie! to swój...

Przez mały czas cisza. A potem widzieliśmy Julka, siedzącego jako liść zwiędły nad brzegiem wody i trzymającego się obiema rękami za głowę. Malczewski pochylił się nad nim i spytał:

— To czegoś chcesz, pacholę?

— Uciec od rospaczy.

Staliśmy wszyscy jakoby duchowe posągi, wielkiem

dziwem przejęci. Ale w tę porę woda się burzyć zaczęła około wyspy i kipieć i pryskać; nareszcie wstały bałwany, orkan się podniósł, jakby na morzu, i zmiotł ową wyspę z przed naszych oczu, jakoby senne widzenie. Zaczem wyższe warsztwy nieba się otworzyły w tem miejscu, różowe promienie się na dół spuściły i widzieliśmy dwa duchy na nich odpływające ku niebu. Miłosierdzie Boskie chciało im zapewne oszczędzić dalszych boleści...

Kiedyśmy wyszli z podziwu tego wzruszającego widzenia, Stańczyk rzecze do mnie:

— Co kraj to obyczaj, a co wiek to inne widoki. Do nas takie obrazy się nie wzbijają: u nas światłość jest jednostajna i spokój niezamącony, chyba że na czas widzimy chóry aniołów albo też korowody Świętych Pańskich, przelatujące nad nami. U was to bezmała jak gdyby duchy wasze jeszcze żyły na ziemi. A ja mu na to:

— Bo wasz wiek był to wiek złoty. Za waszych czasów jeszcze i snu o tem nie było, że kiedyś może być gorzej. Jeżeliście wy jaki błąd popełnili, to nieświadomie; jeżeliście co zaniedbali, to bez złej woli — a jeżeliście czego nie przewidzieli, to tylko dlatego, że wam nie było dano być prorokami. Wyście oddali ojczyznę, wielką, potężną i świetną waszym następcom — a nie waszą-to winą, że wasi wnukowie posadzili Szweda na tronie, który poziom jej ducha obniżył, fałszywym prorokom, faryzeuszom i rokoszanom wrota do niej otworzył i wszystkie jej drogi pokrzywił. Za naszych czasów Polska się już zaczęła rozpadać, bo prawie jej jako Państwa już wcale nie było i trzeba je było na nowo odtworzyć. Wielkie tam wysi-

lenia z jednej strony, lecz za to z drugiej równie wielkie uchybienia, obłądy, zaniedbania, występki i zbrodnie. Kto między nami błąd popełnił, to najczęściej świadomie; kto co zaniedbał, to ze złej woli — a kto nie przewidział, ten umyślnie oczy zamykał, bo wszystko leżało jakby na dłoni. Niejedno złe, które za naszych zrodziło się czasów, jeszcze dzisiaj się snuje po ziemi; ten i ów chwast obrzydliwy, przez naszych współczesnych zasiany, dopiero teraz na dobre rozbujał, a ludzie dziś żyjący na ziemi, to nasi synowie i wnuki; to jeszcze żywa krew nasza, my jeszcze czujemy ich serca bicie, ich myśli i czyny jeszcze tak na nas działają, jakbyśmy chcieli aby nasz duch działał na nich — i dla tego-to wszystko tak zbliżone widzimy i tak żywo się tem zajmujemy.

A wtenczas zaczęło się znowu koło nas ożywiać. Tu, jako widzę, niecierpliwi obywatele, a przedewszystkiem konfederaci i żołnierze, pomiędzy którymi Jmć Pan Pasek rej wodzi, zszepnęli się z sobą i chcą się zaraz spuszczać na ziemię a deptać ono plugastwo żelaznemi butami. Sąd-to wcale dorażny, a może i sprawiedliwy, bo zawsze-to jest rozumnie złe wyplenić w zarodzie. Gdyby nasi niebożęta na ziemi tym nowatorom stanowczy opór byli postawili od razu, nasienie to nie byłoby się tak rosplenilo. Ale tutaj takich rokoszów robić nie wolno — i bodajby ci burzyciele spokoju nie pojechali za to na czas jaki po ślizgawicy do czyśca.

A z drugiej strony ciągną już korowodem nasi uczeni i wielkich sejmów posłowie, dziejopisarze i statyści, poeci i kaznodzieje. Więc Zamojscy, Bielińscy i Małachowscy, Pan Ignacy Potocki ze Stanisławem Kostką,

swym bratem, co-to był okrzyczany za demagoga, a zawsze po francusku rozmawia, obadwa bracia Śniadecy, profesorowie wileńscy z Jozefem Gołuchowskim na czele, Tadeusz Czacki z Xiędzem Staszicem, Surowiecki z Xiędzem Hugonem, Woronicz z Wężykiem, Mickiewicz z Garczyńskim, Brodziński z Karpińskim, Wybicki z Witwickim, Niemcewicz z Kniaziewiczem, a w końcu Lelewel z wielkim foliantem pod pachą. Koło nich zaś, z nimi i za nimi, całe chmury pomniejszych, których też trudno przejrzeć i policzyć.

A kiedy się wszyscy zgromadzili około tronu, JW. Biskup, budząc się z błogiego uspienia, w którym widuje cuda niebieskie, dla nas, nie mających tej łaski, jeszcze niedostępne, rzecze do nas:

— Cóż-to tam jest w owej « Tece Stańczyka », że Ichmościowie tak się nią oburzacie? Podobno najlepiej Pan Joachim nam to wyłoży.

Więc tedy Pan Lelewel zabrał głos i mówił ważnie:

— Broszurka ta nie jest-to pamflet, tylko paszkwil — a paszkwil nie na jakieś stronnictwo i nie na większość, tylko na całość narodu, z wyjątkiem tych, którzy w przyszłość ojczyzny zwątpili. Pismo to jest oburzającym, a to dla tego, iż jego twórcy z piekielnym podstępem się wzięli do rzeczy. Nieprzerwalność rozwoju ducha narodowego, którąśmy od pierwszego podziału taką usilną pracą i nadludzkimi ofiarami utrzymywali, nieprzerwalność naszej dziejowej tradycyi, która stanowi duszę narodu, nazwali oni przeniecierzo « nieprzerwalnością powstania », — a wybrawszy sobie za cel swego szyderstwa wyjątkowe typy zaślepionych zwolenników zaburzeń, jakich w żąd-

nym kraju i w żadnym czasie nie braknie, usiłowali obrzucić śmiesznością tych wszystkich, którzy nie porzucili nadziei odbudowania niepodległości ojczyzny. Obok tej myśli przewodniej, która jest osią tego utworu, podali oni w pogardę ofiarności narodu, albowiem zgeneralizowali wyjątkowe typy szubrawców, którzy nadużywają grosza publicznego dla siebie, a postawiwszy rzecz tak, jakoby fundusze składkowe w Polsce zawsze musiały być rozkradzione, poddali myśl powszechności odmawiania wszelkich ofiar na sprawy publiczne. Dodali do tego cokolwiek bajeczek, które nas mało obchodzą; wszelako podnieść należy ten szczegół, iż zamieścili dla siebie reklamę, w której, przyznając się sami z niebływałym u nas cynizmem do takich wad i niedostatków, które każdego czynią niezdolnym do sprawowania jakiegokolwiek publicznego urzędu, mimo to stawiają siebie na świeczniku sceny publicznej i ogłaszają się wynalazcami kamienia filozoficznego w polityce narodowej, a może i sztuki robienia złota. Broszura ta jest dalszem i daleko zuchwalszem rozwinięciem zasad, ogłaszanych przez Jarosza Bejłę, a bez porównania podlegszych od zasad, przyjętych przez Konfederację Targowicką: bo kiedy Targowica, w swoim przekonaniu zamierzała nie zgubić, ale wyratować ojczyznę, tylko ją chciała mieć taką, jaką jej przywódcy wyroili w swych głowach, ci napastnicy zamierzają przeciąć nić dziejowych tradycji narodu, wyplenić miłość — a zarazem wykorzystać ofiarności, w narodach podbitych, nie mających skarbowości, jedyny środek podnoszenia i bronięcia sprawy publicznej, a zarazem najpotężniejszą dzwignię niepodległości narodu mimo podziałów. Broszura ta, ogłoszona

w innym czasie, nie sprawilaby zadnej szkody, bo, odrzucona jednogłośnie przez silną opinią publiczną, poszłaby w zapomnienie; ale teraz jest niebezpieczną i może się stać bardzo szkodliwą, bo padła w epokę, kiedy naród po wielkim krwi wylewie, po równie wielkich a bezowocnych wysileniach, jest prawie w omdleniu, a przeto bardzo przystępny uczuciom zwątpienia.

Kiedy po tym wykładzie rzeczy zaległo między nami milczenie, pierwszy odezwał się czuły Karpiński i rzekł z głębokim westchnieniem:

— Wielki zaprawdę był to krwi wylew i wielkie wysilenie, jakiego jeszcze nigdy przedtem nie było.

Lecz na to Lelewel zabrał głos znowu i tak mówił:

— A! tak to nie jest, bo inaczej mówi historia. Ostatnie powstanie trwało pięć kwartałów i wyczerpało siły narodu. To prawda. Ale Konfederacja Barska, oko w oko do tego powstania podobna, trwała pięć lat i trzeba-to było słyszeć od jej uczestników, do jakiego stopnia naród po jej skończeniu znalazł się wysilonym. Krwi tam wylało się więcej jak teraz, na szlakach sybirskich bieleją do dzisiaj całe karawany kości konfederatów, kraj był podówczas tak zniszczony, że głód panował po zamożnych dworach szlacheckich, a fortun tych nie policzyć, które wówczas spłonęły na ołtarzu ojczyzny. Podczas ostatniego rozbioru mniej krwi się wylało, bo panowie szlachta bić się nie chcieli; mniej poniesiono ofiar, bo duch narodu był przez fackeje rozdarty, lecz za to takie ubóstwo, taka nędza cały kraj ogarnęła, jakiej przykłady nie mamy w całej naszej przeszłości. Toż cały naród naówczas tak głębokie przejęło zwątpienie, że jeśli pomiędzy nami po-

wstali poeci, którzy ody pisali na rozbiór a hymnami witali nowy porządek rzeczy, to nie można zaprzeczyć, iż wypowiadali oni uczucia pewnej części społeczeństwa naszego. A w jakimże-to stanie zostawiło kraj nasz Listopadowe Powstanie? Kto nie zginął albo nie poszedł na Sybir, ten wyszedł z kraju, właśnie jakoby głowę ścięto całemu narodowi — a głód i nędza i ucisk najkrwawszy a nieublagany rozelały się po jego zagonach. A przecież po żadnej z tych klęsk niesłychanych duch narodu nie zginął, nie rozdarł się na dwie połowy, a nawet się wcale nie skaził: owszem przeciwnie, wstał zawsze silniejszy, niżeli był przedtem, i zawsze wszelką pokusę odstępstwa od swoich przeznaczeń dziejowych z potęgą panującego żywiołu od siebie odrzucił. Chociaż bardzo dosadną, jednak nie większą od tamtych klęskę poniósł nasz naród w skutek ostatniego powstania: toż i teraz nie podda się przeto zwątpieniu i wszelkie pokusy od siebie odrzuci.

Tu się odezwał Pan Jan Śniadecki w ten sens:

— Zawsze byłeś jednym z najwierniejszych pomiędzy wiernymi, mój Joachimie, i to ci się chwali. I my też wszyscy wierni jesteśmy, inaczej-byśmy tutaj nie byli. Ale przecież ja tobie zrobię jedną uwagę. Po każdej z tych klęsk, które tu wyliczyłeś, duch narodowy, z wyroków Opatrzności, znalazł gdzieś przytulisko, gdzie się mógł niejako skryztałizować, odżyć sam w sobie, rozwijać się dalej i ztamtąd rozprzestrzeniać po kraju. Po pierwszym rozbiornie mieliśmy jeszcze niepodległość, chociaż w ojczyźnie obciętej trudną do utrzymania, lecz zawsze byliśmy jeszcze panami u siebie. Po trzecim rozbiornie po-

wstały legiony, które sztandar nasz wywiesiły i chwałę okryły w obczyźnie, a niebawem przyniosły nam Xięstwo Warszawskie. Po Listopadowem Powstaniu mieliśmy emigracyą, ów kwiat narodu, przeniesiony do Francyi, owe legiony duchowe, które narodowi nie dały zasnąć w omdleniu i jego ducha ciągle budziły. Dzisiaj cóż mamy?

Na to zaś Lelewel znów z takim samym naciskiem :

— Dzisiaj duch narodowy, z wyroków tejże samej Opatrzności, a z woli wspaniałomyślnego i nieuprzedzonego przeciwko nam Monarchy, znalazł przytulisko w Galicyi. Nadane temu krajowi szerokie swobody pozwalają mu z daleko mniejszem wysileniem, niżeli w legionach i w emigracyi, ducha narodowego utrzymać i dalej rozwijać. Nie potrzeba dziś tedy ani legionów, ani emigracyi, ani związków tajemnych, bo mamy własny kawałek kraju, w którym możemy jawnie dopełniać wszystkich naszych obowiązków względem nas samych i względem naszej przyszłości. Co więcej, strzedz nawet potrzeba, ażeby nie było żadnych praktyk ukrytych, bo gdzie jest wolność, tam każda robota, unikająca światła dziennego, jest podejrzaną i w końcu zawsze się okazuje szkodliwą. I o toż-to właśnie chodzi, aby w tym kraju ten duch utrzymał się w swojej dziejowej czystości, aby nie został skażonym przez odstępców i faryzeuszów, aby się nie przedził w patryotyzm prowincjonalny i nie został użytym przez politycznych facyendarzy za narzędzie do tworzenia fakeyi wyrodnych i zadawalania ambicyi prywatnych. Dlatego też właśnie podnieśliśmy szkodliwość owej broszury, bo jest podobieństwo, ba, nawet pewność, że jest

ona buńczukiem, około którego ma się gromadzić fakcja, przeciwna naturalnemu rozwojowi ducha narodowego i naszym dziejowym tradycyom.

A wtedy odezwał się Pan Ignacy Potocki i tak do nas przemówił :

— Bardzo-to smutny jest objaw, a zwłaszcza w tej prowincyi. Społeczeństwo tam jeszcze nie jest uformowane i dopiero je stworzyć potrzeba. Większa połowa ludności jest polską, a druga, mało-co mniejsza, jest ruską. Są tam szerokie płaty ziemi, zamieszkanne wspólnie przez obydwie narodowości. Między temi obydwoma narodowościami są tarcia, tak w sprawach zaściankowego znaczenia, jak też i w rzeczach głównych, stanowiących o prawach wzajemnych. Najgłówniejszem zadaniem tych, którzy nawę publiczną prowadzą, byłoby właśnie tarcia te ułagodzić i na trwałych podstawach zbudować stanowcze i gruntowne porozumienie. Żydzi, stanowiący więcej niżeli dziesiątą część całej ludności, trwają przy swoich obyczajach azjatyckich, szwargocą zepsutym językiem niemieckim i dopiero bardzo pomalu uczą się języka polskiego i zespalają się ze społeczeństwem, w którym żyją od wieków. Stan trzeci, bez którego społeczeństwo się w równowagę ułożyć nie może, dopiero się zaczyna wyrabiać. Miasta, dotąd upośledzone, także dopiero walczą o swoje prawa — a tu i ówdzie znajdzie się jeszcze niejeden demokratą, mogący być bardzo pożytecznym członkiem społecznego ustroju, który jednakże odsunięty, jeśli nie odepehnięty od wspólnej pracy, gryzie na stronie wędzidło. Pod względem politycznym także tam jeszcze wielki zamęt panuje w wyobrażeniach. Jedni żądają autonomii, a sami jeszcze nie

wiedzą, jak ją mają określić; drudzy niebaczni przyznają się do idei federacyjnej — a są jeszcze i tacy, którzy wcale siebie nieświadomi, czepiają się ogona owej srokatej szkapy słowiańskiej, na której bądź co bądź jeszcze dzisiaj Car siedzi. I w takim-to położeniu powstaje fakcja, która zamierza podkopać ducha narodowego, owę jedyną nić przewodnią, jedyny duchowy środek, za pomocą którego tę masę niestrojnej ze sobą ludności można ułożyć w jednolitą społeczność! — Jest-to zaślepienie niedowarzonych młodzików, nie mających zastanowienia, albo też zdrada świadomych siebie awanturników, którzy szukają pozycyi i chleba, bez względu na to, jaką tem narodowi wyrządzą szkodę. Dlatego też rozumiem, iż należałoby objaw ten odsłonić do gruntu i wykryć tak genezę tej fakcji, jak też i wszystkie okoliczności, które spowodowały nadanie swobód tej prowincyi.

Więc Lelewel na to:

— Mów, Panie Marszałku Litewski, bo lepiej odemnie pojmujesz reformy czasów bieżących i ze znajomością czynnego reformatora śledzisz ich rozwój. Ja nie łatwo się wdrażam w wypadki, które się jeszcze nie stały historją: lecz za to jest u mnie raptularz, w który wciągam wszystko, co z druku wychodzi, choćby też świstek najmniejszy — a więc gdybyś o jakim szczególe nie miał danych dokładnych, to ja ci zaraz przyjdę z sukursem.

Na to Stanisław Kostka zatarł ręce i rzekł:

— *Bon! il y a des pièces justificatives.* Będzie-to druga podróż do Ciemnogrodu.

— Tylko cokolwiek jaśniejsza, — dodał Lelewel z przekonaniem, a tymczasem Pan Ignacy zabrał głos i, powstrzy-

mując ów zapał w wykładzie, jakim się odznaczał za życia, mówił jak następuje:

— Kiedy w drugiej połowie roku 1865 hrabia Ryszard Belcredi, mąż równie głębokiej nauki jak nieposzlakowanej zaerności i dobrej woli, został mianowany Ministrem Stanu, objął on władzę na podstawie, przez Monarchę przyjętej, zadowolenia życzeń wszystkich narodowości, składających Rzeszę Rakuską, a to w tej mierze, w jakiej tego dozwoli konieczność utrzymania silnego rządu centralnego Monarchii. Rozpoczęto układy z Węgrami a jakkolwiek ta sprawa, napotkawszy na wielkie trudności, nie zostawiała prawie ani chwili czasu do zajęcia się innemi narodowościami, otworzono bez zwłoki wrota do porozumienia się z Polakami. Uwolniono wszystkich więźniów politycznych, dano amnestyą wszystkim wygnańcom, oswobodzono dzienniki *via facti* od cenzury, a tym sposobem wzbudzo ufnosć w naszych rodakach, jako Rząd jest szczerze zdecydowany wejść na drogę porozumienia z narodowościami. Wówczas też wielu Polaków zbliżyło się do Belcredego, aby porozumienie ułatwić. Jednakże sprawa ta, którą jak wszystkie inne sam Dwór miał rozstrzygnąć w zasadzie, nie została postawioną tak jak sprawa węgierska, gdzie chodziło o ilość albo doniosłość ustępstw i swobód, tylko została postawioną przede wszystkim w zasadzie, a to w ten sens: czy można zaufać Polakom? Otóż ta kwestya zasadnicza została wówczas rozstrzygniętą stanowczo i to na korzyść Polaków. A została ona tak rozstrzygniętą za wpływem całkiem innych ludzi a nie Stańczyków, których jeszcze wtedy nie było. Toż i przy układach o szczegółowe ustępstwa także ich

nie było. Pomiedzy szczegółowemi ustępstwami najważniejszym była nominacja Namiestnika Polaka. Opinia publiczna kraju wysunęła w tym celu naprzód Hrabie Agenora Gołuchowskiego, jako niewątpliwie do tej funkcji najzdolniejszego i jako jedyne, który w owym czasie mógł mieć zaufanie Cesarza. Nominacja Gołuchowskiego napotkała na rozliczne trudności, raz dlatego, że z czasów, kiedy sam był Ministrem Stanu, miał wielu przeciwników w sferach rządzących wiedeńskich, a powtórę z tego powodu, że, znając wybornie kraj i jego potrzeby, postawił twarde warunki, których przyjęcie na sam początek bardzo żywej a nawet namiętnej uległo dyskusyi. Nie wszyscy o tem wiedzą, ale wiedzieć powinni, że Gołuchowski złożył wówczas dowody nietylko nieugiętego charakteru i bardzo trafne go pojmovania ducha narodu, ale zarazem poświęcenia swych osobistych ambicyi na ołtarzu potrzeb krajowych: bo układy te, które trwały parę miesięcy, po kilkakrotnie bliskimi były rozbicia, a on mimo to przy swoich głównych warunkach stał niewzruszony. I wtedy także byli tam rodacy, którzy swym wpływem porozumienie ułatwiali, aż póki nareszcie nie przyszło do skutku: a jeżeli tam byli także jacy ojcowie Stańczyków, niektórzy Panowie z okolic Krakowa, których moglibyśmy wymienić nazwiska, to ci zajmowali się tylko knowaniem intryg przeciwko nominacyi Gołuchowskiego. Co gorsza, bo i to także powinno być wszystkim wiadome, nie intrygowali oni przeciwko niemu z tych samych powodów, z jakich opinia publiczna dawniejszym czasem odmawiała mu swoich sympaty, ale li tylko dla tego, że, będąc Namiestnikiem za Bacha, borykał się z Krakowską arysto-

kracyą. Ażeby już więcej nie wracać do tej nominacyi, trzeba powiedzieć, że wybór ten był najtrafniejszym, jaki mógł zrobić Rząd w porozumieniu z Krajem, bo najważniejszy wróg nie ośmieli się Gołuchowskiemu odmówić, iż znamienite, a nawet po dziś dzień jeszcze najznamienitsze oddał usługi sprawie polskiej w Galicyi. Gdyby nie więcej nie pozostało po nim, jak to, że wymiółł Niemców do nogi z tej prowincyi i, że sprawę służebnictw, owo piekielne źródło nieporozumień pomiędzy dwiema najgłówniejszemi społecznemi warsztwami, na wieczne czasy załatwił, to i to-by już było wiekopomną zasługą, a położył on takich zasług daleko więcej. Wśród takich okoliczności zostały nadane i zaprowadzone autonomiczne rządy w Galicyi. Tam Stańczyków nie było, a jeśli widać coś podobnego, to chyba tylko ich protoplastów, jako wstrętne czynią praktyki w Wiedniu dla swojej prywaty, a bez żadnego względu na dobro narodu. Być może, że już istnieli wtenczas w literaturze, ale o tem ty, Panie Joachimie, prędzej coś znajdziesz w twoim raptularzu, niżeli ja w mojej głowie.

Owo więc znowu kolej przyszła na Lelewela, który tak mówił:

— Stańczycy wówczas już się zjawiają w literaturze bieżącej. Biorą w swe ręce dwa pisma publiczne: « Czas » i dopiero-co przez siebie samych utworzony « Przegląd Polski ». « Czas », założony przez oligarchów, pozbawionych ze zniesieniem Rzeczypospolitej Krakowskiej urzędowych pozycyi, przechodził różne koleje. Przez pierwszych lat dwanaście, pisany lichą polszczyzną, przeżuwał artykuły dzienników francuskich, bronił władzy papieskiej,

stawiał interesa katolickiego kościoła nad interesa narodu, sprawy polskie traktował powierzchownie i mimochodem i był tak redagowany, że gdyby kto był jego częścią polityczną na język obcy przełożył, to czytelnik nigdyby był nie poznał, że ma w rękę dziennik polski. Z początkiem manifestacyi ludowych w Warszawie zmienił redakcyę, stanął po stronie ruchu, podnosząc w nim przedewszystkiem jego nastrój religijny; bronił także powstania, a to w ten sposób, że powstaniu obiecywał pomoc dyplomatyczną, a dyplomatom opisywał bitwy, których nigdy nikt nie bił. Teraz zaś, czasem nawet dosyć wrzaskliwie, gardłuje za autonomiją, ale bałamutne ma o niej pojęcia, tak że każdy w nim znajdzie i to, co mu przypada do smaku, i to, co go oburzy. W «Przeglądzie Polskim» także aż dotąd panował wielki zamęt opinii. Zapewne dla skaptowania czytelników przedstawił on się publiczności z umiarkowanie rozsądnym artykułem, ale podpisanym przez Ziemiałkowskiego, który był dobrym ojcem chrzestnym naówczas. Równie rozsądną i patryotyczną jest rzecz Tarnowskiego o ostatniej Sessyi Sejmowej, którą też z wyjątkiem kilku miejsc niejasnych i niedorzecznego ustępu o Panach polskich, można obydwoma rękami podpisać. Bernard Kalicki napisał tamże daleko gruntowniejszy i z jasnieszym na rzeczy poglądem artykuł o Rusinach, ale to, co Tarnowski o nich powiada, jest także uczciwe i rozsądne. Lecz trzeba wiedzieć, że na tejże samej kadencyi Sejmowej Gołuchowski miał zamiar wnieść mocya, mającą na celu zawarcie gruntownej z Rusinami umowy i, że źle zrozumianym patryotyzmem zaślepieni posłowie wniesieniu tej mocyi przeszkodzili; poczem zawarto bardzo powierz-

chowny kompromis, z którego Rusini nie mogli być zadowoleni, a przeto ów Tarnowskiego artykuł był plastrzem przyklepionym nie w celu zagojenia, lecz zalepienia tej rany ropiącej. Pan Józef Szujski, występujący jako krytyk książek nowo wydanych, pisze tam jeszcze w tym samym patriotycznym duchu, w jakim dawniej pisywał. Mówiąc o ohydnej broszurze Sobiesława Mieroszowskiego, powiada dosłownie: « Uległość bez granic i płaszczenie się przed władzą jest najgorszym politycznym środkiem: kazi charakter narodowy, obudza pogardę i lekceważenie zwycięzcy dla zwyciężonych, a w gorętszych sercach podbitych tworzy butę, która ma niejako równoważyć nikiemność pierwszych. Tak jak władza nie może żebrać porządku z dnia na dzień, tak i naród nie może żebrać z dnia na dzień istnienia i naturalnego rozwoju. Naród, który chce istnieć, musi postępować z godnością i zarówno być dalekim od nikiemnego służalstwa, jak dziecinnego junactwa. Bardzo dobrze powiedział Staszyc: « Mogą upadać i narody szlachetne, giną tylko nikiemne, » a pan Mieroszowski tylko w nikiemności zdaje się upatrywać pojednanie Polaków z faktycznym ich stanem. »

Tu Niemcewicz mu przerwał i zawołał:

— Ej, igrasz sobie ze mną, mój Lelewelu. To piszą Stańcycy? A przecież ja tak zawsze mówiłem przez całe życie. I za to nazywają mnie plagą narodu?

Tymczasem Lelewel mówił dalej:

— Ton taki lub temu podobny przeważa w Przeglądzie przez dwa lata z górą i tylko gdzie niegdzie zawiewa zeń duch reakcyjny, objawiający się najczęściej w postaci niechęci ku zasadom albo osobom, które służyły do podtrzy-

mywania i ożywiania narodowych tradycji. Jak teraz widzimy, oczywista-to była połapka na czytelników. Tylko w przeglądach politycznych, podpisywanych przez Stanisława Koźmiana, mimo nieprzebrodzonego chaosu sądów i wyobrażeń, zdradzających człowieka, który się nigdy niczego nie uczył, wyłażą najaw drapieżne pazury. Z początku i on stawi jako program: « obronę interesów polskich; » żąda nawet jawności i wolności: ale są to puste frazesy, bo i Katarzyna ogłaszała się obrończelką « interesów polskich, » i ona żądała wolności dla Konfederacji Targowickiej, i ona wymagała jawności, bo Repninom i Igielstromom nie zawsze się udawało wiedzieć, co się dzieje w Polsce. Koźmian nie lubi Austrii, zapewne wie dlaczego, lecz nam powiada: że ona jest odpowiedzialną za wypadki lat 1863 i 1864, które « z niesłychanem zaślepieniem » przygotowała, i sądzi, że już ją Bóg za to ukarał klęskami w roku 1866. Dobrze to jest zapatrywanie się dla dziadów i babek kościelnych, ale historia nie zna kar Boskich, tylko widzi naturalne skutki popełnionych błędów politycznych — a jaki jest związek pomiędzy naszym powstaniem a klęską poniesioną przez Austryę w wojnie z Prusami, to tylko pan Koźmian potrafi nam wytłumaczyć. To pisze we Wrześniu, ale już w Lutym wynajduje « liberum conspiro », co mu jednak wcale nie przeszkadza proponować konspirację dla nowych wyborów, gdy mówi: « nietylko wykształcenia, ale wyrobienia politycznego żądamy od kandydatów, » — « a kto nie daje tej rękojmi, kto pod tym względem nie umiał wzbudzić zaufania, choćby był obdarzony najświetniejszymi zdolnościami, powinien być pominięty. » Bije potem na

partykularyzm i powiatowsczyznę, rozumiejąc pod tem oczywiście powiatowsczyznę Lwowską, a, uważając wiatr wiejący w Krakowie jako ducha całej Polski, jeśli nie Europy, straszy wielką burzą, która « niewątpliwie zagrzi wsród sześćioletniego peryodu » Rady państwa. Powiada dalej, że tam iść będzie « o być albo nie być, » że « kwestye te odnosić się będą do wyższej polityki, » « że trzeba zrozumieć, aby mu sprostać, dzisiejsze stadyum sprawy polskiej i złączonej z nią reorganizacji Monarchii Austryackiej », — a więc, krótko mówiąc: ponieważ świeżo ogłoszona amnestya wróciła do kraju tylu patryotów, tych nie należy wybierać, tylko « wytrawnych polityków. » Którzy zaś są ci wytrawni politycy, choćby « nieobdarzeni najświetniejszymi zdolnościami », tego nam nie objawia; ale nie trudno się domyśleć, że mają to być niedość dobiegający jeszcze trzydziestki założyciele Przeglądu. Tym samym tchem uderza także na dualizm, chociaż ten wówczas już był postanowionym w Wiedniu, o czym jednak on wcale nie potrzebuje wiedzieć; zarazem gardłuje za federacyą, nie przeczuwając ani przez sen, że kto się federuje, ten musi cerograf podpisać, — a kiedyby przyszło podpisywać, to może i ze świecą, a nawet może i w samym Krakowie, nie znalezionoby tego, któryby gosię zdecydował podpisać. Takimi-to politycznemi żakowstwami przepelnione są owe przeglądy: ale już tam są rozrzucone dość gesto pierwiastki odstępstwa od narodowego sztandaru, — aż nareszcie wykonano ów napad zuchwały na dziejowe tradycje narodu, któryśmy wyczytali w Tece Stańczyka.

— Proszę kogo, — rzekł na to Pan Jędrzej Śniadecki,

który mimo głębokiej nauki często prostaczka udaje, — proszę kogo, to i oni mają swojego Koźmiana, — a ja rozumiałem, że ród ten już się na naszym wyczerpał. A jest-to do tego jeszcze, jak widzę, pierwszy fajfer tej kapeli krakowskiej — a jako słyszę, wzór cnót rodzinnych i obywatelskich.

— O tem nic nie wiem, — dodał Lelewel, — widzę tylko, że jest-to najcyniczniejszy żywioł w tej konfraternii. O środki tam nie pytaj, ani nawet o cele moralne, tam zawsze idzie tylko o jakiś cel namacalny. Awanturnicze zuchwalswo i rachuba na głupstwo ludzkie — otóż cała polityka i filozofia.

A na to odezwał się Pan Niemcewicz, mówiąc:

— Piękna-to filozofia, zaprawdę, chociaż stara jak świat. Materyalistów po wszystkie czasy nie brakowało: wyznawali materyalizm Demokryt i Heraklit, lubo z pewną pomiędzy sobą różnicą, a za naszych czasów Lametrie i Holbach doprowadzili go do ostatecznych wyników. W metafizyce ateizm, w psychologii sensualizm a w etyce egoizm, — oto te ostateczne wyniki. Zasady te, chociaż błędne, bo naszym zdaniem na podstawie prawd przez nauki przyrodzone zdobytych, a przeto czysto fizycznych, nie mogą rozstrzygać kwestyi metafizycznych i etycznych, w dzisiejszym czasie, właśnie za przewodem nauk przyrodzonych, szeroko się rozpostarły po świecie i wielu zyskały adeptów. A bodaj nie najwięcej pomiędzy tymi, którzy z naukami nie mają nic do czynienia, a szukają tylko pretextu, aby przygłuszyć głos własnego sumienia i dać sobie patent na postępowanie, jak nasi ojcowie mawiali, bez czci, bez wiary i bez podkówek u bótów.

To złe jeszcze długo będzie grasować po świecie, bo rozwój nauk przyrodzonych jeszcze ma dalekie pole przed sobą — a jak długo ten rozwój trwać będzie, tak długo materyaliści w jego zdobyczach będą znajdować dla siebie oparcie. Ale kiedyś ten rozwój, tak samo jak filozofia spekulacyjna, dno obaczy przed sobą; ludzkość natenczas w takie same rozsprężenie duchowe i w taką samą rozpacz popadnie, jakie ją ogarnęły przed przyjściem Chrystusa, — a wtedy nastąpi reakcja na korzyść ducha, a przeto także na korzyść sumienia. Że ludzie ulegają temu prądowi, który choć błędny, siłą ziemskiego żywiołu ich z sobą porywa, temu się dziwić nie można, bo ludzi ze skłonnościami ku złemu nigdy nie braknie. Ale już Państwa i społeczeństwa bronią się temu prądowi, bo wiedzą, że kiedyby większość ich obywateli prąd ten ogarnął, natenczas ich organizmy musiałyby uleść rozsprężeniu i zostałyby zamienione w bandy złoczyńców, któreby się borykały ze sobą o chleb codzienny. Toż tem mniej można pojąć, jakim sposobem Polak może się stać wyznawcą materyalizmu, bo to przecież jest rzeczą widoczną, że materyalista, zapierający się swego własnego sumienia, tem łatwiej i pewniej się zaprze swojej narodowości, jeżeli ta mu do zdobycia materyalnych korzyści postawi się na przeszkodzie — a wtedy wynarodowienie stanie się nieuniknionem, a to tem pewniej, ile że nie braknie koło nas potęg daleko silniejszych od nas, którym na naszym wynarodowieniu tak wiele zależy.

— Dzisiejsi materyaliści, w tem znaczeniu w jakim ich bierzesz, — odpowiedział Lelewel, — dzielą się na dwa

całkiem odrębne rodzaje. Jedni z nich w samej istocie, niejako filozoficznie, przyswoili sobie materyalizm i wyrodzili się w socyalne stronnictwa, których pomimo wszelkich różnic, jakie pomiędzy nimi istnieją, można społem nazwać komunistami. Ich ostatecznym celem jest, zabrać wszelką własność tym, którzy ją mają i rozdzielić ją między wszystkich. W dążnościach tych, o ile się do samej pracy i jej owoców odnoszą, jest ziarno teoretycznej prawdy, bo w dzisiejszem urządzeniu społeczeństw praca ludzka bywa wynagradzana według jej sprzedajnej, a zatem zmiennej, a nie według zasadniczej wartości, skąd wynika upośledzenie klas pracujących. Ten stan rzeczy wymaga koniecznie naprawy; jakoż jest już bardzo wielu ludzi dobrej woli i wyższego umysłu, którzy się wynalezieniem środków do tej naprawy zajmują, a nawet wiele takich środków już wymyślono i zaprowadzono w robotniczych zakładach. Ale stronnictwa na podstawie tych zasad pozawiazywane, nie mające dotychczas żadnego programu oprócz teoryi zabrania własności tym, którzy ją mają, a nadto jeszcze usiłujące częstokroć gwałtem zmusić posiadających do podzielenia się z nimi swoją własnością, są to po prostu bandy rozbójników, których tylko dla tego rozbójnikami nie nazywają, że ich jest za mało, aby mogli jawny rozbój rozpocząć, a za wiele, aby ich można wyłować i zamknąć. Tacy materyaliści u nas jeszcze żadnego znaczenia nie mają: są tu i ówdzie niedouczeni młodzieńcy, którzy o tem wydają dzienniczki i piszą książeczki; tam i sam znajdzie się garstka rzemieślniczek, którzy przyniósłszy z wędrowek bałamutne o socyalizmie pojęcia, zamiast pilnować swego rzemiosła,

miewają schadzki ze sobą, na których podziwiają przekradzione z zagranicy petardy i czytują niedowarzone pisemka. Takie schadzki należy rospraszać, a ich uczestników oddawać pod dozór starszych, którzy przy dobrej woli i cierpliwości błędy ich im wyświecą i naprostują ich drogi. Objawy te jednak nam nie grożą żadnym niebezpieczeństwem, bo nie masz u nas żywiołów społecznych, na którychby się mogły one w większych rozmiarach zaszcześcić i rozszerzyć. Ale są u nas inni materyaliści, a to ci, którzy nie mają jawnych przewodników teoretycznych i sami się teoryami tylko o tyle zajmują, o ile potrzebują usprawiedliwiać swoje uczynki, natomiast zaś materyalizm wyznają praktycznie, dążąc wszelkiemi drogami i z pogardą dla wszelkich zasad moralnych tylko do tego, ażeby im się dobrze wiodło na świecie. Nie mówię tu o samolubach rosproszonych po społeczeństwie, których w żadnym czasie i w żadnym narodzie nie braknie; poprawa ich, która zresztą nigdy się nie udaje, należy do satyryków, komedyopisarzy i kaznodziei niedzielnych. Ale mówię o stronnictwach organizujących się i o warsztwach społecznych, tradycyjalnie zorganizowanych pod tym sztandarem, a usiłujących usprawiedliwić swój materyalizm i swoje sobkowstwo zasadami konserwatyzmu, politycznej praktyczności albo utylitaryzmu, a w czasach ostatnich nawet zasadami religijnymi. Ktoż tego nie wie, że dzisiaj, kiedy żaden Polak, zdrowe zmysły mający, o gwałtownem wybicciu się na niepodległość ani przez sen nie myśli, zachowawczość i utylitaryzm są naszym naturalnym programem: ale któż także nie wie, że dobrze zrozumiana

zachowawczość nie idzie tak daleko, ażeby się zamieniała w bezmyślną prostracyą, a dozwolony utylitaryzm przed wszystkim innym nie ma się odnosić do osób, tylko do społeczeństwa. Tymczasem, u nas istnieją tradycyjalnie od dawna i tworzą się nowe stronnictwa, które rostopną zachowawczość przetwarzają w ślełą i namiętną reakcyą, a utylitaryzm w osobistą drapieżność. Stronnictwa takie były zawsze rakiem toczącym te społeczeństwa, w których się utworzyły. Materyaliści najnędniejszego, lecz zarazem najzuchwalszego gatunku, wiążą się oni ze sobą i wywieszają sztandary głośno brzmiałych, częstokroć nawet pobożnym pokostem powleczonej teoryi, lecz tylko na to, ażeby uspić sumienie publiczne, opanować ster społeczeństwa, upstrzyć się godnościami i tytułami, wyłowić dla siebie intratne urzędy i synekury i wypaść się tłustym chlebem bez względu na to, że go zgłodniały kraj płaci ostatnim groszem. Przybierając postawę mężów stanu i mędrców narodu, w gruncie rzeczy są to ludzie oderwani od pnia społeczeństwa, bez żadnych zasad i przekonań, nabożni w słowach lecz nie pobożni w uczynkach, wrzekomo stronnicy władzy, ale w istocie filary przemocy, utrzymujący się przy wpływach nie szacunkiem publicznym ale intrygami i terroryzmem, achatesy możnych, siepacze gubernatorów, lokaje panujących, w innych krajach — tylko drapieżne zwierzęta, u nas — hyeny, żywiące się trupami na narodowym cmentarzu. Jako materyaliści na jednej leżą ławie z komunistami: jedni i drudzy się zaparli ojczyzny — i tylko ta jest pomiędzy obudwoma różnica, że kiedy ci po cudzą własność sięgają rewolwerami i dynamitem, tamci ją wyskubują powolnie kłamstwem, podstępem i intrygami.

Na to rzekł do mnie na stronie Niemcewicz:

— Lelewel swoim zwyczajem radykalnie się bierze do rzeczy, a w tym razie mówi nawet cokolwiek proroczo, bo chociaż Stańcyzy już klątwę rzucili na tych wszystkich, którzy się poświęcali za ojczyznę, a przeto najgorszych rzeczy po nich się można spodziewać, to przecież jeszcze nie wiedzieć, jakie się z nich wywiąże stronnictwo. Jednakże sam przyznać to muszę, że nasi oligarchowie i wszystkie fakcye, które się tworzyły za ich natchnieniem, były to istotnie hyeny, pasące się trupami na narodowym cmentarzu.

Tak tedy ten mówi to, a drugi owo. A tymczasem Pan Ignacy Połocki, który przez cały ten czas w wielkiem był zamyśleniu, ocknął się i tak mówił:

— Więc teraz znowu na mnie przychodzi kolej, bo kiedy Lelewel wyjaśnił literacką czynność Stańczyków, nam wypada określić znaczenie ich polityczne, o ile takowe do dziś dnia jest widocznem. Owo więc ta grupa ludzi, która się zgromadziła około Przeglądu i Czasu, występowała aż do zawotowania Rezolucyi z pewną wstrzeźliwością na scenie publicznej. Belcredego traktowali z rezerwą, Gołuchowskiego chłodno, co się tem łatwiej pojmuje, ile że Gołuchowski wiedział dokładnie, czego chciał; Krakowską arystokrację zawsze miał w podejrzeniu i nie byłby dopuścił, aby mu w dopełnieniu jego obowiązków przeszkadzano. Jednakże na nieszczęście, w Gołuchowskim, właśnie w roku 1868, odezwało się bez potrzeby uczucie skromności, które mu nie dopuściło wziąć ster sprawy publicznej w ową żelazną rękę, jaką miewał przez całe życie. Albowiem, jakiegokolwiek mu w czasach dawniej-

szych przypisywano o sprawie polskiej rozumienia, historia mu tego odmówić nie może, że od czasu, kiedy mógł dla niej być czynnym, zdradzał zawsze bardzo trafne o niej pojęcie. Podczas dziesięciolecia rządów Bachowskich o niej nie wspominał, bo wiedział jak wszyscy, że nie byłby był wysłuchanym; owszem przeciwnie, za to samo zostałby odsuniętym, a kraj dostałby był namiestnika Niemca: lecz jak tylko objął Rządy Monarchii jako Minister Stanu, wydał Patent Październikowy, w którym się znajdowała autonomija dla Galicyi i podniesienie znaczenia Sejmów prowincjonalnych wobec Rady Państwa, mogącej mieć według jego programu tylko bardzo ograniczone wpływy na rozwijanie się samoistne prowincyi. Gołuchowski, konserwatysta bardzo stanowczy, lecz z postępowa a nie reakcyjną dążnością, nigdy się nie posunął do wyparcia się wszelkiej przyszłości dla Polski; owszem wiarę swoją w tym względzie dość jasno, nawet zanadto jasno wypowiedział publicznie. Gdyby się wówczas nie było w nim odezwało owo zbyteczne uczucie skromności, gdyby był miał owę spokojną, lecz pewną siebie odwagę Deaka, to byłby z łatwością utworzył stronnictwo narodowe, tak silne liczbą i prawdą przekonań, że wszelkie zachętki tworzenia fakcyi byłyby się oń stanowczo rozbiły i nigdy potem nie powtórzyły. Lecz, na nieszczęście, Gołuchowski zaczął wówczas zanadto sumiennie liczyć się z opiniami, objawiającemi się obok niego — a wkrótce potem, właśnie w skutek wystąpienia w duchu zanadto patryotycznym, musiał z posady swojej ustąpić. Jego ustąpienie stało się hasłem do wyjścia Stańczyków na scenę publiczną — a ponieważ nie mieli oni ani dosyć osobi-

stego znaczenia, ani rozumu, ani poważnych zasług, aby mogli zwrócić na siebie uwagę w Wiedniu, więc wystąpili z paszkwilem wrzekomo na rewolucjonistów, lecz w gruncie rzeczy na patriotów, a przeto na dziejową tradycję polską. Tym środkiem zamierzeli pozyskać zaufanie Rządu i Dworu, bo innych wówczas nie mieli. Jest to środek najnikczemniejszy, bo wykluczający godność obywatelską, a zatem nie mogący nigdy uzyskać sankcyi narodu. Wszelako, lubo takim środkiem zyskuje się nawet u Rządów najabsolutniejszych zaufanie, ograniczone tylko do usług podrzędnych, bo ważne narodowe sprawy powierzają nawet i takie Rządy tylko ludziom, mającym zaufanie narodu, jest bardzo prawdopodobnem, że i tym środkiem, zamierzony przez siebie cel fakcyjny osiągną. Bo gdzież i kiedy był Pan taki na świecie, któryby powiedział do swego sługi: « Ale kochany lokaju, nie płaszcz się tak przedemną, nie pełzaj na brzuchu i nie potwarzaj twoich współbraci, bo ja może kiedyś będę cię potrzebował do spraw wyższego rzędu, a przeto nie chcę, abys się zużył zawczasu. » Pan bierze każdego sługę takim, jakim mu się przedstawia, i używa go do tych posług, do jakich sam się nastęcza. Tak z politycznego punktu widzenia dzisiaj zarysowuje się ta fakcja; obaczmy, czem się stanie w przyszłości.

Wszyscy słuchali wykładu Pana Ignacego z wielkiem zajęciem, bo niemasz tu między nami nikogo, któryby w politycznych robotach miał więcej doświadczenia od niego. Tylko złośliwy Jędrzej Śniadecki przysunął się do mnie i rzekł mi do ucha:

— Nikt na tych robotach nie zna się lepiej od niego, bo

też i on nieraz oglądał się za oparciem po za obrębem narodu. Nie mówię już o Prusakach...

— Cóżkolwiek bądź, — przerwał mu prędko Niemcewicz, który nas był podsłuchał, — nikt go z was nie posądzi, aby kiedykolwiek ubliżył swojej godności, a tem mniej jeszcze, ażeby miał na oku osobiste korzyści. A tylko tą miarą można osądzić, czy błąd polityczny jest tylko błędem, czy stał się występkiem.

Tedy Pan Jędrzej mrugnął na mnie jednym okiem a drugim spojrzął na Niemcewicza, dając mi tem do zrozumienia, że i Niemcewicz stawał nieraz po stronie konserwatystów, w Towarzystwie Przyjaciół Nauk ledwie nie na skrajnej siedział prawicy, na Maryi Malczewskiego się wcale nie poznał, chociaż Malczewski jemu ją przypisał i liczył na jego protekcją jak na ostatnią deskę zbawienia, a kiedy w czasie wybuchu Listopadowego Powstania wysłańcy klubu przyszli do Rady administracyjnej, aby ją do energicznej czynności zniewolić, to on tylko na to się zdobył, że rozdarł suknię swoją na piersi i ofiarował się zginąć, bo sytuacji wcale nie pojął i rozumiał, że to są terroryści francuscy.

Widzisz więc Waszmość, że i tu między nami złośliwości nie braknie, ale się nikt za nią nie gniewa, bo się nie poczuwa do winy. Toż i Niemcewicz, którego uwagi i ta rozmowa nie uszła, śmiał się i mówił:

— Masz słuszność, Panie Jędrzeju, byłem i ja też zawsze konserwatystą, zawsze za spokojną pracą, zawsze przeciwko rewolucyi, a nawet zawsze przeciwko wszelkim niecierpliwościom. Jeśli chcesz, to i to ci przyznam, że zawsze siadał na skrajnej prawicy. Ale za to i ty musisz

mi przyznać, że byłem konserwatystą polskim i chociaż nie-
nawidziałem rewolucjonistów jak diabłów, jednak przeciw
nim nigdy nie uciekałem się do sojuszu z obcymi, — a ile-
kroć losy mojej ojczyzny, a choćby tylko honor Polski
zostały postawione na kartę, zawsze byłem pomiędzy
tymi, co swoich uczuć bronili krwią swoją. Z tego też-
to powodu objawy dzisiejsze w Krakowie tak mnie żywo
zajmują. Chciałbym wiedzieć dokładnie, co to tam się
znowu wykluwa, bo już-to, Bogiem a prawdą, i dawniej
nie zawsze tam życie publiczne tym samym płynęło po-
tokiem, jak w całej Polsce. Bardzo-to trafnie powiada Deo-
tyma, że Kraków to « miasto nie miasto », a świeci nad
nim « słońce nie słońce », bo w samej istocie nie wiedzieć
do czego to miasto podobne, — a chociaż tam także «różne
czwórka krakowska », to i to się na nic nie zdało, bo to
tam nie rządzą ci, którzy jeżdżą czwórką krakowską,
tylko ci, co swe konie ubierają w niemieckie chomonty.
Bodajbym się mylił, ale tak mi się zdaje, że już od czasu
przeniesienia stolicy do Warszawy, Kraków przemienił się
w stróża pamiątek i twarzą się ku przeszłości odwrócił,
a przyszłości nie widzi a może i widzieć nie chce. Za wiele
tam grobów, to też cmętarna tam wegetacya. Jeszczeż za
Kościuszki poszło tam jako tako, chociaż nie bez oporu ;
za to po klęsce Maciejowickiej nigdzie tak rozpaczliwe nie
zaległo zwątpienie jak w Krakowie. Za Xięstwa, Kraków był
zbiegowiskiem wszelkiego rodzaju emerytów i antykwaryu-
szów, a życia tam było tak mało, jak gdyby miasto to nie
należało do Polski. A kiedy zeń Rzeczpospolitą zrobiono,
to już pożał się Boże! Kto w Boga wierzył, ten dzień i noc
knował, aby gdzie jaką tłustą uchwycić prebendę, a Sejm

z Senatem wodziły się za łby ze sobą i uciekały się do protekcyi trzech Rządów, ten do Moskala a ów do Prusaka, z wzajemnemi skargami na siebie. Konfederacya Targowicka nie ubliżyła tyle dobrej sławie narodu, jak Sejm i Senat tej fatalnej Rzeczypospolitej. Austria nie mogła nam większej wyrządzić przysługi, jak wcielając to gniazdo zgorzenia do Galicyi. Ale i to jeszcze nie wykorzeniło tam tego zaściankowego partykularyzmu, który już arcyśmiesznym był wobec Kongresowego Królestwa, a po przyłączeniu Krakowa do Galicyi, stał się istną karykaturą, usiłując wyróżniać te cztery piędzi ziemi od szczeropolskiej prowincyi, której od wieków jest częścią. Ten partykularyzm wyrodził tę osobliwość, że każdy Krakowianin, jeżeli przystępuje do jakiej roboty polskiej, to zawsze *cum reservatione mentali* na jakąś-tam wyłączną korzyść Krakowa, tak jak mieszkańcy Akwilei, kiedy sprzedają dom, to zawsze dodają w kontrakcie « *senza la parte del pozzo d'oro* », bo jest wieść między nimi, utrzymująca się od niepamięci, że w mieście jest zakopany skarb, który jest wspólną własnością wszystkich akwilejskich łyczaków. Nuż tedy teraz ci partykularyści zabrali się do jakiejś politycznej roboty na własną rękę i z własnego natchnienia. Będzie-li z tego dramat, komedia czy farsa? Otóż to ciekawe pytanie. Ja myślę...

Ale tu przerwał mu Imć Xiąże Biskup Krakowski w te słowa:

— Mości Panowie, rozumiem, że dosyć będzie tego sejmikowania na teraz. Sam pierwszy zwróciłem uwagę waszą na to, iż mnie swęd jakiś zachodzi z Krakowa. Rozebraliście wiadomości, jakie was doszły ztamtąd dotychczas,

miejcież cierpliwość zaczekać, aż te rzeczy się wyklarują. Informarcyi dalszych wam pewnie nie zbraknie, bo przecież codzień, co godzina, co chwila, dusze polskie do nas wzlatają, które też dobrze wiedzą, co się tam dzieje. Podejrzenie jest wielkie, że z tego zawiązku, który się zaczyna tak wielkiem zgorszeniem, nic dobrego się nie wykole. W Krakowie jeszcze się nigdy nic takiego nie urodziło, coby miało żywotność i z czegoby cała Polska miała pociechę. Nawet jeżeli tam kiedy zabłądził człowiek z szeroką piersią, z wielkim oddechem, z wyższym umysłem, z szlachetnem sercem i z myślą wyniosłą, cały naród obejmującą, to tam mu cierni naścielono na jego drogi, a jeśli był taki, któremu wrogowie podali kielich goryczy, to tam mu do tego kielicha jeszcze żółci dodano. Sam tego doświadczyłem na sobie, kiedy wróconego z wygnania, zamiast mnie bratnią otoczyć opieką i moje bóle ukoić, tam mnie jeszcze «zuchwałym popem» nazwano i do nowego więzienia zamknięto. Ale zawsze należy uwzględnić, że umysły Polaków są bardzo znękanе; kto jest znękaný, nie łatwo się obroni niecierpliwości w postępowaniu, a za tem idzie, że zdarzają się u nas obywatele, którzy, będąc najlepszej woli i czystych zamiarów, na początku swej akcyi wpadają w obłądy, a pierwsze ich kroki mają czasem pozory uczynków szkodliwych. Lecz przeto jeszcze wyrokować nie można, że z czasem nie wybiją się z błędów i nie padną na ów szeroki gościniec, po za którym niemasz dla nas zbawienia. I myśmy także z początku bładzili. Już na Sejmie konwokacyjnym powinniśmy byli największe robić wysilenia, ażeby się porozumieć z Czar-toryskimi, których projekty reform były zbawienne dla

Polski, a którzy w tem tylko błędzili, iż zamiast wytrwałą pracą, w porozumieniu z narodem, chcieli je w życie wprowadzać za pomocą obcego mocarstwa. Jeszcze bardziej zbłądziliśmy później, kiedyśmy się przyłączyli do Konfederacyi Radomskiej, gdzieśmy ugrzęźli w niskiego rzędu sprawach z dysydentami, kiedy nie o konfesyonalne traktaty, ale o żywot narodu i o niepodległość ojczyzny chodziło. Mieliśmy w sercach naszych przecucie prawdy, ale wśród nieprzebranej ciemnicy i zapasów stroniczych nie mogliśmy zrazu w naszych głowach obudzić jej świadomości. Gdyby nas wówczas kto był postawił przed sądem, nie wyczekawszy końca, sąd był-by nas pewno potępił. Mimo to przecież, i to niebawem, za Bożą pomocą, pełna świadomość naszych obowiązków się w nas objawiła, a zrozumiawszy natenczas, że dla obudzenia tej świadomości w całym narodzie i sprostowania dróg jego, potrzeba wielkiej ofiary, poszliśmy na ofiarę. I przyjęliśmy ten krzyż dobrowolnie, bo mogliśmy się od męki usunąć, a mogliśmy się także siłą od niej obronić. Aleśmy mężnie pokusy te odepchnęli od siebie i, aby ducha ofiary w narodzie obudzić, otworzyliśmy naszą osobą tych ofiar szeregi, które dotychczas jeszcze się nie zamknęły.... Więc kiedy jakaś tam akcyja tych Ichmościów Krakowskich dopiero się rozpoczyna, nie sądźmy, a dajmy jej się należyte rozwinąć, a jak się swojego czasu w całej pełni rozwinie, wtedy znów się zejdziemy i osądzimy.

LIST WTÓRY

W parę lat później.

Onego dnia przybyła do nas cała gromadka dusz polskich z Sybiru. Byłem właśnie u wejścia, gdzie Święci Pańscy przyjmowali ich z czią męczennikom należną i zaraz do nich się przyłączyłem, ażeby też przy wspomnieniach ich srogiej niedoli pocierpieć, a wyzwoleniem ich z nimi się społem nacieszyć. Byli-to sami prostaczkowie, uczniowie ze szkół wyrwani, synowie chudobnych rodziców a z nimi kilku unitów: ci za czytanie patryotycznych książeczek, owi za schadzki niewinne, gdzie rozmawiali o Polsce, tamci zaś za to, że wiary swojej nie chcieli odstąpić, porwani z domów, zakuci w kajdany, głodzeni i bici, zostali posłani na Sybir. Niebożęta srodze się nacierpieli. Największa ich część z głodu i nędzy wymarła w kopalniach, jeden z nich zgnił żywcem w ciemnicy, inny się wymknął niebacznie, został schwytyany i kijami na śmierć zabity. Ten miał szczękę zdruzgotaną, ów nogi

poprzetręcane, trzeciemu zmrożone ciało odpadało od kości, czwarty był cały krwią zlany. Od stu lat z górą zawsze-to jedno i to samo, — a przecież historia takiej ofiary zawsze nas równie głęboką przejmuje zgrozą, piekielnem drżeniem szarpie wnętrzości i krew ścina nam w żyłach. Toż byłem sam jak na mękach, kiedy mi swoje dzieje opowiadali. Za ich przewodem wglądałem w owe przepaści ciemnotą i barbarzyństwem obłąkanych rozumów ludzkich, w których dna nie ma, a nad których brzegiem głowa się kręci od zgrozy i oburzenia. Na taki widok, gdyby się dziecku naszemu Moskał nawinął, toby się jak tygrys rzuciło na niego, aby mu wnętrzości rozszarpać, a jeszczeby mu siły starczyło, aby kości połamać tym, którzy jak podłe gady pełzną do Moskwy, aby tam zgodę wyżebrać. My na te barbarzyństwa patrzymy z głęboką litością i z owym spokojem, który nam daje pokora i wiara; ale kiedy widzimy takich prostaczków, którzy także oddali się na męczeństwo, to nas przejmuje wam zapewne nieznanie uczucie, które też ludzkim językiem nie łatwo da się określić. Kiedy taki Xiąże Kościoła jak Sołtyk, natchniony żądzą naśladowania niedoścignionego wzoru Chrystusa Pana, bierze samowiednie na siebie krzyż męki doczesnej, bo podupadły duch jego narodu nie może być obudzonym jak tylko wielką ofiarą, to my rzucamy się w proch przed nim i wielbimy jego duszę wyniosłą, a jego cierpienia, choćby najsroźsze, sprawiają na nas święte wrażenie. Kiedy widzimy członków wielkich narodowych sprzysiężeń, którzy równie świadomie, dla służenia podniosłym myślom, któremi byli przejęci, poszli na katorżania albo na śmierć męczeńską, to ich rozumiemy, od-

dajemy cześć ich poświęceniu, wielbimy ich ducha i nie myślimy o srogich losach, na jakie wydali swe ciała. Kiedy rycerze polscy, bijąc się przeciw Moskwie w otwartym polu i popadłszy w niewolę, są męczeni i katowani, to uważamy to za srogi los żołnierza, który zamiast w ręce nieprzyjaciela wpaść w łapy drapieżne dzikiego zwierza; lecz zawsze bolesne współczucie nasze osładza się tem przekonaniem, że ci rycerze byli-to ofiarnicy, którzy poświęcili swe ciała w zupełnej świadomości tego, co czynią i w czasie takim kiedy naród wymagał od nich ofiary. Lecz kiedy widzimy prostaczków, nieświadomych siebie i mających tylko gorącą miłość dla Polski, której oni ani swą pracą, ani swem poświęceniem zbawić nie potrafią, a mimo to popadają pomiędzy kły owych zwierząt drapieżnych i tak niełitościwie są poszarpani, to, obok głębokiego oburzenia przeciw zwierzętom, przejmuje nas uczucie jakoby jakiejś ckliwej niecierpliwości, i pytamy się: Czyż Polska potrzebuje takich ofiar niewczesnych? czyż nie dość poświęcać się wtenczas, kiedy jest konieczna tego potrzeba? czyż niemasz już żadnego sposobu ochronienia tych ludzi od takich ofiar, które zawsze wysoko się cenią u Boga, ale żadnej korzyści nie przynoszą ludziom, mieszkającym na ziemi? — Takimi myślami trapiiony, rozmawiałem z tem biedactwem, zadając im rozmaite pytania, kiedy tymczasem jeden z nich, człek prosty lecz rozgarniony, taką dał mi odpowiedź:

— Największem naszym nieszczęściem było to, żeśmy w młodości naszej nie nabrali cokolwiek nauki, któraby głowy nasze rozświeciła. Gdybyśmy byli mieli więcej rozumu, a do tego gdyby każdy z nas był do

czegoś usposobiony, tobyśmy byli wiedzieli, że w czasach spokojnych lepiej się służy ojczyźnie umiejętną a pożyteczną pracą dla kraju, niżeli niecierpliwymi porywami, choćby nawet najszlachetniejszego uczucia serca. Niemasz wątpienia, że barbarzyńscy nasi wrogowie wybierają sobie często ofiary bez żadnego powodu, na to niemasz ratunku; ale przecież najczęściej daje się im do tego, jeżeli nie powody, to przynajmniej pozory, a i tegoby można uniknąć. Gdybyśmy byli mieli więcej rozumu i troskliwszą opiekę starszych nad nami, to wielu z nas byłoby wcale nie popadło w taką niedolę, a i ci jeszcze, których już to nieszczęście spotkać musiało, byliby mogli los swój znacznie poprawić. Ale cóż chcecie, jeśli człek głupi. Głupiemu zawsze się źle dziać musi na świecie. W onych tam krajach pod panowaniem moskiewskiem i o naukę jest trudno; Moskale chcą, aby lud zawsze był ciemnym; tak rozumieją, że łatwiej mogą nim rządzić i lepiej go mogą obdzierać. Ale ja, Panie, jestem z Czerwonej Rusi. Tutaj jest wolność, tu można szkoły zakładać, tu wolno opiekować się ludem i, byleby tylko była wola starszych po temu, to możnaby go w niedługim czasie oświecić, do warsztw ukształconych przybliżyć, a nareszcie zlać z nimi w jedno, aby od końca do końca był jeden naród, jak Pan Bóg przykazał. Ale na to potrzeba, aby na wierzech były głowy otwarte i dobrej woli, a natchnione szczerą miłością dla całego ludu, i trzeba, aby się cały kraj równo rozwijał, ażeby precz rzucił dawne uprzedzenia, aby się sam ciągle uczył, aby wciąż postępował, aby na ścieżaj wrota otworzył temu wszystkiemu, co rozumne i pożyteczne, a wtedy nie długoby czekał na to, kiedyby się z

owymi szczęśliwymi narodami porównał, co okryte i syte, pod swymi własnymi rządami, chwałą Boga przy dostatnim chlebie codziennym.

Słuchałem tego człowieka z uwagą i mówiłem sobie: Prosty-to rzemieślniczek, a jak mądrze powiada. Jak to dziś światło samo się wszędzie dociska i jak to nie wiele potrzeba na to, aby je między wszystkie warsztwy rozszerzyć. Potrzeba tylko strzedz tego, ażeby dobry wzięło kierunek; lecz o to nie masz wcale obawy, bo oświeceni, których dziś u nas tak wiele, jakiegokolwiek tam polityczne maxymy ich dzielą pomiędzy sobą, w tem przecież wszyscy muszą być jednej myśli, że światło należy wszelkimi siłami rozszerzać w narodzie, że trzeba co prędzej pozbywać się starych przesądów, które nas swego czasu zgubiły, a i dziś jeszcze wyróżniają od ludów oświeconych, że trzeba rozwijać się i postępować naprzód wedle sił naszych tym samym krokiem, jak inne narody: bo jeśli jeszcze jest dla nas zbawienie, to tylko wtedy, kiedy oświatą i pracą zasłużymy sobie na to stanowisko, jakie zająć pragniemy w rodzinie państw i narodów. Czyż jest kto w Polsce, któryby w tej sprawie żywotnej miał inne zapatrywanie?...

Tak sobie myślałem, i to mnie uspokoiło.

Ale mimo to czułem się mocno zmęczonym, bo mnie sam widok tych nieszczęśliwych i ich opowiadania mocno wzburzyły. Odprowadziłem ich tedy do swoich, a sam zapragnąłem cokolwiek odpocząć. Położyłem się zatem na małej chmurce puchowej i trochę przysnąłem.

Z początku, jako to i wam się zdarza na ziemi, jakieś

bezladne rzeczy mi się marzyły. Śniegi sybirskie, piaski kirgizkie, rot y orenburskie; to znowu Ruś święta, to Litwa, to Kraków; aż wreszcie znalazłem się w jakimś mieście nad wielką rzeką, w którym jużci kiedyś bywałem, a przecie nie wiem, co to za miasto. I mówię sobie: bodaj czy to nie Wiedeń. A jużci Wiedeń, bo owo widzę wieżę Św. Szczepana, pod boki em Dunaj, a dalej ową Łysą Górę, gdzie niegdy Sobieski stał z swymi hufcami. Dzia d mój tam był, pokumał się z Rakuszany i dla tego potem posłał był mego ojca na terminowanie do wojska Chrześcijańskiego Cesarza. Rozpatruję się tedy po mieście, aż owo dziwne przedstawiło mi się widowisko.

Widzę przed sobą jakoby bodium z desek złożone, na którym-to ludzie w dnie święteczne zabawiają się tańcem. Na środku Pan Grocholski z Panem Popielem, w kontuszach, ale w kapeluszach stosowanych na głowie, wzięli się z sobą pod ramiona i walą sztajera, a to z taką ochotą, że im wyloty i pasy latają w powietrzu. Trzech muzykantów czeskich siedzi pod ścianą, jeden ze skrzypicą, drugi z klarynetem a trzeci z basami, i rzną im od ucha, a to na nótę niemiecką:

*Ihr habt mich nicht verstanden,
Ich verstand nicht euch...*

Kilku posłów naszych stoi po prawej i bardzo się cieszą tym tańcem, a niektórzy z nich klaszczą w ręce i podrygują. Po lewej w głębi, w geheimratowskich mundurach, stoi stary Metternich z Kriegerem i tak się śmieją, że aż się trzymają za boki. Nie daleko od nich pierwszy faifer

Stańczyków, w jakimś kubraku skrojonym niby nakształt mundurka i w kaszkieciku z orzełkiem, do owych ministrów zwrócony, wskazuje ręką na tańczących, jakoby im chciał przedstawić niby komedję przez siebie urządzoną, na co oni jednak wcale nie zwracają uwagi. Na samym froncie, tuż przy mnie, po lewej, stoi Kowbasiuk, w siermiędze i w czapce na zawiasach, bardzo zamyślony, podnosi rękę prawą ku czołu i mówi:

Czołownik mowczył a wsio znaje...

A wtem zjawia się w powietrzu po prawej duch Tarasa Szewczenki, w szynelu rot orenburskich, bardzo niecierpliwy i gniewny i woła do Kowbasiuka:

— Mudiul ta szczo ty znajesz?

A Kowbasiuk na to, wskazując ręką na tańczących:

— To moje diło. « Naj tak bude jak buwało. »

Niezmiernie kłiwie mi się zrobiło, chciałem myśleć i zacząłem mówić do siebie: Jakto? Więc przywódcy dwóch stronnictw polskich, patrzący dotąd zyzem na siebie, mieliby się pogodzić ze sobą na zasadzie przez ciemnego chłopą wymyślonej: « Naj tak bude jak buwało? » — Kiedy wtem jakiś duch inny przeleciał nademną i zawołał: Góra z górą się nie zejdzie... Reszty niedosłyszałem. Lecz za to nawskróś mnie przejęły dalsze jego słowa w ten sens:

— A któż-to powiedział: « Stójmy tak na ojców kości? »

Lecz wtem wzdrachnałem się i oczy otworzyłem szeroko. Nie leżałem już wtedy na owej chmurce zdradzieckiej, która mnie nad brzegi Dunaju przeniosła, tylko na ziemi, pod wielkiem drzewem, lecz zawsze jeszcze jakby wpół-

senny. Nareszcie patrzę, a tu Pan Mickiewicz stoi nademną i mówi śmiejąc się:

— « Marzyłem cudnie, srodze mnie zbudzono. »

Ale mnie wcale nie było do śmiechu. Więc rzeknę do niego:

— Czy Waszmość wiesz, Panie Adamie, co mi się śniło?

— A juźci wiem, — powie on na to, — tylko że to nie sen, ano istna prawda.

— Jakto? — zawołałem, zrywając się na równe nogi, — to prawda? Przecież-to czyste błazeństwo.

A Mickiewicz śmiał się i mówił:

— Ej! mój stary szlachcicu, widzi mi się, że franta udajesz. Azaż-to nie wiesz, że tam dziś taki czas przyszedł, gdzie sprawy publiczne się po błazeńsku traktują?

Więc spojrzę na niego zdziwionemi oczyma, już wcale nie wiem co myśli, a strzel w łeb nie rozumiem, dla czego taki wesoły. A on zaś na to:

— Nie smuć-że się tem, panie bracie. Czas ten tak samo minie jak owa zmora, która cię dopiero męczyła — a naszej Polsce dla tego ani włos z głowy nie spadnie. Pomni na to, co nam już przed wiekami Kochanowski powiedział: jako sam Pan Bóg śmieje się z nieba, kiedy się człowiek troszczy więcej niżli trzeba. A jeśli chcesz, to ja ci to wytłumaczę. Oto w ostatniem powstaniu tym naszym niebożętom na ziemi dużo krwi upuszczono. Za tem idzie anemia, która tak samo przychodzi na narody, jak i na ludzie. W takim czasie w społeczeństwach objawiają się wszystkie następstwa zmęczenia: ociężałość, ospałość, obojętność na wszystko i brak siły duchowej, nietylko

dotadniej i twórczej, ale nawet odpornej. Wtedy lada kto, który zechce się krzątać i ruszać, bierze górę nad społeczeństwem i robi co mu się żywnie podoba, — a społeczeństwo spi i pozwoli sobie kołki ciosać na głowie. Z takich chwil korzystają zazwyczaj awanturnicy, powstają fałszywe proroki, wyłażą na wierzch płazy wszelkiego rodzaju i prawie zawsze im się udaje utrzymać się przez jakiś czas na powierzchni, a każdemu z nich upiec pieczeń, jaka mu właśnie smakuje. Ten złapie jakąś katedrę i będzie uczył drugich, czego sam nie umie; drugi jakąś niezdatną książkę ulepi, a jego konfratry obwołają go wielkim uczonym; trzeci zostanie ministrem, czwarty bankierem, a piąty i szósty pochwytają inne prebendy, aby jeść tłusty kawałek chleba bez pracy, któregoby nigdy nie mieli, kiedyby nań potrzeba zasłużyć. A jak się takich dygnitarzy nazbiera liczba, wtedy się zwiążą ze sobą i zastęp utworzą, który broni swych posad z daleko większą zawziętością, a często i bezczelnością, niżeli ludzie cnotliwi bronią swojej ojczyzny. Takie zastępy, które my nazywamy fakcyami, wielką zazwyczaj przynoszą szkodę swemu krajowi; mniejsza o chleb, który zjedzą, przyjdzie drugie żniwo i znowu chleb będzie: ale obniżają one poziom kształcenia publicznego, oziębiamą ciepłą temperaturę serca, w której cnoty obywatelskie się rodzą, podkopują moralność publiczną i zaśmiecają umysły plugawymi chwastami, które potem nie łatwo wypłenić. A teraz Waszmość zrozumiesz, dla czego przyjęli zasadę: « Naj tak bude, jak buwało. » Jest-to zasada zastoju, zasada utrzymywania ciemnoty, bo tylko tam gdzie ciemno, może nieuk być profesorem, głupiec pisarzem,

a bankrut bankierem. Ale nie frasuj się tem nad miarę : naród nasz jest-to lew. Obsiadły go baki, bo spi; jak wstanie, raz tylko wstrząśnie grzywą i baki odlecą na gnojowisko, do którego należą.

Tak mówi mąż wielkiej wiary i patrzący na rzeczy z wysoka. Ale nie każdemu jest dano wznieść się na takie wysokości. Na ziemi, tylko naród potężny i ciągle świadomy swej siły może przez jakiś czas obojętnie patrzeć na to, że się tam kędyś między jego synami błakają fałszywe proroki i że się tworzą fakcyjki, które się ubijają o władzę. Naród tak nieszczęśliwy jak nasz, musi być jak matka troskliwa, która oka nie spuszcza z swych dzieci, i wieczorem i rankiem nagłada, aby się pomiędzy nie jaki hultaj nie zakradł, któryby nasiał zgorszenia. To też trafną zrobił uwagę Pan Jędrzej Śniadecki, który się właśnie do nas przybliżył, mówiąc z uśmiechem :

— Nie można się lepiej Stańczykom przysłużyć, jak patrząc na te rzeczy tak bardzo z wysoka. A wszakżeż oni sobie nic więcej nie życzą, jak tylko, ażeby lew tak sobie marzył i spał dalej spokojnie — a nie zbudził się, póki ich stanie na świecie. Co po ich śmierci nastąpi, to im wcale jest obojętne. Lecz o to właśnie chodzi, ażeby się lew zbudził i otrząsł ze siebie owady... A nadto jeszcze — skończył pan Jędrzej — podobno głębiej te rzeczy tam idą. Przyjęto tam bowiem, chociaż może tylko pozornie, całę nową zasadę, która się nazywa; Magnaci, i lud! a o tem dużo-by się dało powiedzieć.

Tymczasem nasi już się zgromadzili około siebie i bardzo tam gwarno pomiędzy nimi. Xiądz Podkanclerzy głos za-

brał i mówi z naciskiem, jak to jest zwyczajem u niego :

— Magnaci i lud! oto jest zasada, która niemal z każdego wiersza, choć nie z każdego uczynku Stańczyków wygląda. Kiedy się urodziła, trudno tego dójść z taką dokładnością, jakiej wymaga historia. Początków jej trzeba szukać w oligarchicznych tradycjach. Mętno tam w tych tradycjach, jak we wszystkich ustnych puściznach. Lecz trudno tam się dopatrzeć magnata, któryby był probował opierać się na masach wiejskiego ludu. Dla nich drobniejsza szlachta była ludem, której też nadużywali we wszystkich swoich rokoszach. Ale ta szlachta się wyzwoliła z moralnej niewoli magnatów, a wyzwolenie to pada na czasy Konfederacji Barskiej, właśnie w tę epokę, kiedy po wiekowem uspieniu duch narodowy się zbudził i zbudził się właśnie w tych masach drobniejszej szlachty, która była ludem w tym narodzie, gdzie lud właściwy był martwą bryłą. Miała i Konfederacya Barska swoich magnatów, samych Potockich było w niej ośmiu; ale to nie o tych tu mowa, bo z tych każdy chciał tylko być pierwszym w ofiarach i poświęceniu, a żaden z nich nie dobijał się władzy ani dla siebie, ani dla swego rodu. Konfederacya Targowicka, podniósłszy sztandar oligarchiczny, pociągnęła na chwilę za sobą drobniejszą szlachtę, ale ludu nie tknęła: zanadto świeże jeszcze były natenczas wspomnienia rzezi humańskiej. Lud szlachecki i nieszlachecki gromadził się wtedy pod chorągwie Xięcia Józefa, a lud wiejski po raz pierwszy wystąpił na plac bojowy pod sztandarami Kościuszki. Wówczas też po raz pierwszy zrozumiano u nas znaczenie ludu: ale i wtedy jeszcze żaden magnat o tem nie pomyślał, aby go opa-

nować do swoich celów, bo ten lud poszedł w legiony, a później zappełnił szeregi armii polskiej w Królestwie. Od tego czasu ta szlachta, drobniejsza i większa i najznaczniejsza, a zacna, przestała być szlachtą w dawnym znaczeniu, bo któż pytał legionistę, jakiego jest herbu? i kto dziś pyta swego rodaka: « ażali pokaże z xiąg szlachecka, dziada? » jak skoro na naszej urodził się ziemi, naszym mówi językiem i do polskiej przyznaje się wiary. Owa *démocratie nobiliaire*, o której rospisywał się Rousseau, składa się dziś z szlachty i nieszlachty, nikt tam nikogo o rodowód nie pyta, a każdy do niej należy, kto kocha ojczyznę i pragnie jej zbawienia. Wyróżniają się od niej ci tylko, którzy prywatę kładą nad Polskę, a którym Polska tylko na to potrzebna, aby się jej chlebem karmili. To też tych właśnie kłuje w oczy ta demokracja, którą nazywają szlachecką i tej demokracji się boją więcej, bo to są miliony, — miliony rozumne, zacne i patriotyczne, których niema czem kupić, jak dawniej, bo worka na to nie stanie, których okiełznać nie można, bo się nie dadzą, a którzy dziwnie są niedogodni, bo są potęgą i tworzą opinią publiczną. Otóż któryś z tych Panów, którym tak wstrętnym jest ten gmin szlachecki, rzucił raz kiedyś, z pewnym zamiarem, albo też z niechcienia, na jawie albo w śnie poetycznym, wierszem czy prozą, myśl, aby Panowie na ludzie wiejskim się oparli, a tak ów gmin szlachecki, w którym on widział rewolucją wcieloną, zrównoważą, a może nawet przeważą. Obiecywał on za to: « że magnaty kiedyś wstaną, z wielką tęczą chorągwaną i rozpoczną wielki bój », a natenczas: « z szlachtą polską polski lud » wyswobodzi Polskę z krzyża

zdjętą i zrobi z niej Chrystusa narodów! Któż tam wie dzisiaj, co on sobie przy tem myślał, *poeta eximius et elegantissimus*, ale rozbitego serca i chorobliwej fantazy; filozof nie umiejący myśleć logicznie, uczuciowy polityk i religijny heretyk. Wszelako znaleźli się ludzie, którzy tę myśl podjęli i rozmaite przedsiębrali experymenty, aby ją w życie wprowadzić. Rzucone przez tego pisarza w poetycznym zapale dwa słowa podnieśli Stańczycy do znaczenia politycznej zasady: czy tylko dla tego, ażeby za jej pomocą zyskiwać protekcją błakających się jeszcze tu i ówdzie nierozumnych magnatów i kluczem tym ich szkatułki *pro publico bono* otwierać?— czy tym niedobitkom arystokracji rzeczywiście się marzy, że wytworzą stronnictwo, złożone z magnatów i ich achatesów, a opierające się na masach wiejskiego ludu? — to się niebawem pokaże. Cóżkolwiek bądź, zawsze do tego celu im trzeba, aby lud pozostał ciemnym i nieukształconym, ażeby się nie poczuł w swojej niezawisłości, którą mu dziś ubezpieczono prawami, ażeby nie wyrobił w sobie uczucia patryotyzmu, ofiary i poświęcenia, bo wtedy nietylko niepodobna-by było go opanować, ale nie można-by nawet udawać, że się ma wpływy na niego. Stąd idzie, iż partya krakowska zawsze sprzeciwiać się będzie rozszerzaniu oświaty pomiędzy ludem i zakładaniu szkółek ludowych, a jeśli takie szkółki z konieczności powstawać będą, postara się je opanować; i tak je prowadzić, jak jej właśnie potrzeba. Stąd także idzie, że partya podolska, dla której chłop ruski jeszcze zawsze jest « zbójem », znalazła punkt zetknięcia się z partya krakowską, a ostatecznym tego wynikiem to będzie, że Podolanie nabiorą tytułów excelencyi, hrabiów

i szambelanów, o co właśnie im chodzi, a Krakowianie będą kierować delegacją polską w Wiedniu, jak im się będzie podobać, bez czego nie mogliby dobić się do jakiegokolwiek znaczenia w stolicy Monarchii. Z punktu intrygi głupie to nie jest: ale jakim sposobem robota ta może Polsce usłużyć, jeśli to kto wie, to niechaj mi powie.

Po chwili milczenia chciał mówić Kasztelan Wężyk, czy słodko, czy jadownicie, to trudno zgadnąć, bo przy wielkiej słodczy zawsze jad nosił przy sobie, tak że nawet mawiano o nim: «Co Łoś, to zwierzyna; co Wąż, to gazdina», a zjadliwy Pan Mieroszowski uważał nawet, że między Wężykami są grzechotniki; ale tymczasem zabrał głos Xiądz Woronicz, ile że w rzeczach stosowania się do okoliczności wielkie ma doświadczenie, i tak mówił:

— Ja tylko na to ostatnie odpowiem pytanie. Powiedzieliście sami, że w tych czasach głównie chodziło o to, aby kraj zyskał zaufanie u Rządu i Dworu, bo tylko tym środkiem można było dlań pewne swobody otrzymać i takowe rozwijać. Powiedzieliście także, że zaufanie to uzyskali nie przewodnicy partyi krakowskiej, której wówczas jeszcze nie było, tylko całkiem inni ludzie z Gołuchowskim na czele. Ja temu nie przeczę, bo tak to było. Ależ mi przyznać musicie, że zaufanie to trzeba było utrzymać. Gołuchowski odszedł, innego Namiestnika nie było, on sam wtedy pozostał prawie bezczynnym i nikt inny nie wysunął się naprzód, a przecież trzeba było koniecznie, aby ktoś był w kraju i w Wiedniu, któregooby znano, i po którymby widziano, że kraj trwa w tej postawie, która zasługuje na zaufanie. Ażaliż-to zaraz jest zbrodnią, jeżeli ktoś w takiej potrzebie wysunie się naprzód i weźmie

służbę na siebie? Nie widzę także, ażeby zaraz instygować na gardło, jeżeli z tych, którzy stoją na przedzie, jednemu się jakaś godność dostanie, a drugiemu kawałek chleba. Kto przy kościele mieszka, ten z kościoła żyje: zawsze tak było i zawsze tak będzie na świecie.

A na to znowu Xiądz Podkanclerzy:

— Prawdę mówisz Jegomość: zawsze tak będzie na świecie. Ale nie o to tu idzie. A któż też u Pana Boga nagrody temu zazdrości, który za innych pracuje? Kto łaknie chleba, niechaj chleb weźmie, a komu się zachce świecidła, niechaj się upstry świecidłem. Ludzka-to rzecz, że zawsze ktoś za czemś goni, a nie każdemu być Kościuszką, który nigdy nie chciał dla siebie. Toż gdyby ci ludzie byli wysunęli się naprzód, aby reprezentować kraj cały, nieby im nikt nie zarzucił, a każdyby ich pochwalił. Ale oni, jeszcze nim wysunęli się naprzód, już się zeń wyróżnili i utworzyli klikę odrębną pod hasłem: «Tylko my godni jesteśmy zaufania, a reszta wszystko warchoły». A więc to nie w tym celu wysunęli się naprzód, aby sprawować rzecz kraju, tylko ażeby służyć samym sobie, a jeszcze do tego i kraj dać w podejrzenie. Nie patriotyczna-to zatem, ale fakcyjna była robota, — a jako taka już w samym początku zasłużyła na potępienie. Gdybyż-to jeszcze fakcja ta była ograniczyła się na tem, ażeby wewnątrz kraju wywalczać pierwszeństwo tym albo owym zasadom, natenczas, jeżeliby to były istotnie zasady, a nie cele egoistyczne, byłaby mogła się nazwać stronnictwem, i kraj mógł ją znieść, chociażby te zasady były nawet fałszywe. Ale ta fakcja wyniosła się po za granice kraju i rozłożyła się w Wiedniu, aby tam przed ob-

cymi go osławić, że nie jest zgodny ze sobą, i ażeby Wiedeń okłamać, że tylko ona godną jest zaufania, a reszta kraju pod tym względem jest co najmniej bardzo wątpliwą. Ażaliż takie postępowanie jest zacne i patryotyczne? Ażaliż tak kiedykolwiek postępowali Węgrzy, kiedy o swoje swobody dobijali się w Wiedniu? Ażaliż tak postępują Wielkopolanie w Berlinie? Owo więc już w tem samym leży ciężki występki, którego nic nigdy usprawiedliwić nie zdoła, a dalsze następstwa, jakie z tego wynikną, będą jeszcze daleko gorsze. Czekajmy, to obaczmy. Ale nie trzeba być prorokiem, aby już dziś przepowiedzieć, że fakcya ta w rozpoczętej przez siebie czynności się nie zatrzyma i pójdzie dalej tym samym torem. Dobrze powiedział Jmć X. Biskup Woronicz, że zaufanie to, jakie chce zyskać dla siebie, będzie pragnęła utrzymać. Ale jakiemiz-to środkami będzie ona dążyć do tego celu, jak skoro się wyosobniła od reszty kraju i wyrzekła zasadę, że tylko ona jest zdolną wdzięczności za nadane swobody i wierności dla Tronu, a w reszcie kraju uczucia te muszą się dopiero wyrobić? Wypowiedziawszy kłamliwie w Tece Stańczyka, że kraj jeszcze jest ciągle burzony i niepokoiony przez rewolucyjne stronnictwa, ażaliż nie będzie usiłowała dowieść, że to jest prawdą, a nie kłamstwem i potwarzą? A gdzież-to będzie ona składać na to dowody? Nie w kraju, lecz w Wiedniu, a może i w Petersburgu. A czemże-to są takie dowody, nawet jeżeli prawdy dowodzą? Denuncyacją swych własnych braci przed wrogiem. A czem-że one są, jeżeli są skłamane? Zbrodnią dalego gorszą od tych, które gardłem się karzą. I cóż ztąd w ostateczności wyniknie? Oto wewnątrz głę-

bokie społeczeństwa rozdarcie, wojna domowa na języki i pióra, zatamowanie spokojnej pracy i wzajemne szkolenie się, a na zewnątrz odkrycie ran nas toczących i osłabienie znaczenia narodu.

Na taki wywód wszyscy posmutnieli, a nawet i Xiądz Woronicz już nie opponował. Natomiast zaś Pan Niemcewicz zabrał głos i tak mówił:

— Na wszystko się zgadzam, coś tu powiedział Xiężę Hugonie, ale uważam za rzecz konieczną pójść jeszcze cokolwiek dalej i powiedzieć przedewszystkiem, że kraj w tem położeniu potrzebował reprezentantów, ale nie mentorów. Reprezentantów swoich sam kraj tworzy, wysuwając naprzód tych, którzy się odznaczyli zdolnością, pracą i zacnością postępowania; mentorowie zaś sami się narzucają — a w tem leży wielka różnica, którą podnieść należy. Nie udowodnione zdolności, nie cnoty obywatelskie, nie praca, nie zasługa, nie opinija publiczna tych panów w górę wyniosła, ale sami oni na krzesła kurulskie wtargnęli. I jakież był ich tytuł do tego? Oto należeliśmy sami do konspiracyi, powiadają oni w swych pismach, popieraliśmy źle obmyślane powstanie, zasiedliśmy w odłame Rządu Narodowego, aby to źle obmyślane powstanie niezdarnie kierować; powstanie się nieudało; wierzyliśmy w interwencyę trzech mocarstw, mylna-to była rachuba; omyliliśmy się, sami to przyznajemy: a ponieważśmy się już raz omylili, więc teraz znowu się wam na przywódców rekomendujemy i znowu będziemy wami kierować. Ażaliż kto widział gdzie farsę podobną, oprócz w Jowialskim? Słyszeliście? więc słuchajcie. Jakoż dziwić się trzeba, i ja do dziś dnia tego

pojąć nie mogę, że kraj nie parsknął od śmiechu, widząc takich facetów zrywających się do przewodnictwa. Tłumaczę sobie to tem, że skutkiem niebywałego dotąd zmęczenia, jak to Xiąże Biskup powiedział, popadł w ospałość... Kraj potrzebował rostopnych reprezentantów na zewnątrz, bo rzeczywiście o to chodziło, ażeby jego rostopności ufano. Lecz w całym kraju nie było i niemasz nikogo, któryby nie był przekonany, że się przed nim na długo zamknęły wszelkie rozleglejsze widoki i że wszedł w taką epokę, w której, godząc się z tem położeniem, w jakim się znajduje, nie pozostaje mu nic innego, jak spokojnie i wytrwale około siebie samego pracować, unikając choćby najmniejszego wstrząśnienia i wyrzekając się nawet wszelkiego mieszania się w sprawy sąsiednie, które go bezpośrednio nie dotyczą. Gdzież, mówmy prawdę, był naówczas choćby jeden taki półgłówek w Galicyi, któryby myślał o konspiracyach? gdzie był taki szaleniec, któryby marzył o zdobyciu siłą jakiegokolwiek korzyści dla kraju, a choćby tylko o zdobyciu przez konspiracye jakiegokolwiek korzyści dla siebie? czy taki szaleniec, gdyby się nawet był znalazł, byłby przez kogokolwiek słuchany? czy nie zamknięto-by mu wszędzie drzwi na wszystkie zasuwki? czy był-by mu ktokolwiek dał choćby dwa grosze na tak zwane cele publiczne? A przecież Teka Stańczyka ma tę bezczelność pisać na stu stronicach, że kraj się mrowi od konspiratorów, którzy zagrażają publicznemu spokojowi i haniebnie próżnym naówczas szlacheckim! Gdyby w tem nie było występku, tobym powiedział, że ci panowie zanurzyli się w mitolo-

gię litewską i że im chodzi Świstum-Poświstum po głowach.

— Tak, — rzecze na to pan Jędrzej, — czytając te elukubracje Stańczyków, ma się istotnie to wrażenie, jak gdyby się brodziło po mitologii litewskiej.

Tymczasem Pan Niemcewicz mówił dalej:

— Lecz przypuśćmy nawet, że między rozbitkami powstania był tu i owdzie jakiś szaleniec, który, błakając się między dwory, plółł trzy-po-trzy szlachciom. Szlachta nasza nigdy się rewolucyi nie boi przed wybuchem; ale strach u niej ma zawsze wielkie oczy po jej utłumieniu, z jednej strony przed Moskalami, a z drugiej przed nie-dobitkami powstania, w ostatnich czasach nawet przed rewolucją ludową, która tak pięknie jest odmalowana w Nieboskiej Komedyi. « Arcykapłanie! daj mi święcenie zbójeckie! » Dość na to czytać Listy Krasińskiego z roku 1846, który jeszcze w kilka miesięcy po rzezi, kiedy w Królestwie już dawno chłop leżał na ziemi, przygnieciony do ziemi kolbami karabinów moskiewskich, a w Galicyi tyfus głodowy, jako karanie Boże, dziesiątkował lud wiejski, trawił w gorączce noce bezsenne, przewidując lud, połączony z przechrztami, chwytający za noże i całej szlachty wyrżnięcie. A gorączkę tę wywoływały u niego, nie duch jego proroczy, który nie nigdy nie wyprorokował oprócz własnych snów swoich, tylko listy otrzymane z kraju od szlachty. I czyż-to nie widzieliśmy sami tej szlachty po utłumionych powstaniach: jako ten zamyka się na trzy klamki przed swoim bratem, z którym niedawno stał w jednym szeregu, ów drugi chowa się w myszą dziurę przed Moskalami, chociaż jak żyje nie

tknął się ani konspiracyi, ani powstania, a trzeciemu jelita się trzęsą od strachu, ażeby mu maróдеры powstania nie rozbili jego żelaznych kufrów, chociaż w nich ani tynfa nie znajdziesz?

Otóż-to właśnie na ten komiczny strach szlachty liczyli Stańczycy — i nie przeliczyli się. Falszywi prorocy pomiędzy tchórzami znaleźli swoich adeptów i gmach swój, zlepiiony z gnijących korzeni narodowego dębu, zbudowali na strachu.

— Tak, rzeczywiście, — ozwał się Pan Śniadecki, lecz, będąc zawsze równie za dokładnością wysłowienia, jak za potocznością wykładu, nawołał mowcę do porządku słowy:

— Więc: przypuściwszy nawet...

— Lecz przypuściwszy nawet, — ciągnął dalej Niemcewicz, — że między rozbitkami powstania był tu i owdzie jakiś szaleniec, który spokojne zapatrywanie się ogółu na sprawy kraju mógł być zamącić, to przecież w takim wypadku tak się nie postępuje, jeżeli się jest zacnym i jeśli się ma rzeczywistą miłość ojczyzny. Nie denuncjuje się zbłąkanych obywateli przed krajem, aby bezpotrzebnie niepokoić powszechność i odrywać ją od pracy spokojnej, kiedy jest rzeczą pewną, że jej żadne nie grozi niebezpieczeństwo — a tem mniej jeszcze wolno jest kraj denuncyować przed obcym Rządem jedynie tylko dlatego, ażeby tchórzów i frantów zgromadzić około siebie w kraju i stworzyć fakcye, na której czele można na polityczne targowisko wyjechać i tam się przedstawić z pokorną prośbą o nominacyą na zagranicznego żandarma we własnej ojczyźnie. Dopóki obywatelskie cnoty żyją w naro-

dzie, gdzie warsztwy oświecone łączy w jedną całość ze sobą prawdziwa miłość ojczyzny, tam takie środki, nawet w wypadkach rzeczywistego niebezpieczeństwa, są przekłete; bo tam zawsze się znajdzie jeszcze dość ludzi znacznych, mających poważanie powszechne, którzy będą mieli dość wpływu, ażeby zbłąkanych szaleńców oświecić, uspokoić, nawrócić, a w danym razie poskromić. Poskromienie w tem położeniu byłoby było o tyle łatwiejszem, ile że cały kraj nie pragnął niczego więcej jak spokoju, a przeto każdy, kto by się z słowem rozsądnem odezwał, mógł był być pewnym, że zostanie jednomyślnie popartym przez całą opinię publiczną. Jeżeli ci Panowie, przeciwni istotnie owym strachem szlacheckim, który uwiecznił Krasiński, mieli na oku dobro kraju i swoich bliźnich, to dlaczegóż przedwzyszkim nie wystąpili z podaniem faktów, które były im znane i z upomnieniem natchnionem miłością i dobrą wolą? Dopiero wtedy, gdyby im na to upomnienie odpowiesziano błyśnięciem noża, dopiero wtedy mieliby byli prawo obejrzeć się za innymi środkami — a i wtedy jeszcze wolno im było szukać tych środków tylko we wnętrzu kraju, tylko w skupieniu poważnej opinii publicznej, a nie w rozdarciu kraju i odsłonienu przed światem ran jego. A tak, i z tego punktu widzenia mamy dowód niezbity, że nie chodziło tam ani o kraj, ani o spokój publiczny, ani o wytworzenie poważnej opinii, ani nawet o zorganizowanie zachowawczego stronnictwa, tylko o wystruganie klikki z kilku lub kilkunastu konfratrów złożonej, o zdobycie dla niej pewnego znaczenia w kraju i za granicą i o wyłowienie posad intratnych i mniemanych zaszczytów.

— Prawdę mówisz, — rzekł na to Xiążę Biskup, — mów dalej.

Więc tedy Niemcewicz tak skonczył:

— Im dalej w las, tem więcej drew. W społeczeństwie moralnie rozbitem, gdzie nie masz jeszcze żadnego skupienia, lada zawiązek ludzi czemkolwiek zespolonych ze sobą, rozwija w sobie siłę przyciągającą. W bezładzie pojęć, gdzie jeszcze nikt pewnej drogi przed sobą nie widzi, nic łatwiejszego jak kłamstwem odważnem nadać takiemu zawiązkowi pewne znaczenie. W kraju, który prócz tego jeszcze i materyalnie tak wiele ucierpiał, jest wielka liczba takich, którzy nie mogąc się dobić niczego własnymi siłami, szukają oparcia u tych, którzy mają choćby tylko pozory znaczenia i wpływów. Tak takie zawiąski rosną i rozszerzają się; kto słaby, niezaradny i w sobie omdlały, łączy się z nimi — a tak zamieniają się one z łatwością w fakcye, często daleko liczniejsze, niżeli ich twórcy sami się spodziewali. A kiedy taka fakcya nad spodziewanie wyrośnie, to zbiera ją chętką przybrać postawę stronnictwa i wtenczas wysila się na to, aby swoje myśli przewodnie ułożyć w system i upowodować je teoryami; — a kiedy już ci i owi mają ją za stronnictwo, natenczas szuka oparcia dla siebie w przeszłości, wyszukując sobie podobnych ludzi w historii, i uczuwa potrzebę otworzenia przyszłości dla siebie, napawając podrastające pokolenia zasadami wyznawanemi przez siebie. Cóż, to za plaga dla kraju, jeżeli te zasady są zgubne? Jak nieszczęśliwy ten kraj, który takiej zarazie nie potrafi się zaraz obronić? Historia nas uczy, że czasem pokoleń potrzeba na to, ażeby takie chwasty wyplenić i zatrutego ducha narodu uzdrowić...

Wszyscyśmy słuchali z nateżoną uwagą, bo nietylko prawdę, lecz bardzo przekonywająco mówił Niemcewicz. Ale najuważniej go słuchał Pan Ignacy Potocki, a chociaż zwykle roztargniony, często nawet dziecinnymi igrający żartami, tym razem jednego nie stracił słowa, a gdy Niemcewicz skończył, sam się odezwał w ten sens:

— A gdzie-to oni tych swoich wielkich ludzi szukają w przeszłości i jak bezsumiennie ich nadużywają do swoich celów! Tak przedewszystkiem przyczepili się do Zygmunta Krasińskiego, jako do swego proroka. Krasiński, znakomity poeta: jego Przedświt i Psalmi późne wieki czytać będą, tak jak dzisiejsze pokolenia czytają Kochanowskiego i Sępa-Szarzyńskiego, Górnickiego i Wujka. Ale wszystkie inne jego książki podpadają krytyce i mają tylko względne znaczenie. Należy on do szkoły bajronowskiej, dla nas Polaków zgubnej, bo główną jej cechą jest rozpacz i zwątpienie. Krasiński rozpaczliwym uczuciom odjąć się nie potrafił; wyrębał się wprawdzie ze zwątpienia, ale krzyżową sztuką, i dokądże-to zajechał! Pojęcia jego przez długi czas są bałamutne o wszystkim, sam nie wie czego chce i czego ma pragnąć. Przeczytał jednego filozofa i uwierzył w panteizm; przeczytał drugiego i uwierzył w ateizm: nuż tedy włosy sobie rwał z głowy, że z człowieka nic nie zostaje, że tylko świat jest wiecznym, a jednostki śmiertelne. Dowodzi to, że szkół porządnych nie przeszedł i nie zbudował w sobie poważnej podstawy do dalszego naukowego wykształcenia. To też do końca życia, błąkając się bez nici przewodniej po wszystkich naukach, nie dobił się do jasnego zrozumienia tego świata, w którym żył, a gdzie się zawsze czuł

jakby obcym. Jego zapatrywanie się na kwestye społeczne jest co najmniej naiwne, ażeby nie powiedzieć srodze przesądne. We Francyi na przykład nie widzi jak tylko kupców « chciwych i srogich, bo władną » i robotników « chciwych, namiętnych i okrutnych », bo cierpią. O duchowieństwie francuskim, o sądownictwie, o armii, tych trzech głównych żywiołach francuskiego narodu, wcale nie wie. Skutkiem tego nie tam istnieć nie może, jak tylko « despotyzm albo anarchija ». Rzeczpospolita tam się utrzymać nie może, — a według niego, nawet « Stany Zjednoczone Ameryki już się dziś chwieją. » My prosimy Boga, ażeby Polska stanęła na tak chwiejących się nogach jak Ameryka północna. Jego wyznanie polityczne, jakie w tem leży, określa się tedy w tych słowach: Ponieważ nikt nie chce anarchii, więc trzeba przyjąć despotyzm. Z zapatrywania się swego na sprawę polską wypowiedał się w Nieboskiej i w Przedświcie. W Nieboskiej patrzy on na społeczeństwo polskie przez czarno zadymione szkła najgłębszej rozpacz. Lud polski, który tam widzimy, są to pijane gromady zbójców, którzy żądają tylko chleba i zmysłowego użycia, a « czaszką świętego piją zdrowie swoich arcy-kapłanów ». Namby się zdało, że lud polski i ruski jest jeszcze najzdrowszą częścią naszego narodu, że jest bardzo nabożnym i że wcale cudzego dobra nie łaknie a pragnie tylko, ażeby z tej własności, którą posiada, nie musiał ponosić zbyt wielkich ciężarów. Częstka tego ludu w Nieboskiej trzyma ze swoim Panem; lecz któż-to jest ten pan, ten arystokrata, ten typ polskiego magnata? Oto zły mąż, bo zapędza żonę swoją do domu waryatów

i do grobu; zły ojciec, bo wychował swojego syna na jakieś fizycznie i moralnie wcale niezdarne stworzenie; zły pan dla swoich poddanych, bo nigdy nie pomyślał o tem, ażeby w jakibądź sposób polepszyć byt wiejskiego ludu; zły patriota nareszcie, bo nie chodzi mu o szczęście jego ojczyzny, tylko o panowanie arystokracji w ojczyźnie. A i ta arystokracja także w czarnych jest przedstawiona kolorach, bo w owym zamku magnata piwnice są przepełnione narzędziami tortur i kośćmi ofiar tam umęczonych, a szlachta, która się zgromadziła na zamku, bije się licho, bez wiary w zwycięstwo, przeciwnie nawet z przekonaniem, że zginie. Niemasz wątpienia, że bijąc się o złą sprawę, o panowanie jednej warsztwy społecznej nad drugą, trudno mieć wiarę w zwycięstwo. Lecz gdyby tak było, jak chce Krasiński w Nieboskiej, gdyby społeczeństwo nasze składało się tylko ze zbójeckiego ludu i z żadnej panowania arystokracji, to trzebaby rzeczywiście się oddać rozpacz i powiedzieć sobie: wart Pac pałaca, i zaprawdę lepiej, ażeby ten naród wyłukł się między sobą i zginął. Szczęściem jednak tak nie jest: bo lud nasz jest wprawdzie bryłą, lecz bryłą złotą, z której naród swojego czasu wykuje wielkie bogactwa, — arystokracja jest tylko w części przegniła, w ogólności zaś bez porównania więcej warta, niżeli Hrabia Henryk w Nieboskiej. Poezyi wolno jest nie trzymać się prawd matematycznych, ale jeżeli fałsz jest jej podstawą i jeśli mimo-to chce nauczać, natenczas staje się trucizną o tyle niebezpieczniejszą, im więcej jest czytana. W Przedświcie Krasiński wybił się ze zwątpienia na promieniste pole nadziei. Pięknem jest to zjawisko, gdzie więzień mocą

swojego ducha wyłamał się z ciemnicy i wleciał w owe ziemskie błękity, które oświeca wiara i nadzieja. Poeta tu wierzy w oswobodzenie Polski, jak w Boga. Poezya ta weszła na ołowianem niebie nieszczęśliwej ojczyzny jak jutrznia poranna — i o niej-to powinien był powiedzieć Słowacki: «Cała w słońcach, cała w błyskach, z kwiatem złotym w dłoni, Pastuszkowie przy ogniskach zaśpiewają o niej!» — Ale jakże-to poeta wyobraża sobie wyswobodzenie Polski? Oto za pomocą pokuty. Jest-to znowu obłęd fatalny. Za pomocą pokuty zbawi człowiek swoją grzeszną duszę, ale żaden naród się nie wydobędzie z niewoli. Klasztor-na-to prawda i pustelnicza, ale nie narodowa i nie polityczna. Jako taka była-by dla nas śmiertelną, bo zamieniła-by cały naród w pokutujących mnichów,— a że posty i biczowania tworzą pragnienie,— więc także i w popijających, czego za przewodem OO. Jezuitów jużemy byli tak bliscy za Sasów. Nie, nie bezmyślną pokutą, tylko rozwojem oświaty, czynną poprawą z błędów i pracą, wydobywają się narody z niewoli. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że poeta chrzci Polskę Chrystusem narodów i ogłasza, że wszystkie inne narody przez nią zostaną zbawione? Nie jestem kapłanem, ale ucząc się teologii w Rzymie, obznałomiłem się o tyle z zasadami religii, iż śmiem z pewnością powiedzieć, że jest-to po prostu herezya. Dziecinne-to zatem pojęcie posłannictwa Polski, a bardzo mętne w rzeczach wiary. Co Kajsiwicz pod tem rozumie, gdy mówi, że Krasiński się w roku 1847 nawrócił, to tylko jemu wiadomo. Myśmy tego nie spostrzegli w jego pismach późniejszych. Aż do sotatnich dni życia błąka on się w tych samych myślach

apokaliptycznych wstrząśnień na ziemi, zagładzenia staro-
rego świata, przedstworzennego chaosu pomiędzy ludami,
poczem, cud wielki nastąpi, a z tego cudu wypłynie Polska
jako przodowniczka narodów... Wzniosły-to bardzo poeta,
pełen myśli szczytnych, błyskający często przeczuciem
rzeczy, do których nie przyszedł rozumowaniem; człowiek
wielkiego serca, wielkiej zacności, brat serdeczny ubogich,
choć należący do najwyższych sfer społeczeństwa: ale,
n'en déplaie à M. Tarnowski, my tej « imponującej potęgi
rozumy » tam nie widzimy, przed którą on ugina kolana
i prawie woła z innym poetą: « Przed nim upadam na
twarz — on jest Bogiem. » Powiemy nawet więcej; my
wszystko, co kto chce, w Krasińskim widzimy, tylko tego
rozumu, na którym świat stoi, ani śladu.

A na to znów się odezwał Niemcewicz :

— Jest tam jeszcze coś, czego ja nie rozumiem, a to
jakiem prawem partya krakowska uważa Krasińskiego
za swego człowieka, jeżeli nie za swego politycznego pro-
roka. Przecież, jeżeli się nie mylę, głównym politycznym
rysem partyi krakowskiej jest to, że się wyrzeka Polski
całej i niepodległej, a przyjmuje podziały, kiedy tymcza-
sem Krasiński był stanowczym wyznawcą idei całości
i niepodległości, rozbiory uważał właśnie jako ową pie-
kielną zbrodnię, która piekło stworzyła na ziemi, a nawet,
jeśli dobrze pamiętam, siarczyste pioruny rzucał na tych,
którzy usiłują oswoić się z faktem rozbiorów. Panie Joa-
chimie! a co-to tam masz o tem w twoim raptularzu?

— To, co właśnie powiedziałeś, — odrzekł na to Lele-
wel. — Krasiński wyobrażał sobie Polskę swoim strojem,
zapewne z Hetmanami i Wojewodami, a może i z Kaptu-

rami, ale idea Polski całej i niepodległej żyje w nim nie_ tknięta, jest jego ewangelija, a *sacra ira* z niego wystrzela przeciw tym wszystkim, którzyby śmieli tej idei dotykać. Nie potrzeba na to dowodów, bo nie napisał dziesięciu wierszy, któreby nie były oparte na tej podstawie. Jest on też antypodem Stańczyków i, gdyby żył, byłby zapewne pierwszym, któryby ich potępił. Nawet ich już naprzód potępił, bo oto, co mówi w CII ze swoich Listów o tych, którzy fakcye tworzą w narodzie: « Czyż wstydu nie mają? czy hańby się nie lękają? kto kiedy rozdzielony czego dokazał? czyż najzarliwsi nawet nieprzyjaciele nasi nie zdumieją się nad niewyleczoną anarchiją naszą? czyż nie poznają po tym znaku, że u nas organizmu żywota nie masz? Nas zabijają, a my się dobijamy! » Zaś w liście CXXXVI potępia stanowczo Alexandra Wielopolskiego za jego List do Metternicha i mówi: « Można było dobitniej odeprzeć i autora przekonać, że jest najgłupszym z ludzi. » Ale na co tutaj sięgać do raptularza? Jeżeli Krasiński miał jaką myśl, która się da jasno określić, to było nią zbawienie Polski, a potępienie dla tych, którzy w jej przyszłość nie wierzą. Tylko prorokiem nie był i bardzo go ten poniża, który mu przypisuje proroctwa....

Tutaj Lelewelowi przerwał Pan Ignacy Potocki i tak mówił:

— Smutno jest widzieć, jak ci biedni ludzie zawsze jeszcze w to wierzą, że człowiek żyjący na ziemi samem przecuciem, może wywróżyć przyszłe rzeczy. Skutki zamierzonych lub dokonanych czynów można obliczyć rozumem, ale przecuć nikt nic nie może, bo to przechodzi granice warunków, które duchowi ludzkiemu za-

kreśliły prawa Boże. Mimo to ludzie zawsze jeszcze wierzą w prorocтва. Tak i Krasińskiemu przypisywano, a pan Tarnowski to, z dobrą wiarą zapewne, lecz bez zastanowienia powtarza, jakoby on wywieszczył rzeź galicyjską. Kto żył wówczas w tym kraju, temu nie może być niewiadomo, że już w roku 1845 każdy mandataryusz i każdy ekonom wiedział z pewnością, że jeżeli surdutowi powstaną, to i chłopi powstaną i przeciw nim się obrócą, bo już wtedy chodzili urlopnicy i inni tego rzędu emisaryusze, a nawet jeździli komisarze rządowi, wzywając lud do obrony przeciwko Panom, którzy chcą Cesarzowi chłopów odebrać, aby ich w niewolników obrócić. A jeśli był kto w kraju naówczas, który nie duchem wieszczym, ale mocą swego rozumu był przekonany, że powstanie się udać nie może, bo lud przeciw niemu się zburzy i na dwory uderzy, to był nim Bruno Kozłowski, obywatel znamienitego kształcenia i charakteru. Ale Bruno nie pisał wierszów, tylko wsiadł na wóz i puścił się w podróż po kraju, gromadząc szlachtę, wykładając jej nieuniknione skutki powstania i wzywając ją w imię Boga i miłości ojczyzny, aby stanęła ławą przeciwko jego przywódzcom i nie dopuściła wybuchu. Jak jeszcze nigdy nikomu się nie udało szlachtę do czynnego oporu przeciwko niewczesnemu powstaniu nakłonić, tak i jemu się to nie udało. Powstanie wybuchło. A kiedy dwory szlacheckie spłonęły i ziemia krwią się zalała, Bruno także wierszów nie pisał, tylko, chociaż był «wieszczem prawdziwym» i wszystko zrobił co mógł, aby Kraj od nieszczęścia ochronić, w kilka miesięcy potem, nie fantastycznym, lecz rzeczywistym bólem strawiony, — umarł z rozpacz. Godzi się nazwisko tego znakomitego obywa-

tela zachować od niepamięci, dlatego o tem wspomniałem. Ale przerwałem ci Joachimie. Powiedziałeś, że poetę poniża, kto mu przypisuje proroctwa....

— Tak, rzecze Lelewel, bo proroki ziemskie, to fałszywe proroki, jak Towiański i tylu innych. Szkoda, że Stańczycy tak mało czytają, bo inaczej wiedzieliby o tem, że między latami 1830 a 1840 zjawił się był w Saxonii żyd prorok, nazwiskiem Krystyan Albrecht, który swoim duchem proroczym utarł im drogę do zrobienia z Krakowa polskiego Jeruzalem, a z Galicyi Kraju obiecanego Polaków. Radzę im czytać dzieła tego proroka. Piszę on nawet stylem proroczym i mówi: « Ręka Przedwiecznego jest na mnie. On mi objawił wszechmocną wolę swoją, abym ją obwieścił na ziemi. Albowiem zdarzyło się pewnego razu, że Przedwieczny postawił mnie pośród wielkiego pola. I pokazał mi niezliczoną moc nagich szkieletów. Byli to mieszkańcy dzisiejszej Europy. Irzekł mi: Synu! czy wierzysz, że szkielety te odżyć mogą. I odpowiedziałem mu: Jehowa! Ty wiesz. Wtedy rzekł mi Przedwieczny: Prorokuj nad szkieletami onemi. I poczułem, że duch proroczy wstąpił we mnie. Słuchajcież słów Jehowy, który mówi przezemnie. » Otóż dalej ten prorok naucza nas: że Jezus Chrystus urodził się w Krzeszowicach, pod Krakowem; że stolicą Syonu, Hebron, jest Kraków; że Abraham pochowany jest w Krakowie z żoną swoją Sarą, z Izaakiem i Rebeką, z Jakóbbem i Leą; że Rachel urodziła się w Małej-Polsce, gdzie na granicy obwodów Jasielskiego i Sanockiego grób jej można widzieć każdego czasu; że sławne góry Grizim i Ebal stoją w Karpatach, a wielka bitwa Jozuego z pięcią królami Jerozolimskimi stoczoną była w Galicyi pod Gal-

lim czyli Hallim, to jest pod Haliczem ; że Gibeon to Ruś Czerwona, Kafira to Lwów, Beroth to Chełm, a Jearem to Przemyśl. A ja powiadam : Jeżeli Pan Jezus mógł się urodzić w Krzeszowicach, dlaczegoby Matka Najświętsza nie miała urodzić się w Chrobrzu? a czterej Ewangeliści, jeden w Dzikowie, drugi w Prokocimie, trzeci w Kurozwękach, a czwarty w Tyczynie?

I śmiał się staruszek, że aż ręce zacierał, a najwięcej się tem ubawił Niemcewicz, który też zaraz zapytał :

— Prawdaż-to jest Lelewelu, co nam powiadasz?

— Czytaj-że sobie książeczki, odrzekł na to Pan Joachim, — *Der Einzug Israels in Europa* i *Der Weg nach Sion*, — to się jeszcze więcej doczytasz.

A wtedy Kasztelan się do nas przysunął i śmiał się z nami. Nuż tedy Niemcewicz, który bardzo lubi podszucować jednych na drugich, do czego na literackich wieczorach u ojca Krasińskiego razem z gospodarzem nie pomалу się wprawił, zwrócił się do Kasztelana i rzecze :

— A jeszcze-to po niemiecku te książki pisane, właśnie jak gdyby uszył dla partyi krakowskiej, bo to tam ci Panowie nie żartem już teraz szpikują nasz język polski niemieckimi frazesy. Powiedz-że mi, mój Kasztelanie, a twój przyjaciel, Pan Popiel, czy także już *nix polnisch, nur deutsch*?

Ale mu się nie udało tym razem, bo Kasztelan był właśnie w złotym humorze i z anielską słodyczą odpowiedział jemu w ten sens :

— Pan Popiel był mi takim przyjacielem, jak tysiące innych, bo u mnie dla każdego drzwi stały otworem, kto nie był czci pozbawiony. Pan Popiel się czepiał Wielo-

polskiego; Margrabia, w swym Liście do Metternicha, oddał Polskę na łaskę i niełaskę Moskalom, a ja w żadne konszachty z Moskalami się nie wdawałem: więc-to tam między nami politycznej przyjaźni nie było. Ja zresztą Pana Popieła zawsze miałem za mierność i, Bóg mi świadkiem, że mu jej uznania nigdy nie odmawiał. Znałem go przez lat wiele, lecz nigdy się jego zdania nie mógł dowiedzieć, chociaż przyznać się muszę, że go nie był ciekawy. Widywałem go zawsze w świecie wszystkich znakomitości, które się często zjawiały w Krakowie, przy Wielopolskim i Helclu, na Szlaku i pod Baranami, przy Polu i przy Deotymie, grzejącego się chętnie przy cudzych promieniach. Ale żeby sam kiedy jakim promieniem zabłysnął, tego nie dostrzegł. Zjawiał się także i wtedy, kiedy się jaka sprawa publiczna toczyła, ale zawsze na szarym końcu i zawsze tylko z początku, a nim się sprawa skończyła, jego już tam dawno nie było. Chodziły wieści o jego wielkiej inteligencji, katolicyzmie czternastej próby i rozległych stosunkach; powiadano, że znał Montalemberta i Falloux, i rozmaitych prałatów w Rzymie: « jenerała widziałem i z pazurem gadałem; » ale żeby coś kiedyś zrobił, żeby gdzieś z czemś wystąpił publicznie, żeby jaką książkę albo przynajmniej rozprawę napisał, nigdy nie słyszałem. Powiadano o nim, że słyszy jak trawa rośnie, że ma węch niepospolity, że nie potrzebuje nawet wychodzić z swej kamienicy, a żeby wiedzieć, co się dzieje na świecie, i dla tego-to o nim paupry śpiewali: « Pan Popiel w kamienicy, a jego nos na ulicy; » ale jam się nigdy niczego nie dowiedział od niego. Podówczas sława jego sięgała od Krowodrzy do Kleparza, dzisiaj po-

dobno doszła już do Lwowa; jak jeszcze z jakich lat ośmdziesiąt pożyje, to może się o nim dowie Warszawa. Jaka on tam rolę odgrywa w tej partii krakowskiej, tego nie wiem; jednak musi tam między nimi srogi być nieurodzaj na wielkich ludzi, kiedy aż z niego swego patriarchy zrobili.

Niemcewicz uśmiechał się złośliwie, zapewne z nieukontentowania, że Kasztelan dzisiaj takie miodowe słowa miał w ustach, że możnaby było do ran go przyłożyć, — a tymczasem ktoś, zdaje się X. Woronicz, zarzucił Kasztelanowi:

— Cóżkolwiekbądź, nikt przecież Panu Popielowi osobistej zacności nie odmówi.

A na to Kasztelan:

— « Któż nie przyzna, że Pan Tryzna jest mąż świętobliwy? » Ale cóż z tego, kiedy nie o to tu chodzi. Prywatne zalety, tak samo jak też i wady, do innego należą konfesyonafu, do którego my klucza nie mamy, bośmy go zostawili na ziemi.

— A powiedz-że mi, mój Kasztelanie, — zapytał znowu Niemcewicz, — cóż-to znaczy ten Szlak, o którym dopiero wspomniałeś?

— Za moich czasów, — odpowie na to Kasztelan, — mieszkał na Szlaku Pan Leon Rzewuski, ów sławny « Hetman bez buławy, » jak go we Lwowie nazwano. Jakaż-to szkoda, że już od lat kilkunastu nie żyje. Cóż-by to za przepyszna była figura do udekorowania partii Stańczyków. Za młodu typ arystokratycznego kawalera na wszystkich europejskich salonach, od Carogradu aż do Londynu, w czasie Listopadowego powst

lecznie przeciw Moskałom, ale jeszcze daleko waleczniej byłby się bił przeciw demokratom i dziennikarzom, z czem się wcale nie tail. Co mu jednak wcale nie przeszkodziło, w roku 1848, wystąpić z propagandą zasad socyalistycznych, za co go Ludwik Skrzyński, ów « warchoł » późniejszy, niemilosiernie przemłócił. To też Rzewuski się wkrótce na prawowitą wiarę nawrócił, częśćkę Podhoreckich archiwów pod własną wydał cenzurą, stał się bardzo nabożnym i zaczął św. Augustyna tłumaczyć, aż wreszcie, w podeszłym już wieku, odprawił pielgrzymkę do Wiednia i z szambelaniją powrócił. Wielkie imię, odpowiedni majątek, figura znana w arystokracji europejskiej, doskonały typ « demagogicznego Szambelana, » jak ich bardzo trafnie Władysław Zamoyski nazywał, a do tego jeszcze polityk, który się omylił i dlatego właśnie pretendował do nieomyślnej powagi: ażaliż Stańcycy, gdyby sobie mogli według własnej recepty fabrykować magnatów do okrycia swojej chorągwi, znaleźliby doskonalszy egzemplarz? — Lecz pod tym względem, jak widać, fatalnie ich los prześladowuje. Gdzie jeszcze był jaki człowiek wielkiego imienia i stosownego majątku, którymby się byli mogli zasłonić, każdy im zniknął, nim jeszcze mogli nim się posłużyć. Umarł im Leon Rzewuski i Kazimierz Starzeński, aż nareszcie gaśnie im Wielopolski — i to jeszcze do tego « bez epigonów. » Ażaliż dziwno, że tam, gdzie nie masz ani krzty prawdy, a wszystko komedia, musi udawać magnata ten, który nim nie jest?

— To prawda, — rzecze na to Niemcewicz, — partya magnacka bez magnatów. Bo ci, których tam widzimy, to szlachta i nie-szlachta, często żadna kawałka chleba,

a w każdym razie nie mająca niczego zanadto, — a jeśli jaki rzeczywisty magnat ich proteguje, to chyba ukradkiem, bo nie widzimy, aby im dał swoje nazwisko.

A na to zabrał głos Pan Ignacy Potocki i powiedział:

— Tem lepiej.

A potem tak mówił dalej:

— Bo i pod tym względem, jak w wielu innych kwestiach dziejowych, panują na ziemi bałamutne pojęcia. W dawnej Polsce nigdy nie było ani partii magnackiej, ani oligarchicznej, ani nawet konserwatywnej. Co tam nasz kochany Lelewel mówi o partiach ludowych w czasach Bolesławowskich, to nawet, jeśli tak było, nie miałyby dzisiaj innej prócz naukowej wartości, bo z tamtych wieków nie możemy żadnej wyciągnąć nauki dla czasów dzisiejszych. Kto marzy dzisiaj o gminowładztwie w tamtoczesnem znaczeniu, należy do ideologów. Cywilizacya tradycye tych czasów odległych w zupełności zatarła i stworzyła inne warunki społeczne. Z tamtych wieków pozostały nam tylko polityczne tradycye, a mianowicie z czasów Bolesława Chrobrego i Zygmunta Starego, które może jeszcze kiedyś się naszemu narodowi przydadzą. Początku tych idei oligarchicznych, które się aż do naszych czasów przewlokły, napróżno szukać w właściwej Polsce, gdzie własność była allodialną; zostały one do nas zaniezione z Rusi i Litwy, gdzie było lennictwo. Stamtąd do nas przyływały albo też tam się wyrabiały owe prototypy oligarchów, jak Ostrogscy, Wiśniowieccy, Rożyńscy, Czartoryscy, Jazłowieccy, Sieniawscy, Buczaccy i inni — a byli-to magnaci na wielką skalę. Jeden z Ostrogskich miał na Wołyniu około dziesięciu milionów

rocznego dochodu, jeden z Koniecpolskich, rezydujący na zamku w Podhorcach, miał sto siedmdziesiąt miasteczek i przeszło siedmset wsi w samej Kijowszczyźnie. Takie ogromne majątki wymagały nie tylko skoncentrowanej administracji, ale także i armii do utrzymania porządku i obrony własności, zwłaszcza w owych czasach, gdzie rząd krajowy nie był w możności dopełnienia tych obowiązków. Stąd tworzyły się wielkie dwory z licznymi dworzakami i stronnikami, i stąd na każdym z tych dworów wyrabiała się pewne polityczne idee, jemu tylko właściwe, przede wszystkim utrzymanie siebie samego mające na celu, a często nawet z interesami Rzeczypospolitej niezgodne. Tych oligarchów następcy, choć w wielkiej części już w bardzo zdrobniałych rozmiarach, aż do naszych dożyli czasów i wyrodzili się: jedni w reprezentantów pewnych politycznych idei, jak Czartoryscy, Potoccy, Rzewuscy, drudzy zaś w karykatury, jak Radziwiłł Panie Kochanku i Starosta Kaniowski. Niemniej przeto każdy z nich miał jakieś tradycje rodowe i każdy szedł swoim torem. Skupionej ze sobą i z siebie samych zorganizowanej partii politycznej nigdy oni nie tworzyli; tylko ten albo ów, jeżeli miał po temu fantazję, lub kilku razem wiązali się w fakcje, usiłując przemocą lub intrygami osiągnąć jakieś zamiary całkiem wyłączne, a często weale egoistyczne. Roboty te, które zresztą najczęściej kończyły się zawichrzeniem publicznego spokoju i wielką stawały się tamą dla naturalnego wzrostu i rozwoju narodu, nie miały nigdy na celu korzyści dla całej arystokracji: bo jeżeli Czartoryscy dążyli do owdładnienia Polski, to pewnie nie dla Potockich i ich stronników, — a Kon-

federacya Targowicka zawiązała się z pewnością nie dla Czartoryskich. Kto tedy dzisiaj chce tworzyć stronnictwo magnackie czyli arystokratyczne i przytem chce się na przeszłości opierać, to chyba liczy na to, że pokolenie obecne już wcale nie zna historii. Stronnictwo arystokratyczne w ogółowem znaczeniu, jako łączące w sobie wszystkich spadkobierców wielkich imion i wielkich majątków, jako przedstawiające pewną warsztwę społeczną, nie ma u nas nawet zmyślonej tradycyi: tradycyą takiego stronnictwa mogą być tylko fakeye, rokosze, zawichrzenia publicznego spokoju, wojny domowe i przywoływania na pomoc zagranicznych najazdów.

Kiedy tak mówił Potocki, Lelewel ręce zacierał a w tej chwili sam się odezwał, mówiąc :

— Tak jest co do słowa. Ci nasi arystokraci aż do ostatniego rozbioru nawet wcale nie mogli połączyć się z sobą, bo chowali oni na swoich dworach nietylko politykę tradycyjną swoich familii, ale i tradycyjną nienawiść jedni do drugich. Jakoż po wszystkie czasy tak było, że jeśli jedni z nich z sobą się połączyli, aby wystąpić publicznie w pewnym politycznym zamiarze, to już samo ich wystąpienie, chociażby w celu najlepszym, było dostatecznym powodem dla drugich, aby się przeciwko nim zmówić i na nich uderzyć. Komuż nie jest wiadomy antagonizm rodowy pomiędzy Czartoryskimi i Potockimi, który trwał tak długo, aż wreszcie całą Polskę podzielił na dwa walczące ze sobą obozy? I tak to dotrwało aż do ostatniego rozbioru — i rozbiory przetrwało — a bodaj czy nie przewlokło się nawet w czasy dzisiejsze. Tak to nie było, jak Pan Zygmunt Wielopolski w swoim Liście

do Pana Tarnowskiego powiada, ażeby Jenerał Zamoyski burzył był swego brata Andrzeja przeciwko Margrabiemu Wielopolskiemu, dlatego tylko, że to Wielopolski, spokrewniony politycznemi tradycjami z domem Potockich. Kto takim wieściom wierzy, ten nie znał Jenerała. Ja go znałem i nie należałem wcale do jego politycznych przyjaciół, dlatego tem śmieiej mogę powiedzieć, że Jenerał kochał wprawdzie więcej Zamojskich i Czartoryskich, niżeli Potockich i Wielopolskich, ale Polskę kochał daleko więcej i w każdym wypadku był gotów dla niej wszystko poświęcić, tak jak jej rzeczywiście całe swoje życie poświęcił. Ale mimo to nie masz wątpienia, że antagonizm tradycjonalny i w tym wypadku swoje rolę odegrał...

Ale tu mu przerwał Xiąże Biskup Krakowski. Rzadko on się odzywa, ale kiedy co powie, to pewne. Teraz tak mówił :

— Przerzywam ci, Panie Joachimie, bo zaczynasz wdawać się w przypuszczenia, a to nie nasza rzecz. My nie przypuszczać nie możemy, my musimy trzymać się faktów. Zamojsey w tym wypadku może zbłądzili, ale w tem tylko, że pan Andrzej nie przyjął administracyi kraju, kiedy mógł ją otrzymać. Ale że nie przyszło do porozumienia pomiędzy nim a Margrabią, to wcale nie jego jest winą, tylko Margrabiego, który tak z nim, jak z wszystkimi innymi, postępował absolutnie i brutalnie i wcale z nikim porozumienia nie pragnął, tylko wymagał posłuszeństwa od wszystkich.

Na to zaś rzekł Niemcewicz :

— Cóżkolwiek bądź, i ja też, który tak wiele żyłem z tymi naszymi Panami, muszę przyznać, iż są tam po-

między nimi antagonizmy nieubłagane, które częstokroć, pomimo najgorętszej miłości ojczyzny i ducha ofiary, stają na przeszkodzie porozumieniu i jednozgodnemu działaniu. Spoteczeństwo dzisiejsze powinnyby to sobie rozważyć i nie kupić się około takich sztandarów, które muszą koniecznie przeciwieństwo wywołać, — a z drugiej strony i tacy panowie nie powinni się rwać koniecznie do steru, zwłaszcza gdy wiedzą z góry, że samo ich nazwisko wystarczy, aby wywołać co najmniej niechęć i obojętność w możliwych rodzinach innych.

A Lelewel śmiał się i rzekł :

— W tym razie nawet i ja jestem mniej surowym demokratą od ciebie. Teraz niech staje u steru ten, kto potrafi złamać i zetrzeć ten zastęp, co się naszej dziejowej tradycji wyrzeka i poniewiera godność narodu, bez względu na to, jak tam się nazywa i do jakiego należy rodu. Tu chodzi o życie — a w takich razach nie czas jest pytać, jakiego herbu jest ten, który nas zbawi.

Wszyscy przyznali słusność Lelewelowi, a tymczasem Pan Ignacy Potocki znowu głos zabrał i tak mówił dalej :

— Nie o wiele bogatszą jest nasza przeszłość w tradycje stronnictw konserwatywnych. W dawniejszych wiekach napróżno ich szukać, bo trudno tam miały się tworzyć stronnictwa konserwatywne, gdzie postępu nie było. W XVI wieku są jakieś walki niby do tegoczesnych podobne, ale chodziło tam tylko o sprawy religijne, a owoczesny liberalizm odnosił się tylko do wolności wyznania. Możemy jednak w tych czasach znaleźć niejedną naukę, a to nietylko w tych walkach, które nam okazują, jak dalece nasz naród już wówczas był zdolnym do wyższych

na sprawy żywotne poglądów, ale także i w tem, że wszystkie naukowe nabytki, przychodzące do nas z Włoch, z Niemiec i z Francyi, były jednogłośnie i bardzo skwapliwie przyjmowane przez całość narodu. Nie było wówczas nikogo, któryby śmiał utrzymywać, jak to się dziś daje słyszeć w Krakowie, że zbytek światła może nam szkodzić. Podówczas cały nasz naród był jednolitem stronnictwem postępowem i zaprawdę, nie przeszkodziło mu to stworzyć złoty wiek Zygmunta. Z Zygmuntem III nieszczęśliwy los nas obdarzył dynastją obcą, a za jej przewodem rozlały się po kraju naprzód fałszywe pojęcia religijne, a potem wstręt przeciw tej oświacie, jaka właśnie natenczas zaczęła bujnie roskwitać na całym Zachodzie. Nieustające a przeszło półtora wieku trwające wojny, wywoływane po największej części żądzą nawracania niewiernych i prześladowaniami religijnymi, nie zostawiły narodowi czasu do naukowego i umysłowego rozwoju; skorzystali z tego apostołowie ciemnoty, ogłaszający modlenie się jako cnotę, a klęczenie jako religiję: i cóż stąd wynikło? Oto pod dyrekcyą alwara i bizuna naród stał się bardzo nabożnym, ale tak ogłupiał, że wstępując w wiek XVIII był najciemniejszym z pomiędzy tych, do których się liczył, a między którymi w wieku XVI pierwszorzędne zajmował miejsce. Dzięki nieustającym wojnom uchowały się w nim jeszcze duch rycerski i miłość ojczyzny, ale utonął on w najgłębszej ciemnocie, a cnoty rodzinne i obywatelskie tak podupadły, że się w nim zagubiły nawet katechizmowe o nich pojęcia. W połowie XVIII wieku, kiedy Jezuitci zagarnęli cały kierunek oświaty, a nawet i cenzurę dzierżyli wyłąc-

cznie w swych ręku, ledwie dziesiąty ze szlachty umiał się jakokolwiek wypisać; wielu z nich nie umiało wcale czytać; kto co czytał nie był w stanie zrozumieć; język się skaził do tego stopnia, że się stał dziwotworem języków; książki, które wychodziły naówczas, są do dziś dnia monumentami głupoty; nawet cnoty domowe zniknęły i otworzyły szerokie wrota cheiwości bez granic, ohydnemu pieniactwu pomiędzy ojcem i synem, pomiędzy siostrą a bratem, rozprzestrzeniając po całym kraju przedajność sędziów, fałszowanie podpisów, krzywoprzysięstwo, a nareszcie zajazdy i gwałty. Systematyczne wytępianie ewangelicznych pojęć religii, a zastępowanie ich bezduśznymi praktykami modłów, biczowań i postów, i równie systematyczne niedopuszczanie choćby najdrobniejszego promyka rozwijającej się w innych narodach oświaty, pociągnęły za sobą ten skutek, że wolność i zachowawczość były to wówczas u nas całkiem niezrozumiałe wyrazy, — a o zasadach liberalnych albo konserwatywnych wcale nie było mowy. Pierwsi, którzy ten moralny upadek narodu spostrzegli i wzięli sobie do serca, którzy potrzebę zaprowadzenia reform w wychowaniu publicznem, w urządzeniach społecznych i politycznych, z szerokiem rzeczy pojęciem uznali i zabrali się do działania, byli Czartoryscy: lecz na nieszczęście wykonanie swych myśli zbawiennych błędnie pojęli, a przez to swemu wielkiemu dziełu nieprzełamaną stworzyli zaporę. Konfederacya Barska wskrzesiła obumarłe uczucia patriotyczne, lecz grzęznąć jeszcze sama w przesadnych pojęciach, które już się stały tradycją, jakoby Polska mogła być zbawioną pokutą, modlitwami i cudem, nie przedarła

ciemności i nie otworzyła bram zamkniętych oświacie. Dopiero, podrastające naówczas młodsze pokolenie, wychowane po większej części w szkołach zagranicznych, a zresztą w zakładach pijarskich i szkole kadetów, rozpostarły po kraju owe jaśniejsze pojęcia, które znalazły wyraz na wielkim Sejmie. Ale biorąc rzeczy dokładnie: czy mieliśmy na tym Sejmie zachowawcze stronnictwo? Byli tam oponenci, intryganci i wichrzyciele, ale zachowawczego stronnictwa nie było. Stronnictwo zachowawcze, właśnie z tych samych wichrzycieli złożone, objawiło się w Targowicy. Po ostatnim rozbiore jedena część społeczeństwa stała się obojętną i zajęła się chlebem powszednim, inna, mniej liczna, usiłowała korzystać z okoliczności i garnęła się ku zwycięzcom, aby przy nich coś zyskać; myśli politycznej ani w jednych, ani w drugich nie było: duch nie zabity, duch żywiący narodu, nie mogący się w kraju pomieścić, poszedł w legiony. Od tego czasu, po wszystkich ziemiach polskich, otworzyły się wrota na ścieżaj wszelkiemu światłu i wszelkim nowożytnym pojęciom, od liberalnych aż do najskrajniejszych. Duch narodu się wtenczas zaczął przetwarzać, łącząc się napowrót z cywilizacją zachodnią, od której przez półtora wieku był oderwany. To przetwarzanie się trwało od pierwszych lat bieżącego wieku aż do Listopadowego Powstania. Przez cały ten czas widzimy u nas wyznawców wszystkich naukowych, społecznych i politycznych opinii, od rewolucjonistów i liberalów najczystszej wody aż do zakamieniałych wyznawców wojskowego albo azyatyckiego despotyzmu, a to do tego stopnia, że nawet nieokreślonych mięszkańców

nie brakło, jak na przykład Chłopicki, który był liberty-nem i liberałem pod bardzo wielu względami, a przytem wojskowym despota i monarchistą. Przez cały przeciąg Xięstwa Warszawskiego, aż niemal do końca Kongreso-wego Królestwa, niech mi tu kto pokaże stronnictwo konserwatywne. Może niem było Towarzystwo Przyjaciół Nauk? Lecz jeżeli niem było, to przecież tylko w litera-turze. W każdym razie było to drzewo spróchniałe, nie-zdolne wydać pożywnych owoców, około którego stare dzieci z pustemi głowami bawiły się w wierszopisów i lite-ratów....

W tej chwili Kasztelan Wężyk zniknął z pomiędzy nas, a Potocki tak mówił dalej:

— Pod koniec Xięstwa Warszawskiego opinie się po-dzieliły, ale nie między postępowych i konserwatystów, tylko w ten sens, że jedni spodziewali się zbawienia Polski od Rossyi, a drudzy, nie widząc dla niej oparcia w żad-nem innem mocarstwie, a nie ufając w szczerość pro-tekcyi rossyjskiej, widzieli przyszłość ojczyzny tylko w niej samej. Ani stronnictwa zachowawczego, ani partyi postępowej, w właściwym tych wyrazów znaczeniu, tam nie było: widzimy tylko jednych, którzy za pomocą wy-zwolonego z więzów ciemnoty narodowego ducha dążą do wyzwolenia ojczyzny, chociażby środkiem zbrojnego powstania, — i widzimy drugich, którzy gotowi są raczej znieść wszelkie upokorzenia, byle tylko utrzymać dalsze istnienie Kongresowego Królestwa. Nikt tam nie chce owoczesnego stanu Polski konserwować na wieki, wszyscy pragną dla niej lepszego losu w przyszłości i, z bardzo rzadkimi wyjątkami, nikt nie jest stanowczym przeciwni-

kiem rozszerzenia oświaty w narodzie i zaprowadzenia wolnomyślniejszych urzędów. Są to tedy odcienia, a nie stronnictwa; są ludzie czynu i oportuniści, w najszlachetniejszym znaczeniu, bo nikt się tam tradycyjnej polityki naszej nie wyrzeka, ani nawet Lubecki, nikt rozumnego nie ta muje postępu, ani nawet Wincenty Krasiński. Dopiero z odkryciem spisków i rozkwitem romantycznej poezji zaczynają się zarysowywać stronnictwa, lecz zawsze na tle jednolitości narodowego ducha we wszystkich kwestyach żywotnych. I wtedy jeszcze nie widzę konserwatywnego stronnictwa: są tylko umysły chłodniejsze, grupy obywateli obawiających się stawić na kartę traktatami ubezpieczony byt małego Królestwa, ale ci obywatele nie są zorganizowani i nigdy się z sobą policzyć nie mogą. Umyka im dzisiaj jeden, a jutro drugi, w miarę jak jeden i drugi czuje się oburzonym barbarzyństwami Wielkiego Xięcia, — a Sąd Sejmowy już ich wcale rozbija. Znajdują się razem dopiero w dniu wybuchu Powstania, w Radzie administracyjnej i w Banku. Przypuśćmyż tedy, że było to wówczas rzeczywiście stronnictwo zachowawcze. To cóż to stronnictwo zrobiło? na jakiej-że ono stało zasadzie? — Niedorzeczny układ z Wielkim Xięciem w Wierzbnie i wojna króla Mikołaja z Carem Mikołajem....

Tu znowu Lelewel zniknął, a Niemcewicz na to, śmiejąc się głośno.

— I ja tam byłem, ale ja nie zniknę. Mów dalej.

— Więc cóż tedy ci konserwatyści zrobili? — zakończył Potocki, — oto pod wpływem źle zastosowanego konserwatyzmu, który nic nigdy nie tworzy..... pamiętajcie to

sobie, który nic nigdy nie tworzy, a przeto zgubnym jest w chwili działania, sparaliżowali, ubezwładnili i zabili Powstanie. Bo któż o tem wątpi, że gdyby byli poszli za zdaniem owych znienawidzonych klubistów, którzy znów w czasie spokojnej pracy są zgubni, i gdyby byli od razu cały kraj poruszyli, z czego by się wywiązała natychmiastowa wyprawa na Litwę i Ruś, Moskwa nie byłaby w stanie tego uderzenia wytrzymać i bylibyśmy jej już wtenczas odebrali wszystko, co kiedykolwiek nam wzięła. Przyznam się, że ja, jak tylko słyszę o zawiązaniu stronnictwa z charakterem konserwatywnym, chociażby to stronnictwo składało się z ludzi najzacniejszych i najpatriotyczniejszych, uczuвам wielki niepokój, bo jak znam dzieje Polski od Piasta aż po czasy dzisiejsze, nie widzę, żebyśmy z takich zawiązków odnieśli kiedykolwiek jakie korzyści:

— Więc cóż? — rzecze na to cokolwiek niecierpliwie Niemcewicz, — więc lepiej oddać od razu radykałom kierunek sprawy publicznej?

A na to Pan Ignacy z ironicznym uśmiechem:

— Przyjdę ja do konkluzji, ale wprzód jeszcze jeden przykład przytoczę. Przed laty dwudziestu pięciu, mniej albo więcej, Towarzystwo Rolnicze w Warszawie, otrzymawszy cokolwiek więcej swobody, zaczęło się organizować po całym kraju. Nie ogłosiło się ono, co było bardzo rozumnym, jako stronnictwo konserwatywne, tylko rozpoczęło swoje czynności pod hasłem pracy organicznej. Hasło to znaczyło, iż się zamierza całą i wszystką pracę narodu zorganizować, ażeby się wspomagała wzajemnie i do jednego dążyła celu, do celu moralnego i materyal-

nego wzbogacenia narodu na podstawie jego dziejowych tradycji. W tej organizacyi mogły i powinny były znaleźć pomieszczenie wszystkie ludzkiej pracy zawody. Rolnictwo przodem, bo naród nasz jest przeważnie rolniczym, ale z niem razem przemysł, handel i rękodzieła, nauki i sztuki, rzemiosła i dzienny zarobek. Organizacya taka nie powinna była i nie potrzebowała wcale przybierać charakteru sprzysiężenia z tą albo ową polityczną dążnością: wszystko się tam mogło dziać jawnie, bo przede wszystkim nie o politykę chodzić było powinno, tylko o wprowadzenie całego społeczeństwa na drogę pracy i naturalnego rozwoju. Mając to, można było czekać spokojnie na polityczne swobody, któreby były przyszły tem pewniej i prędzej, im więcej jednolitości i siły społeczeństwo byłoby nabierało za pomocą spójności i pracy. Nie przeczę temu, że taki cel jest bardzo trudnym do osiągnięcia w zupełności: lecz pytam, czy Towarzystwo Rolnicze usiłowało przynajmniej podgarnąć pod swoje wpływy wszystkie inne gałęzie pracy? Nie. A jeżeli usiłowało, to nieudolnie. Cóż stąd wyniknęło? Oto żywioly lotniejsze i niecierpliwse, nie wciągnięte w organizacyę pracy, zaczęły się organizować osobno, a organizacya ta tworzyła się nie pod hasłem spokojnej pracy, tylko z charakterem sprzysiężeń z celami politycznymi. A jak tylko obok pierwszej stanęła druga organizacya, Towarzystwo Rolnicze musiało z konieczności przybrać charakter i nazwę stronnictwa konserwatywnego, a niebawem odegrać rolę wszystkich stronnictw konserwatywnych, jakie się u nas kiedykolwiek wiązały. Co się dalej stało, to wszystkim wiadomo. Organizacya młodszych i energiczniejszych ży-

wiołów, ogarnawszy sobą wszystkie zawody pracy nie objęte organizacją rolników, wzięła górę; pozbawiona chłodnego i rozważnego kierunku, rozdmuchała wszystkie namiętności, które torują drogę gwałtownym porywom i uniesieniom; stronnictwo konserwatywne, którego dyrekcyja stawała się coraz bardziej wyosobnioną, a organizacyja ulegała coraz większemu rozsprzężeniu, nie było w stanie tych uniesień ani ochłodzić, ani powstrzymać,— a kiedy wybuchło powstanie, nie pozostało mu nic innego, jak dać się porwać powstaniu. Otóż do czego prowadzi u nas wszystkie stronnictwa konserwatywne. Wyosabiając ze swojej organizacyi właśnie żywioły te, które najłatwiej mogą się unieść i zbłądzić, niewolą je do skupienia się z sobą i do utworzenia osobnego albo nawet i kilku osobnych zawiązków, które w ferworze idą z sobą o lepszą; tworzą one tym środkiem rozdarcie społeczeństwa na dwa odrębne i z konieczności ze sobą wojujące obozy. Gdzie jest rozdarcie, tam w czasach spokojnych praca nie może przynosić tych owoców, jakieby przyniosła, gdyby społeczeństwo pracowało pod jednolitym kierunkiem. A kiedy ruch ożywi umysły, co się u nas co lat kilkanaście powtarza, żywioły żywsze i śmielsze biorą koniecznie górę; konserwatorowie, nie znając ich wcale i, nie mając na nie żadnego wpływu, w najlepszym razie pozostają beczynni, — i wtedy robi się jakieś głupstwo, za które cały naród płaci krwią i utratą tego, co dotąd zdobył mozolnie. Rozumieć zaś, że u nas jakiegokolwiek stronnictwo konserwatywne ruch wstrzyma, kiedy skutkiem pełności krwi i odpowiednich okoliczności wybije godzina ruchu, na to się może zdobyć tylko płytki rozum

Stańczyków. Ruchu nie powstrzymało jeszcze w żadnym narodzie żadne stronnictwo konserwatywne, a powstrzyma go jeszcze tem mniej, im więcej jest wyosobnione i więcej znienawidzone. Nie, wywieszanie sztandaru konserwatywnego u nas, to bezsens; bezsens zawsze — a zaród nieszczęścia w krytycznych okolicznościach. Bo naprzód, co my mamy konserwować? Język, ziemię i wiarę ojców naszych? Te konserwuje każdy jak może. A najmniej je konserwują konserwatyści dzisiejsi, którzy język kaleczą, wiarę udają, a ziemię sprzedają. A co jeszcze mamy prócz tego? Niedbalstwo, lenistwo, nieumiejętność wyzyskiwania roli, nieudolność w przemyśle, niezdatność do handlu, niedostateczność nauk specjalnych, brak wychowawczych zakładów, ciemnota ludu, niegospodarność, pyszałkostwo, próżność rodowa i osobista, i cała chmura rozmaitych przesądów; tego wszystkiego jak najprędzej pozbyć nam się należy. Nie konserwatyzm, ale postęp powinien być naszym hasłem i naszym sztandarem. Nie tworzenie stronnictw, któreby się darły pomiędzy sobą i utrzymywały historyczną niesławę naszej niezgody, ale dążność do jednolitości powinna być naszym celem. A przeto, ani zatwardziali konserwatyści, ani radykalni demokraci powinni u nas brać górę: niechaj staną na czele narodu ludzie, którzy imieniem, majątkiem, zasługą, nauką, pracą i talentami wypłynęli na jego powierzchnię; niech się połączą ze sobą, bez względu na polityczne odcienia, a w imię miłości ojczyzny, niech przygarną do siebie wszystkie stany i wszystkie prace ludzkiej zawody; niech nie odtrącają od siebie ani magnata dlatego, że mu się marzy arystokracja, ani mieszczanina dlatego, że z rodu jest demo-

kratą, ani niedouczzonego młodzieńca dlatego, że mu się snują rewolucye po głowie... Niech wytworzą ze siebie organizacyą, rozgałęzioną po całym kraju, a obejmującą wszystkie warsztwy społeczne, organizacyą nie skrytą, lecz jawną, któraby żadnych politycznych dążności nie miała na celu, a tylko pomoc wzajemną, uporządkowanie i rozwój wszystkich sił pracujących i dobro całego kraju; a wtedy w każdym wypadku rozum polityczny się znajdzie, nigdy się głupstwa nie zrobi, bo mu się w dobrem porozumieniu zawczasu zagrozi drogę, i niewczesnych powstań nie będzie, bo w każdym położeniu przeważą zdrowy rozsądek większości. W obrębie takiej organizacji znajdzie się miejsce dla każdej opinii: będą one walczyć ze sobą w domu, ażeby prawdę wywalczyć; ale zgorzenia nie będzie, bo każda myśl niedorzeczna lub podła zostanie utłumioną przez zdrową opinią publiczną i po za granicę kraju nie wyjdzie. A jeżeli tam ktoś z prawej lub z lewej wymknie się z szeregów i pójdzie swym własnym torem, to kraj go od siebie odrzuci i zniesie tę stratę bez szkody. To jest jedyna droga postępowania dla narodu żyjącego pod obcym rządem. Potrafili w to Węgrzy — a mybyśmy nie mieli potrafić? — Jeszcze nas przecie stać na to, na co zdobyli się Węgrzy. Bo czegoż na to potrzeba? Kilku ludzi rozumnych a pełnych miłości i dobrej woli: w Bogu nadzieja, że jeszcze takich kilku ludzi się znajdzie.

A na tem skończyło się tego dnia nasze kołowanie — i wszyscyśmy się w wielkiem zamyśleniu rozeszli.

LIST TRZECI

Podczas wojny tureckiej.

W mały czas potem, kiedy Pan Ignacy Potocki tak nam jasno wyłożył, jak nasi wnukowie mają sobie poczynać, aby się wzmogli na siłach u siebie i byli w poszanowaniu u obcych, siedziałem sobie tam w pobliżu owych olbrzymich wiszarów skał, co to okryte są kwitnącemi bluszczami, a między niemi pną się ku górze nieskończone gałęzie róż dzikich, obsypane milionami pączków i kwiatów już rozwiniętych. Po tych wiszarach wspinają się dusze pobożne ubogich ludzi, którym jeszcze ich grzeszki drobniejsze nie dopuszczają wolnego lotu: co która uchwyci za bluszcz, to wzniesie się w górę, inna zaś dotknie się róży, ukole się i znowu na dół opada. Patrzy się na to jakoby na stado motyli igrające nad wirydarzem do słońca....

A w dali widać morze bez kresu, opalowego koloru, mieniające się wszystkimi jasnemi barwami tęczy, nieru-

chome ale gładkie, właśnie jakoby fale na niem zamarzły. Na ostatnim kręgu tego oceanu płyną wielkie okręty, żagle ich wzdęte wiatrami i wzrok wyteżony dostrzega tysiące majtków pracujących wiosłami, ale albo to odległość tak wielka, że oko nie zmierzy ruchu, albo też się z ciężkimi falami biją napróżno, bo odkąd tu jestem, tak mi się zdaje, że jeszcze nie ruszyły się z miejsca. Powiadano mi, że to są Grecy, którzy opuścili góry Olimpu i Pola Elizejskie, i do nas się dobijają, ale się nie dobijają aż na sąd ostateczny....

Po lewej stronie kraj niski, zapadły, lesisty, a las tam daleko ciemniejszy i gęstszy niżeli w puszczy Białowiejskiej; bywają tam straszne ostępy, spruchniałymi pniami zawalone i pasożytnymi krzewy tak gęsto nakryte, że promień słońca nigdy się tam nie przedrze. Pomiędzy nimi błakają się ludzie, których żywot był cnotliwy i czysty, ale których umysł się zbłąkał, szukając rospaczliwych środków zbawienia ojczyzny. Błądzą oni tam pomiędzy temi olbrzymiemi drzewami, po nad brzegami zatechłych jezior, okrytych lasami trzciny i sitowia, i widzą ciągle światło nad sobą, ale na pole się wybić na żaden sposób nie mogą. Czasem już im się zdaje, że są u brzegu, aż tu nagle szumiący potok krwi ludzkiej im się rzuca pod nogi, od którego uciekać muszą ze zgrozą; innym razem majaczą przed nimi słupy ogniste, jakoby ich miały wyprowadzić z ciemnicy, aż w jednej chwili te słupy zamieniają się w szubienice, które gonią za nimi jak cienie, — kiedy wreszcie się z tego boru wysuną i już widzą przed sobą łąki kwieciste, wtedy płot z ostrych nożów spleciony staje im w drodze. A tak się zdaje, jakoby z tej puszczy

nie mieli wyjść aż do zmiłowania Bożego. Chodzą tu wieści, że między nimi są też niektórzy Polacy....

Jam sobie siadł pod wielką wierzbą płaczącą, nad brzegiem cichutko szumiącego strumyka; oparłem się o jakiś kamień katakumbowy, który się w proch rozsypał na ziemi, a tu się odrodził, właśnie jako my wszyscy, którzyśmy w garstkę popiołu się obrócili po śmierci, a tutaj żyjemy: senny byłem cokolwiek i dobrze mi było. A przecież sam nie wiem czemu jakiś niepokój ścisnął mi serce.

Niedokładne, niejasne, ale jakoby złowieszcze uczucia dochodziły do mnie ze ziemi. Nie wiem co, ale znowu tam ta niby-magnacka partya coś pobroiła. Pięknie-to nam wywiódł Pan Ignacy, że niema czego rozpaczać, i że dobrze będzie, bo droga prosta i jasna stoi przed nami otworem. Ale mimo to mówił on o magnatach z wielkiem niedowierzaniem, jak też i o tych wszystkich, którzy czy-to z tradycyi, czy z powodu teraźniejszej swej sytuacji, jakieś wyłączne interesa mają do forytowania. *Latifundia perdidierunt Romam*; latifundia i u nas nie zbawienne wywierały wpływy na losy Rzeczypospolitej, — a i dziś jeszcze latifundiów nie braknie. Wszelako miał-że on słuszność magnatów naszych prawie w czambuł potępić? Pytanie to bardzo mnie frasowało.

Pomnę, że kiedy, dobijając się tutaj do swoich, przelatywałem pomiędzy piekłem a czyścem, fatalny obraz przedstawił mi się w powietrzu. Niebo tam szare było jak ołów, a jeszcze je zaciemniały dymy wzbijające się w górę od wrót piekielnych. Na tle tego nieba widziałem rozhułkanymi pędzony wichrami cały korowód naszych możnowładców dawniejszych czasów. Na ostatniej jego kra-

wędzi, prawie jakoby na zatartym rysunku, ów Daniłłowicz-Ostrogski, otoczony swoimi niezliczonymi pułkami, co nam tyle złego nabroił na Rusi, kładąc się tamą na drodze zjednoczenia narodów. Około niego inni pomniejsi, którzy także tą wielką myślą przejąć się nie umieli, albo nie chcieli.... Dalej znowu Piotr Kmita, ów pierwowzór małopolskich magnatów, protektor różnowierców, przyjaciel królowej Bony, otoczony wszelkiego rodzaju niespokojnymi duchami, posługujący się łotrowstwem całego kraju, burzący sejmy, dyktujący prawa, łupiący krajowe bogactwa, a przed każdym i po każdym zwycięstwie wyprawiający orgiję pijackie na Wiśniczu albo na Sobniu.... Bliżej nas Zebrzydowscy, Zborowscy i Diabeł Stadnicki, na czele całych armii zburzonych przeciwko Rzeczypospolitej, usiłujący obalić Króla i oddać Polskę na pastwę oligarchicznych warcholów, bez czci, bez wiary, bez miłości ojczyzny — a żądni tylko ziemi, pieniędzy, znaczenia i władzy dla siebie.... Jeszcze bliżej najgłośniejszy z wichrzycieli owego czasu Jerzy Lubomirskiy, który zemknąwszy z pod Pilawiec, zawidził naszemu zwycięstwu pod Beresteczkiem, aż wreszcie, opierając się na postronnych nieprzyjaciolach, pod Mławami zwyciężył własną ojczyznę.... Kłębą się potem pomiędzy sobą nieprzejrzane tłumy burzycieli pomniejszych, przelewając krew swoich braci, jedni dla Szweda, drudzy dla Sasa.... Potem ciężka mgła obraz przerywa, a w niej głuchą wojnę ze sobą prowadzą Potoccy z Czartoryskimi.... Z tej mgły wypada jak wicher szumiący oligarchów sowizrrzał, Xiążę Karol Radziwiłł, na czele bandy albeńskiej i pędzi w kilka tysięcy koni na złamanie karku, sam nie wie dokąd i po

co.... A korowód się kończy wybuchem możnowładczego wulkanu, podniesieniem bratobójczego sztandaru w Targowicy....

Widzenie rozspłynęło się w powietrzu jak fata morgana. Magnaci zlewają się coraz więcej z narodom. Ten i ów głowę podniesie nad ogół, ale nie w szkodliwych zamiarach, a nie mało jest między nimi, którzy składają dowody szlachetnej niezawisłości charakteru i wielkie oddają usługi ojczyźnie. Jan Zamoyski, Wojewoda Podolski, chociaż szwagier królewski, jest jednym z najzawziętszych przeciwników Stanisława Augusta, bo widzi w jego przewrotnych rządach zgubę dla Polski. Kazimierz Nestor Sapieha, chociaż z matki Targowiczanki wysłał możnowładczą burzliwość i z młodu trząsał Trybunałami, jest jednym z głównych twórców Konstytucji Trzeciego Maja, do Targowicy nie idzie, ale jako prosty kanonier zaciąga się pod sztandary Kościuszki. Trzej Małachowscy marszałkują z kolei trzem Trybunałom i są wzorami niezawisłości sumienia, prawości i cnoty. Andrzej Zamoyski jest polskim Lykurgiem — a Xiążę Jenerał Ziem Podolskich najwspaniałomyślniejszym mecenasem swojej ojczyzny. A iluż-to innych potomków tych samych rodzin, które dawnymi czasy wichrzyły po kraju, niesie majątki i życie w ofierze.... nie dla prywaty, ale dla tej wspólnej ojczyzny, którą nad wszystko kochają.

W czasie rozbiorów duch tych rodzin się także przerozdził, a kiedy przyszły dni ofiary i poświęcenia, widzimy ich na przedzie.

Owo i tutaj unosi się nad nami duch Xięcia Adama, duch czysty i nieskalany, który wszystkim potomkom mo-

znowładców powinien służyć za wzór do naśladowania. Siedmdziesiąt lat niezmordowanej pracy wyłącznie usługom swojej ojczyzny poświęcił i w pracy tej, nie straciwszy ani na chwilę nadziei i wiary, wytrwał do ostatniego oddechu. Z szablą w ręku podczas ostatniego rozbioru rozpoczynając swój zawód, poszedł na zakładnika do Petersburga i tam jako niewolnik zmusił Carów do czci i poszanowania dla siebie. Godność pierwszego ministra przyjął tylko pod tym warunkiem, że nie podejmie żadnego kroku, któryby był z ujmą dla jego ojczyzny, — a chociaż obciążony obowiązkiem pracami, wziął własnowolnie na siebie nadzór nad wychowaniem publicznym w krajach przez Moskwę zabranych. Choć nie obrany, ale przez wszystkich uznany reprezentant Polskiego narodu na Kongresie Wiedeńskim, z największym poświęceniem posłannictwa swego dopełnił i nie pomyślał nigdy o żadnej korzyści dla siebie. Jako jeden z najwyższych dygnitarzy w Królestwie nigdy ani na chwilę nie osłabił w wierności dla myśli przewodniczącej jego ojczyźnie; w chwili wybuchu powstania przyjął ster rządu, a kiedy rząd złożył władzę w ręce ostatniego dyktatora, zaciągnął się jako prosty żołnierz w szeregi walczących. Trzydzieści lat potem spędził na wygnaniu znowu w niezmordowanej pracy około przyszłości ojczyzny, i zawsze pełen nadziei i wiary, — a czem był wtedy dla Polski i dla tułactwa, wypowiedzili o nim jego własni nieprzyjaciele wierszem kutym ze spizu :

Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś, dawną sławą
Był szlachcicem — i miał prawo.

Zamiarami, choć nie skutkiem: ale któż wówczas, kiedy Polska była na śmierć skazaną, był wielkim czemś więcej jak zamiarami? W przeciągu długiego swego żywota, wśród ustawicznych i niezliczonych przewrotów, gdzie wszystko było dla nas niestałem oprócz zawodów, może czasem wyglądał zbawienia tam gdzie go nie było; ależ zbawienia wtedy nigdzie nie było, — a nigdy i nigdzie on nie wyglądał zbawienia dla siebie. W tem jego wielkość, w tem świętość, w tem wzór niespożyty dla wszystkich następnych pokoleń. A jeśli są, którzy się na takie wzory targają, to im powiem: nie tłuczcie posągów i nie drzyjcie obrazów, które zdobiją ściany narodowego kościoła, bo dzień ten, w którym ten kościół zaświeci nagiemi ścianami, będzie ostatnim dniem życia narodu....

Ten duch się unosi nad nami, — a drugi się do nas przybliża. W odległości jeszcze dalekiej, ale dostępnej dla oka, widzimy cień wyniosłej postaci w angielskim mundurze, o białych włosach, twarzy wybladłej pracą i cierpieniami, jako się przez eter przebija, który zdaje się być gęstym dla niego. Patrząc zdaleka, otrzymujemy takie wrażenie, jakoby rumak pełnej krwi kopał się przez zasy i śniegi. Jakieś myśli bałamutne, które miewał czasami w chwilach krytycznych, zdają się lot jego ociezać; ale jego cnoty wyborne sił mu dodają, a oszczerstwa, jakie miotano na niego, torują mu drogę. Rycerz-to pełnej krwi pod każdym względem: waleczny w boju jak Bayard, niewzruszony w zasadach jak Kato, odważny w walkach duchowych jak nikt z jego współczesnych, uderzający wyniosłą dumą każdego, ktoby go chciał był poniżyć, sam siebie kładł zawsze niżej od wszystkich

i pełen był jaknajniższej pokory. To generał Zamojski, którego cała Polska znała za życia, lecz ledwie kilku lub kilkunastu umiało ocenić wedle zasługi. I on także nigdy niczego nie pragnął dla siebie. Potomek wielkiego rodu, spokrewniony z panującymi domami, opływający w dostatki, chociaż wygnaniec razem z innymi, mógł prowadzić życie spokojne i zaszczytne zajmować miejsce nawet pomiędzy xiążętami krwi krajów zachodnich, którzy się z nim chętnie bratali: lecz mimo to czterdzieście lat życia krwawej poświęcił pracy około przyszłości ojczyzny, zbierając z benedyktyńską pilnością pisemne dowody na krzywdy, jakich Polska doznała od Moskwy, przedstawiając żywemi słowy w parlamentach i zgromadzeniach ludowych bezprawia, jakie uciskały jego ojczyznę, odmawiając sobie częstokroć codziennej strawy, aby mieć środki na kosztowne podróże, wydzierając grosz skarbowym państwowym i szkatułom prywatnym na patriotyczne wyprawy i bijąc się tam wszędzie, gdzie tylko działa zagrzmiały i gdzie zaświtał dla nas choćby tylko brzask jakiejś nadziei. Był-to duch dumny godnością Polski, którą sobie zdobył swoim męstwem i poświęceniem. Nikt nigdy z wyższego stanowiska nie zapatrywał się na moralne znaczenie i przyszłość naszej ojczyzny, — a jeśli chciał, aby w narodzie była arystokracja, to wymagał zarazem od niej, aby się ciągle i bezustannie dobijała pierwszeństwa czystością obyczajów, rodzinnymi cnotami, niezmordowaną pracą dla kraju i poświęceniem wszyskiego, co ma dla utrzymania dziejowej puścizny narodu, którą odziedziczyła po ojcach. Mimo to dziwna tam była skromność w tym wzniosłym umyśle, a

w jego szlachetnem sercu prawie nadludzka pokora: wszystkie te prace, te ofiary, te poświęcenia, te walki, te boje, podejmował on w imieniu i pod sztandarami swojego wuja, zniżając się do wykonawcy tam gdzie był twórcą, do szeregowca gdzie był przywódcą, do narzędzia gdzie był kierownikiem, nie pragnąc dla siebie, gdzie to nie było koniecznie potrzebnem, nawet rozgłosu swego nazwiska. W czasach porozbiorowych roją się u nas patryoci, apostołowie i męczennicy tak wzniosli i święci, jakich niemasz w żadnym narodzie, a których obaczmy gdzieindziej: lecz apostołem-rycerzem, tak zupełnie wolnym od wszelkiej osobistej ambicyi i tak całkowicie poświęconym idei, był tylko on jeden. A jeśli w Stańczykowskim obozie są szczęki, które tę świętą pracę śmia nazywać « żebractwem » i poniżeniem godności narodu, to ja im powiem: że są one trądem, daleko obrzydliwszym od tego, którym było okryte ciało Łazarza, — i gdyby Polska była już rzeczywistym Łazarzem, to jeszczeby miała dość zdrowia w swem ciele, aby się z tego trądu wyleczyć.

W niewielkiej odległości od niego zbliża się ku nam duch inny, także jemu pokrewny; lecz ten płynie spokojnie i pracowicie, tak jak całe jego życie było spokojne, chociaż nieraz wśród burzy, a pełne pracy wśród niezliczonych trudności, które on zawsze swoją żelazną wytrwałością zwyciężył, a których lekkiego serca rodacy nie zawsze umieli sprawiedliwie odważyć. Jest to Xiąże Leon Sapieha. Chociaż dziedzic ogromnej fortuny, zaprzął się już z młodu do takiej pracy, jak gdyby musiał na chleb powszedni zarabiać; z wybuchem powstania młodziutkiej żony odbieżał, cały

majątek na stratę naraził i z szablą w ręku służył ojczyźnie; po wojnie, tułacz bez ziemi i domu, przemknął się cicho do Kraju i tam zamienił się w mrówkę, stając się niezrównanym wzorem skromności, cierpliwości i pracy. Oszczędny dla siebie, po królewsku był hojnym na dobre uczynki: dopiero po jego śmierci dowiedziano się ze zdumieniem, jak ogromne summy wydawał rokrocznie dla biednych i na sprawy krajowe. Taka skromność i hojność, społem idące ze sobą, dwojaką stanowią zasługę przed ludźmi i Bogiem. Toż we wszystkich jego uczynkach ta sama towarzyszyła mu skromność; nigdy nie troszczył się o to, aby wiadano, co robi dla kraju: jakoż także dopiero po jego śmierci spostrzeżono się, iż był on twórcą i projektorem wszystkich przedsiębiorstw i zakładów, jakie za jego życia powstały w kraju. A któż tego nie wie, jak gorące miał serce dla Polski i jakie święte niepokoje miały jego spokojnym umysłem w każdej chwili, kiedy się gdziekolwiek otworzyły jakieś nadzieje! Ta skromność nie opuściła go nawet w godzinie śmierci, bo umierając, wyrzekł się wszelkich zaszczytów, którymi się zresztą nigdy nie chlubił za życia, i kazał na swoim nakrobku położyć tylko to jedno wspomnienie, że był żołnierzem w Listopadowem Powstaniu.

Tak rozmyślając, powiedziałem sobie: Nie, nie wszyscy potomkowie tych możnych rodzin, które niegdyś wicherzyły Polską, poszli śladem swych przodków. Dawne złe od rozbioru na dobre się zamieniło. Są między nimi, którzy grzeszą obojętnością, są inni, których umysły błakają się, nie umiając wśród rozstrzelonych opinii znaleźć nici przewodniej; ale jest wielu i bardzo wielu, którzy na naj-

lepiej są drodze, — a niech tylko się dopełni moralne skupie nie społeczeństwa naszego w tej głównej myśli, która stanowi rdzeń naszego żywota, to spadkobiercy wielkich imion i wielkich majątków staną się jego najznamienitszą potęgą i główną rękojmią lepszej przyszłości. Tak jak się to dzieje w Węgrzech, gdzie arystokracja narodu niesie na swoich barkach nawę państwową, a gdzie ta arystokracja składa się nie z samych potomków rodzin zamożnych, ale z tych wszystkich, którzy się codzień sami wywyższają talentami, zasługą i pracą. I cóż tam temu może przeszkodzić jakaś-tam koteryjka krakowska, która jak chwast po długiej ulewie wybujała w zapłotkach? Chodaczkowi-to są magnaci, którzy się płaszczą i czołgają na brzuchu, aby wyłowić profesorskie katedry, dyrekcje teatrów albo dzienników, poselskie jurgielty i urzędy przy kantorach bankierskich. Cóż z nimi wspólnego mogą mieć ci, którzy obok wielkich imion i statecznych majątków odziedziczyli obowiązki utrzymywania tych imion w czystości i odświeżania ich w służbie około dobra ojczyzny?

Tak otwierałem sobie tym torem coraz dalsze widoki, kiedy tymczasem słyszę głośny śmiech koło siebie. Patrę, — a to Pan Jędrzej Śniadecki stoi przedemną i mówi :

— Lubię cię Nieczujo, żeś sobie zawsze taki naiwny. Przypominasz mi Krasińskiego, który Polskę ogłaszał za Chrystusa narodów, właśnie w tej porze, kiedy ona, skutkiem fatalnie gorszących sporów wewnętrznych, zaczęła iść w poniewierkę na całym Zachodzie. Przypominasz mi także Słowackiego, który wieszczyl o przyszłej Polsce, że « sny z niej tęcz pożyczą, » że « w polu zejda się włodarze

z kosami na roli, bo się we snach snów pokaże człowiek dobrej woli, » i wieszczyl to właśnie w tej chwili, kiedy włodarze na roli poszli rżnąć panów, a nie we śnie, tylko w rzeczywistości pokazał się człowiek diabelskiej woli, który nazywał się Szela. Tak i ty marzysz o skupieniu narodu i zlanu go jakoby w jednolity posąg spiżowy właśnie w takim czasie, kiedy ten posąg włożono w retortę, aby go chemicznie na jego pierwiastki rozłożyć. I co w tem najciekawsza, a raczej, co już wcale należy do czubków, to to, że ci chemicy, którzy naród roskładają na te trzy części, na które przemoc go rozdarła, utrzymują o sobie, że tworzą syntezę, — a tych, którzy pielęgnują w niepodzielności duszę narodu, jego jądro moralne i główny warunek jego istnienia, a więc jego syntezę, obwiniają, jakoby oddawali się analizie. Niech-no powiedzą Bismarkowi, aby oddał Hanower, Hesyą elektoralną, Xięstwo Nasauskie i Frankfurt nad Menem, a Bawaryi zalecił, ażeby szukała oparcia w Austrii, i że to będzie synteza: to obaczą, co im odpowie, — jest-to człowiek, który tego rodzaju chemią praktykuje ze skutkiem. Gdzie takie chemiczne głupoty można mówić i pisać bezkarnie, bez narażenia się na śmiech homeryczny całego audytoryum, tam się rozum chemicznie roskłada; tam trzeba naprzód podruzgodać retorty i chemików wyparować ze sceny, — a dopiero potem można pomyśleć o zlanu w jednolitą całość uczuć i myśli narodu.

Że też zawsze ktoś musi mnie zbudzić okrutnie, kiedy sobie marzę, że naszym potomkom lepiej będzie na ziemi, niżeli nam było za życia. Ale tak podchwycony przez Pana Jędrzeja, musiałem wstać i idziemy sobie z nim ra-

zem do naszych, kiedy wtem Imć Pan Pasek nam stanął na trakcie i mówi do nas :

— Spieszciez się Waszmość, bo tam już nasi kołują.

Zaczem Pasek wziął mnie pod ramię i rzecze :

— Wiesz Waszmość, że mnie za życia miano za tęgą głowę. Jakoż godzi się to i mnie samemu powiedzieć, że w instrukcyach, które niejednokrotnie naszym posłom dawałem, zawszem w to trafił, co trzeba, a niektóre z moich artykułów nawet sami królowie chwalili. Ale co się tam dzisiaj w tej naszej Polsce wyprawia, nie zawsze mi się może pomieścić w głowie, a czasem ledwie mi się ochapia, o co tam idzie. Wszelako tak mi się zdaje, że mi zdrowego zmysłu i tutaj nie braknie, a chociaż może nie umiem wszystkich szczegółów tak doskonale objąć i zważyć, jak Panowie Lelewel i Potocki, to w każdej sprawie zawsze właściwe jej jądro wynajdę i moim polskim instynktem tak je osądzę, jakby je każdy Polak osądził od Bolesława Chrobrego aż do Kościuszki. Otóż powiem Waszmości, co ja o tej terażniejszej wojnie tureckiej rozumiem. Moskwa wydała wojnę Turkom, wrzekomo aby stękających pod jarzmem turekiem Słowian uwolnić, lecz w rzeczy, ażeby zabrać Carogród. Carogród jej się bardzo uśmiecha, bo wzięwszy go, tułowem jej byłaby Moskwa, Petersburg jednym, a Stambuł drugim ramieniem, — a wtedy łatwo-by jej było obadwa ramiona pomału wyciągnąć i całą Europę do swoich żeber przycisnąć. Woląaby ona zaraz wziąć Stambuł, bo apetyt u niej jako u smoka; ale jeśliby się to nie udało, to chciałaby bodaj co urwać, a Turcyę dobrze osłabić, aby mogła tem łatwiej pójść do Stambułu przy innej okazji. Owo więc taka-to rzecz. I myśmy także

bijali Turków, a król Jan dał im dosadnego łupnia pod Wiedniem, a potem pod Parkanami, że aż Wielki Wezyr musiał się ze wstydu powiesić, a nasi się tam sownie obłowili w tej wojnie. Wojna-to była mądra i szczęśliwa, bo od tego czasu potęga turecka została złamaną, a potem już i sami Niemcy potrafilo Turków nazad do ich ziemi zapędzić i wybić im z głowy dalsze na chrześcijańskie królestwa najazdy. Niema co mówić, wdzięcznaby-to było robotą, z wszystkiej Europy ich wyparować, Azją im na mieszkanie wyznaczyć, a dla bezpieczeństwa zabrać im Stambuł i mocno osadzić: bo to nie rzecz jest, ręce założywszy przypatrywać się temu, jako tyle plemion chrześcijańskich musi ulegać Baszom tureckim. Ale nie obojętna-to dla całego chrześcijańskiego świata, a nuż dopiero dla Polski, jaka to będzie potencya, która Carogród osadzi. A miałyby-to być Moskwa, to niech-że Bóg broni. To już daleko lepiej, niechaj słaby Turek tam siedzi. Bo jakby Moskwa się tam zakorzeniła, to mając dwa morza dla siebie otworem, po których dzisiaj tak gładko się pływa, wprędce-by całą Europę swojemi ramiony ścisnęła, a Polskę-by swoim brzuchem tak mocno przygniotła, że nieboga chyba-by tylko raz jeszcze ziewnęła, a potem już trumnę jej strugać. Otóż tak mi się widzi, że nasi Polacy, jeśli nie czynem, na który ich nie stać w tych czasach, toż zawsze sercem powinni byli stać po stronie tureckiej, a przeciw Moskwie, bo zwycięstwo moskiewskie to nasza zagłada. Tymczasem słyszę — i o tem tam właśnie jest mowa między naszymi — że w Polsce zdania się podzieliły i właśnie owi tam Krakowianie, co to teraz tak wicherzą po kraju, trzymają z Moskwą, a przeciw Turkom,

Mają oni, jak powiadają, jakieś racye po temu; ale te racye są takie subtelne, że ja ich wcale zrozumieć nie mogę. Cóż Waszmość na to?

— Słuchaj Waść, — powiem ja na to Paskowi, — w sprawach narodowych nie masz żadnych takich racyi, którychby nie mógł zrozumieć, kto ma zdrowych pięć klepek i sam do tego narodu należy. A jeśli kto jakie praktyki rozpoczyna i potrzebuje je zasłaniać takimi racyami, których nie można zrozumieć, to są to po prostu matactwa, które mogą usłużyć osobom, ale nie narodowi. W tym na razie mogą oni mieć racye, ażeby cicho siedzieć i milczeć, ale żadnej nie mają racyi do takich knowań, któremi mogą tylko wrogom naszym usłużyć.

Z tem doszliśmy do naszych, którzy dziś bardzo licznie się zgromadzili. Ale musiały tam już żwawe się odprawić dyskusyje nimeśmy przyszli, bo wszyscy byli daleko więcej ożywieni niż zwykle, Xiądz Woronicz miał całą twarz wstydem oblaną, nawet Kasztelan był osowiały, Potocki głęboko zamyślony, Niemcewicz się gorzko uśmiechał, a Xiądz Podkanclerzy zdawał się kończyć jakąś dłuższą perorę, bo tak mówił:

— Ohydne to rzemiosło zostało wynalezionem przez Baerensprunga i Posta, którzy zmyślali konspiracye, a nawet je sami prowokowali, ażeby Polaków oczernić, podać ich w podejrzenie, jakoby przygotowywali powstanie, i tym sposobem utworzyć pozór, mogący usprawiedliwić nowe prześladowania. Ale Baerensprung i Post byli-to Niemcy, ślepe narzędzia policyi pruskiej, a przeto nie mający żadnych obowiązków względem kraju, w którym działali, — a to są Polacy, i jeszcze do tego tacy, którzy sobie przy-

właszczają monopol patryotyzmu, politycznego rozumu, i prawo rządzenia losami Kraju. Tu tedy niemasz żadnego usprawiedliwienia, — a jeżeli Xiądz Biskup Woronicz, wiedziony zresztą bardzo zaszczytną miłością dla swego ulubionego Krakowa, ma jakieś słuszne powody do wyrozumienia i pobłażania, to niech nam powie w swej łasce: czem myśli usprawiedliwić tych, którzy « denuncyacyę » swoich rodaków przed obcymi rządami ogłosili jako robotę « szlachetną », a zarazem jako obowiązek patryotyczny?

— Ależ ja — rzecze na to Woronicz, — wcale nie myślę bronić takich obrzydłych zasad, a tem mniej jeszcze takiego postępowania; chcę tylko rzecz zbadać sumiennie, ażeby sobie wyrobić sąd o tem jasny i bezstronny. Ja tedy tak mówię. Wybuchła wojna rosyjsko-turecka, Polacy nie powinni byli brać w niej udziału, bo nie mieli siły po temu. Na to każdy się zgodzi. Mimo to wszakże znaleźli się w Kraju ludzie niecierpliwi i zaczęli niepokoić umysły. Niebezpieczeństwo było widoczne, bo u nas wyobraźnia jest bujna, serca gorące, głowy łatwo zapalne; mogła się z tego bardzo łatwo jakaś zawierucha wywiązać, która, poczęta bez sił i kierunku, sprawie polskiej nie byłaby przyniosła żadnej korzyści, a krajowi mogłaby być bardzo szkodliwą, hoby była ściągnęła nowe pęzdłowania na jego mieszkańców.

— A zarazem fatalną klęskę dla Stańczyków, — dodał do tego Pan Jędrzej Śniadecki, — bo w takim razie nie mogliby byli popisywać się z tem w Petersburgu, że spokój utrzymali w Galicyi. Baranow, któru rzeczy te śledził bardzo zbliżka, byłby powiedział: duraki! a potem już trudno-by było się podnieść z pod takiego werdyktu.

— Otóż tedy — rzecz Woronicz — było obowiązkiem patriotów rostopnych, nietylko takiemu niewczesnemu ruchowi przeszkodzić, ale nawet nie dopuścić zaniepokojenia umysłów, bo już samo wzburzenie kraju mogło być spowodować rząd austriacki do zaprowadzenia surowych środków ostrożności, a przeto do odebrania krajowi tego zaufania, którem go obdarzył i na którym jedynie spoczywały wszystkie nadane mu swobody.

— Gdyby nawet tak było, — odpowie na to Kollataj, — to jeszcze i to nie usprawiedliwiło-by denuncyacyi przed rządem. Denuncyacya nawet nie osiągnęła-by wcale tego celu, bo już sama w sobie wystarczyła-by na to, aby odebrać zaufanie krajowi, zwłaszcza gdyby się okazało, że kraj rzeczywiście przygotowuje jakiś ruch niewczesny. Ale co gorsza, że tam żadnego przygotowania do ruchu nie było. W całym kraju, mamy na to aż nadto dostateczne świadectwa, nie było ani jednego człowieka, powtarzam raz jeszcze, ani jednego człowieka, któryby choćby przez sen o tem był myślał, ażeby albo uzbierać oddziały powstańcze na pomoc dla Turków, albo też tworzyć jakąkolwiek organizację tajną w tym samym, a nawet w jakim bądź innym zamiarze. Jeżeli gdziekolwiek wówczas była myśl taka, to w Węgrzech, gdzie się rzeczywiście wzburzyły umysły i gdzie zamierzano uorganizować na granicach Siedmiogrodu zbrojny oddział z pięciu tysięcy ludzi i wyprawić go przeciw Moskalom. Myśl ta, niechaj tam sobie o tem na ziemi mówią co się im podoba, była z węgierskiego, z austriackiego, a nawet z polskiego stanowiska rozumną i patriotyczną, i gdyby była została przeprowadzoną do skutku, byłaby

bardzo bogatą w pomysły dla Austrii, dla Węgier i dla Polski następstwa. Bo gdyby tylko pięć tysięcy Węgrów było poszło w ogień, to w parę tygodni cała armia honwedów, która wynosi przeszło dwakroć stotysięcy żołnierza, byłaby w ogniu, całe Węgry byłyby duchem stanęły przy swojej armii, a wtedy Austria byłaby nieprzepartą siłą została popchniętą w wojnę przeciwko Rosyji. A pytam się, komuby to było wyszło na dobre? Rosyja natenczas, jak to dziś wszystkim wiadomo, miała zaledwie trzykroć stotysięcy żołnierza do postawienia przeciwko Turkom, a przeciw sobie całą armię turecką, która już sama w sobie była niezmiernie trudną do zwyciężenia. Któż o tem dziś wątpi, że gdyby z Austrii nikt więcej był nie uderzył na Rosyję, jak tylko dwakroć stotysięcy honwedów, armija rossyjska zostałaby była w puch rozbitą,— a z nią i Carat rossyjski? bo któż o tem nie wie, że w Rosyji nowych sukursów nie było, że gwardye już były na polu bitwy i, że nad to wszystko usposobienie umysłów już wtedy wcale nie było po temu, ażeby Car mógł być liczyć na nową armię, gdyby był został za granicami kraju pobity. Nie utrzymuję wcale, że z klęski, chociażby nawet bardzo dosadnej, poniesionej przez Carat w Turcyi, byłoby się wywinęło oswobodzenie Polski. Wówczas jeszcze byłyby się zapewne Prusy wdały w tę sprawę na korzyść Rosyji; Rosyja, pomimo klęski byłaby prawdopodobnie nie utraciła ani piędzi ziemi: aleby była wyszła z tej wojny osłabioną przynajmniej na jakie lat kilkanaście, — a stąd przed wszystkim wielką korzyść byłaby odniosła Austria i nie mogłoby to było być zniekorzyścią dla Polski, bo osłabienie wroga jest zawsze korzystnym dla uciśnionego.

Tak się miały te rzeczy naówczas. Powiedz-że nam, Panie Marszałku, czy nie tak było?

A na to Pan Ignacy Potocki odpowiedział w ten sens :

— Tak było w samej istocie. Gabinet Austriacki nie-
trafnie zapatrywał się na położenie ówczesne. Nie było
tam Kaunitza lub Metternicha, a Hrabia Andrassy, czło-
wiek lekki i powierzchowny, uganiający tylko za łatwym
sukcesem bez pracy, bardzo bystry tam, gdzie chodziło
o order, o rangę lub pensję, ale zupełnie tępy gdzie trzeba
było objąć sprawę wyższego znaczenia, przewidzieć przy-
szłość i powziąć śmiało postanowienie, nie zrozumiał wcale
znaczenia wojny rossyjsko-tureckiej i w małoduszności
swojej czyhał tylko na jaki okrawek, choćby tylko pozor-
nej korzyści, nie myśląc wcale o tem, jakie stanowisko
Austria będzie z konieczności musiała sporządzić sobie
w obec Rossyi, jeżeli choćby tylko pozorną korzyść odnie-
sie dla siebie, a na jej szkodę. Andrassy nie znał Rossyi
i nie wiedział o tem, że czy ją na głowę pobije, czy tylko
zadrasnie, to zawsze będzie w niej miał śmiertelnego
wroga dopóty, dopóki się z nią w stanowczej wojnie nie
zetrze, — a tem mniej było mu wiadomem, o czem świad-
czy cała historia, że Roszsa łatwiej zniesie przegraną
wojnę, niżeli dyplomatyczną porażkę i zawsze się z tym
pogodzi, kto ją porwał za barki i rzucił o ziemię, a
krwawo mścić się będzie na każdym, który ją lekko za-
drasnął. Stąd poszło, że Andrassy jeszcze przed wybuchem
wojny, jak był powinien, nie poszedł do Rumunii nie
położył się murem pomiędzy obozem w Kiszieniewie a ar-
mią turecką, czem byłby albo bez wystrzału zdobył ogro-
mne dla Austrii korzyści, albo świetne i łatwe odniósł

zwycięstwo. Stąd poszło także, że zamiast wziąć Serbię, ekonomicznie i strategicznie najkorzystniejszą ze wszystkich tamtejszych prowincyi, bo pod sztandary austriackie powiewające w Belgradzie muszą się poddać wszystkie ziemie leżące po prawej stronie aż do Saloniki, poszedł do Bosnii, tam sumy bajłońskie utopił i znaczną część siły zbrojnej uwięził, — a przeto ani o jeden cień nienawiści Rossyi ku Austrii nie ułagodził, owszem przeciwnie, wojnę pomiędzy temi dwoma mocarstwami uczynił nieuniknioną. W jakich ta wojna swojego czasu odbędzie się warunkach, to tylko Bogu wiadomo. Ufajmy, że przyjaźń z Cesarstwem Niemieckiem okaże się w owej krytycznej chwili pożyteczną dla Austrii. Ale zawsze to pewna, że Austriya już nigdy nie będzie miała walecznej armii tureckiej na swoje rozkazy, jak ją mieć mogła w tej porze, o której właśnie jest mowa. Owo więc nie masz żadnego wątpienia, że gdyby jaki nieprzewidziany wypadek był zmusił Austryę do zbrojnego wystąpienia przeciwko Rossyi w początku tej wojny, to byłby to był wypadek dla niej niezmiernie szczęśliwy, — a stąd wynika, że kto takiemu wypadkowi usiłował przeszkodzić, ten albo był tak samo krótkowidzącym, jak minister Andrassy, albo po prostu działał na korzyść Rossyi.

— Ah! — zawołał na to Xiądz Podkanclerzy, — otóż to jest właśnie, co chciałem powiedzieć. Ale pozwólcie mi moje myśl dokładnie wysłowić. Gdyby podówczas w Polsce było istniało rzeczywiste niebezpieczeństwo zbrojnego ruchu na korzyść Turcyi, to owe polskie Baerensprungi i Posty byłiby swemi denuncyacyami, ani nie Austrii, ani nie Polsce, tylko Rossyi oddali przysługę, bo tylko jej samej

mogło być pożytecznem niedopuszczenie żadnej postronnej dywersyi w jej pojedynku z Turkami. Ale, jak powiedziałem, Stańczycy nawet i w obec Rossyi nie położyli żadnej zasługi, bo tego riebezpieczeństwa nie było, — bo denuncyacye te były skłamane. O cóż im zatem chodziło? Oto, tylko o pozór zasługi. Skłamali oni istnienie jakichś sprzysiężeń w Polsce, nie wahali się oczernić własnych rodaków i wydać niewinnych na prześladowania, aby uzyskać pozór w Wiedniu, w Berlinie i w Petersburgu, jako ochronili Moskwę od szkody, którą-by jej byli mogli wyrządzić Polacy! Straszliwe-to rzeczy: jak Polska Polską, jeszcze jej ziemia nie urodziła nigdy takich politycznych potworów!

Na te słowa głębokie pomiędzy nami zaległo milczenie. Ten i ów spuścił zwieszoną głowę ku ziemi, inni szeptali coś z sobą na stronie, a jeśli dobrze pamiętam, to niektórzy nawet wcale się usunęli. Objęło nas wówczas prawie takie uczucie, jak owę nieszczęśliwą rodzinę, której panna uciekła z kozakiem. Mąż unika wzroku swej własnej żony, aby o tem nie mówić. I byłoby się zapewne na tem skończyło. Ale Pan Jędrzej, co to musi koniecznie ukłuć każdego, który mu poda sposobność do tego, obrócił się do Woronicza i rzecze:

— Cóż tedy kochany Biskupie? Ja trzymam z Jegością. Bo o co tam chodziło? Jak bardzo trafnie powiedziałeś, potrzeba było koniecznie zaufanie utrzymać. Nie można go utrzymać zacnością postępowania, rzeczywistemi zasługami, rzetelną pracą około dobra kraju i tronu, a w każdym razie godnością postawy, bo zasług sobie dzobyć nie umiemy, pracować nam się nie chce, a na go-

dność nas nie stać, więc trzeba szukać innych środków do tego celu, — a że cel wielki, więc każdy środek jest dobry, byle trafił do celu. A ten środek, wierzaj mi mój Biskupie, nigdy celu nie chybia, bo wszyscyśmy ludzie, a i rząd składa się z ludzi. Wyobraź sobie ty sam, że masz rządcę w twych dobrach. Rządca sobie hultaj po trochę: zapija sprawę, gra w karty, włóczy się po jarmarkach, role nie rodzą, inwentarze marnieją, dobra nie przynoszą dochodu. Ale rządca frant, w usługach dla ciebie jest niezmordowany i od najlichszych się nie wymówi: jeszcze spiszą, a on już czeka w przedpokoju; ledwieś oczy otworzył, on już jest z nowinami z całego świata, wie, co kanonicy po kapitule mówili pomiędzy sobą, kogo proboszcz przyjmował u siebie i, kędy wieczór przepędził wikary; wstałeś, on służy ci przy ubieraniu, wytuzował kamerdynera za to, że mydło do golenia nie dobrze było zrobione, brzytwę twą własnoręcznie na pasku pociągnął, a widząc, że twoje trzewiki nie dość się świeciły, porwał je, chuchnął i własnym wygłancował rękawem. Kiedy wychodzisz, on jest przy tobie, a raczej pół kroku za tobą, zdaleka znak daje przechodniom, aby ustępowali z drogi, własnemu synowi dał ręką po czubie za to, że za późno zdjął czapkę przed tobą, własnego szwagra z ekonomii wyrzucił, boś się rozgniewał na niego; dla ciebie gotów wszystkie swe syny i córki poświęcić, dla ciebie gotów wyprzeć się przodków, jeżeli miał jakich, dla ciebie gotów złupić wszystkich twoich poddanych, byłeś mu beskarność zapewnił, — a ile razy mszę masz w kościele, widzisz go leżącego krzyżem i bijącego się w pyski ze skruchy. Ej, mój Biskupie, ty wiesz, że to hultaj, ty nawet go podejrzewasz,

że w danym razie sprzedałby ciebie twoim sąsiadom; dlatego nie powierysz mu spraw kapitałnych: ale mimo to wszystko nie napędzisz go od siebie, plotkom jego uwierzysz albo i nie uwierzysz, ale go zawsze wysłuchasz, a często darujesz mu konika i krówkę, albo mu i folwark puścisz w dzierżawę. A co? czy to nie tak? Ludzkie-to rzeczy. Kto nie chce albo nie umie uczciwą pracą zarobić na ufność i szacunek swojego pana, ten idąc za przykładem owego rządcy najpewniej się w łaskę pańską zakradnie: będzie miał zaufanie, przytem i miarkę pogardy, lecz za to patent na wszelkie szalbierstwa, o co właśnie mu chodzi.

— Ale mnie o to wcale nie chodzi, — odpowiedział na to z gniewem Woronicz, — mnie chodzi o to, abyśmy nie popadli w sądy niesprawiedliwe, bo przecież jeżeli oskarżonego nie można uniewinnić, to zawsze należy zważyć okoliczności łagodzące. Nie masz wątplenia, że denuncyowanie swoich własnych rodaków przed obcymi rządami nie może być nigdy czynem «szlachetnym,» chociażby ono miało kraj ochronić od szkody: tak jak nie wolno jest zabijać bliźniego dlatego, iż jest w podejrzeniu, że mógłby sąsiadowi wyrządzić coś złego. Taki artykuł nie znajduje się w prawach żadnego z chrześcijańskich społeczeństw, a, o ile mi wiadomo, nie masz go nawet w obyczajach pogańskich narodów. Wszelako wyjaśnić potrzeba, ażali były istotnie jakie sprzysiężenia w kraju przed wojną turecką, a jeśli były, co one miały w zamiarze?

Tymczasem, kiedy Woronicz zabierał się widocznie do jakiejś bardzo długiej rozprawy, Mickiewicz, który rozwle

kłych dysput nie lubi, obrócił się do Pana Joachima i zawołał:

O, długo modłom naszym będący na celu,
Znowuż do nas koronny znijdziesz Lelewelu!
I znowu cię obstępia pobratymcze tłumy,
Abyś naprawiał serca, objaśniał rozumy.

Więc tedy Lelewel zabrał głos i tak mówił:

— Według aktów, które znajdują się w moim raptularzu, podczas wojny tureckiej żadnej konspiracyi, ani nawet żadnej zmywy w kraju nie było. Co większa, nie było ani jednego człowieka, któryby był o tem pomyślał, że Polacy, porozumiewszy się z Turkami, mogliby sporządzić skuteczną przeciwko Moskwie dywersyę. Myśl zbrojnej dywersyi, wyszła od cudzoziemców, odnosiła się tylko do Siedmiogrodzkiej wyprawy i była protegowaną przez Turków, Anglików i Francuzów. Ci cudzoziemy oparli się kilkakrotnie o Wiedeń i tam zabrali znajomość z niektórymi Polakami. Odbywały się wtedy tu i ówdzie wspólne narady, ale na nich nigdy nawet mowy o tem nie było, aby Polskę wciągnąć w jakiegokolwiek działanie. Polacy, będąc informowani, że rząd Austriacki w żadnym wypadku nie wystąpi przeciwko Rosyi z bronią w rękę, owszem przeciwnie, że usiłować będzie działać z nią w dobrem porozumieniu, byli zanadto roztropni, aby podnieść, choćby tylko myśl, wzięcia udziału nawet w cudzej politycznej czynności. Mimo to wniesiono do rządów zaborczych dwie denuncyacye jedna po drugiej, w których usiłowano dowieść, że w kraju istnieje rozgałęziona konspiracya, na której czele stoi nowo utworzony rząd narodowy z komisarzami zamianowanymi dla wszystkich polskich prowincyi, a której-to konspiracyi

celem jest przygotowanie powstania. W tych denuncyacjach wymieniono nazwiska osób, jakoby stojących na czele tego zmyślnego spisku, i tym sposobem podano najniewinniejszych ludzi w podejrzenie i ściągnięto na nich dozór policyi. Prócz tego, sfabrykowano protokół jakoby posiedzeń przez ten tajny rząd odbywanych, któryto protokół rozrzucono w znacznej liczbie odpisów po wszystkich prowincjach polskich, a to w tym celu, ażeby szlachtę straszyć niebezpiecznymi zamiarami mniemanych rewolucjonistów i napędzać ją w sieci mniemanych jej zbawców. Rząd Austryacki, sumienniejszy i oświećszy od innych, denuncyacyom tym nie uwierzył na słowo, przekonał się wkrótce, że były zmyślane, i rzucił je po prostu do kosza, zakarbowawszy sobie denuncyantów na tym kiju, który się im należał; ale rząd rossyjski, któremu przeciw Polakom sam pozór wystarcza, użył tych denuncyacyi jako argumentu, że Polacy są niepoprawni, że im żadnych swobód nadawać nie można i wykluczył ich od tych ulg w sprawach prasowych i administracyjnych, które do wojnie dały się uczuć mieszkańcom krajów czysto-rossyjskich. Denuncyanci ci zatem rodakom swoim, żyjącym pod berłem rossyjskiem ogromną wyrządzili szkodę, której skutki trwają do dziś dnia.

— I to jest pewna? — zapytał Woronicz.

— Mamy na to dowody, — odpowiedział Lelewel. A potem tak mówił:

— Cokolwiek później, ale już po wojnie, utworzył się rzeczywiście mały związek, ale nie w tym celu, aby przygotowywać powstanie, tylko z zupełnie innym zamiarem. Oto tak w Galicyi, jak i w Królestwie, pewną część

młodzieży owiały zasady socyalistyczne. Młodzież ta zaczęła się zmawiać ze sobą, a nawet wydawać pisemka, które mianowicie rząd rossyjski tolerował, a nawet protegował, bo nie mogło mu być nieprzyjemnem, jeżeli młodzież polska pozbędzie się uczuć patryotycznych, a przyjmie zasady kosmopolityczne. Gdyby ta propaganda, prowadzona za pomocą schadzek i pism publicznych, zapuściła w Polsce korzenie, jedna nowa generacya wychowana, w takich zasadach, wystarczyłaby na to, aby Rossyę uwolnić na zawsze od owej wiekowej walki z polskim narodem, w której jak dotąd jeszcze bezskutecznie zużywa najlepsze swe siły. W tej myśli znajduje się punkt zetknięcia Stańczyków z socyalistami, bo i ich ostateczną dążnością, jeśli ją weźmiemy na oko z politycznego punktu widzenia, nie jest co innego, jak zaprzestanie walki Polaków z tymi zabobczymi rządami, które chcą ich narodowość wytępić. Tak ostateczności często się stykają ze sobą na zgubę cnoty i prawdy, która się zawsze znajduje we środku. Owóż, celem owego związku było właśnie owładnąć tę obłąkaną młodzież, wykorzenić w jej głowach zasady socyalistyczne, a napełnić jej serca na powrót uczuciami miłości ojczyzny. Na czele tego związku stały całkiem inne osoby, nie te, których nazwiska wymieniono w denuncyacyach, o których wyżej mówiłem, — i związek ten dla pewnego rządu nie był wcale tak tajnym, jak bywają wszystkie inne sprzyśnięcia, które mają powstanie na celu. Związek ten, którego cel był równie rozumnym, jak patryotycznym, jakkolwiek trwał tylko kilka miesięcy, dopełnił prawie zupełnie swoich zamiarów, bo rozprzął i rozbił owe

sprzysiężenia socyalistyczne w ich głównych zawiązkach, a przytem ani się do denuncyacyi uciekał, ani się też przed kimkolwiek pochwalił, że społeczeństwu polskiemu ważną wyrządził przysługę. Osiągnąwszy swój cel, związek się dobrowolnie rozwiązał i ogłosił to odezwą, — a odezwa ta posłużyła za przedmiot do nowej denuncyacyi, której bezpośrednim skutkiem było uwięzienie dziewięciu młodych ludzi w Królestwie i wysłanie ich bez wyroku na Sybir. Dalszym zaś skutkiem tej denuncyacyi jest to, że młodzież, zarażona socyalistyczną herezyą, znalazłszy się bez przewodników, którzy ją naprowadzali na drogi uczuć i obowiązków patryotycznych, znowu się do socyalizmu nawraca, ku wielkiemu zadowoleniu Moskali. Mógłbym wam o tych robotach całą xiążkę napisać, bo znam wszystkie szczegóły i wszystkie nazwiska, ale to do dziejowych materyałów należy, — a ja wam chciałem powiedzieć to tylko, co o tem powinno zostać w historyi.

Więc tedy znowu głucho pomiędzy nami zaległo milczenie, które dopiero po chwili przerwał Niemcewicz, mówiąc do Woronicza:

— Więc tedy nie masz łagodzących okoliczności. Partya ta, jak niegdyś Szczęsny Potocki, oddała się wtedy *sans phrase* na usługi Rosyi. Nie darmo też ogłasza ona Alexandra Wielopolskiego swym mistrzem, bo cała polityka Wielopolskiego, jak to sam wypowiedział z zupełną stanowczością w swoim Liście do Metternicha, w tem leży, ażeby Polacy oddali się na łaskę i niełaskę Carowi. Dziwna-to rzecz: mądrość ludzka polega na tem, ażeby z cudzych doświadczeń korzystać, — a my Polacy nawet własnem doświadczeniem nie możemy się niczego nau-

czyć. Iluż-to już było pomiędzy naszymi przodkami, którzy liczyli na Rosyę, — i wszyscy się zawiedli! Nawet sam Wielopolski, na ów List swój do Metternicha, w którym oddał Polskę Rosyi i tylko ją prosił, aby się zemściła na Austryi, jakąż-to odpowiedź odebrał od Cara? Oto rosyjska policya List jego skonfiskowała, a w parę lat potem Car poszedł Austryi na pomoc przeciwko Węgrom. Moskwie żaden Polak nie ofiarować nie może, bo już to samo, że jako Polak do niej przemawia, w jej oczach jest buntem. Napróżno do niej się modlić, choćby jej własnym językiem. Jest ona jak ogień w poezyi Gøethego : *Anbete das Feuer hundert Jahr', dann fall' hinein, dich frisst's mit Haut und Haar*. I jeszcze zawsze są Polacy, którzy w ten sam błąd popadają? To ledwie do uwierzenia. Ale wracając do partyi krakowskiej, trzeba powiedzieć, że ponieważ dwóm panom służyć nie można, a zwłaszcza takim, którzy się boczą na siebie i z swymi poddanymi obchodzą się całkiem odmiennie, więc lojalność tej partyi dla Austryi jest tylko pozorną. I to się bardzo łatwo pojmuje. Zapewne że, tęskniąc do knuta i do zaszczytnej roli niewolnika w Moskwie, trudno wyznawać liberalne zasady u siebie; zresztą nim się wyawansuje na niewolnika za granicą, dobrze tymczasem być przynajmniej muzykiem u siebie: ale zbawienie widzi się tylko w Moskwie i do niej się wzdycha. Nie można nawet przypuszczać rzetelnej lojalności dla Austryi w tym, dla którego Wielopolski jest mistrzem: wszakże głównym artykułem wiary Wielopolskiego była zawzięta nienawiść do Austryi, a jedyną jego modlitwą do Boga i Cara była zemsta nad Austryą. Cóż ty na to mówisz, Panie Marszałku?

— Tak jest bez wątpienia, — odpowiedział Ignacy Potocki. Wszakże i dzisiaj jeszcze, jeżeli kto obcy pyta o to Stańczyków, odpowiadają bez ogródki, że Stańczykowska stolicą jest Warszawa, a Kraków tylko jej filią. Zbytecznem jest komuś tego dowodzić, do czego sam się przyznaje. Jednak co do lojalności dla Austrii, a służalstwa dla Moskwy, to widać tam fluktuacye, które się według tego zmieniają, jaki wiatr wieje. Z początku tylko tę postawili zasadę, że każdemu Panu należy służyć bez względu na to, skąd jego władza pochodzi, bo według nich każda władza pochodzi od Boga. Wprawdzie historia nas uczy, że jedna władza pochodzi od Boga, a druga od batoga, ale oni mają swoich własnych historyków, którzy piszą historią nie ze źródeł, tylko z natchnienia. Później, kiedy się zaczęli dobijać do łaski Wielkiej Księżnej Dągmary, fale ich wzniosły się wysoko ku Rosyi, a o Austrii nie wiele było tam mowy. Wtedy « Czas » przyniósł cały szereg artykułów pochwalnych dla Andrassego, lecz tylko z tego punktu widzenia, że minister ten szukał sposobów zbliżenia się do Rosyi, a nawet spowodował owę manifestacyjną wyprawę do Petersburga i Moskwy, która tak wielkie sprawiła w Europie wrażenie. Artykuły te popierały politykę wiedeńskiego ministra, bo jak mówiły, im więcej Andrassy będzie miał wpływu na Rosyę, tem pewniej coś wyrobi dla Polski. Nie śmiejecie się, proszę was, bo wam prawdę mówię, a nawet mógłbym wam powiedzieć, kto te artykuły pisał. Jak dalece Andrassy był Polską zajęty, widać z tego, że ta podróż skończyła się złożeniem wieńca na grobie Mikołaja: ale to nic nie szkodzi, bo Stańczycy właśnie w tem chlubę znajdują, że się mylą. Z poczęciem

przygotowań do wojny tureckiej, te fale moskiewskie w obozie Stańczyków wzniosły się jeszcze daleko wyżej: wtedy już poszli na gołe łby przeciwko wszystkim, którzy nie byli przejęci takim samym zapałem służenia Rosyi, jak oni. Zapał ten został nawet zauważanym w Wiedniu; ale i to im nie zaszkodziło, bo Wiedeń na takie rzeczy patrzy bardzo z wysoka i jest bardzo cierpliwy. Wówczas Pan Szujski — *quantum mutatus ab illo!* — ogłosił ów kędzierzawy List w « Czasie », który nie łatwo było zrozumieć, bo go takim pokaleczonym napisał językiem, jak właśnie na Stańczykowskiego profesora przystało: jednakże zawsze jeszcze dość jasno wyłoniła się zeń ta polityczna zasada, że Polsce granic geograficznych nie potrzeba, bo może doskonale żyć samym duchem. Nie powiedział on wprawdzie, jakiego ducha jej ofiaruje na pożywienie, — a dopiero później się pokazało, że żywiona tym duchem, jakim Pan Szujski ją karmi, może ona tylko umrzeć na pewno i umrzeć haniebnie. Ale ten List otworzył tylną furtkę partyi krakowskiej, bo powiedziano w nim, że ta partya przyjmuje obecne geograficzne granice. Było to bardzo roztropnie, bo niebawem po wojnie okazało się, że w Rosyi Stańczykom jakoś nie po szwie się porze; nastąpiły pewne rozczarowania: a wtedy fale moskiewskie zaczęły zwolna opadać, austriackie cokolwiek raźniej podnosić się w górę, a jaki taki pełznął na brzuchu do Wiednia, aby się grzecznie pokłonić i złapać co można. Takich fluktuacyi tam będzie jeszcze nie mało, — a kiedyś może jeszcze przyjdzie do licytacyi, jeżeli się tymczasem pomiędzy dwa stołki nie padnie.

A kiedy wszyscy zamyślili się nad tem, co właśnie Pan

Ignacy powiedział, Pan Jędrzej Śniadecki przybrał minę poważną i rzecze:

— Więc krótko mówiąc, cała polityka Stańczyków na tej polega zasadzie, iż powiedzieli narodowi: « Masz ginąć marnie, to wolisz żyć marnie, » — a my tymczasem w tem marnem życiu będziemy tobie gospodarować. Trafna-to jest zasada, zwłaszcza też dla potomków tych złotych rycerzy, którzy sławę swą zdobywali pod Obertynem i Orszą, a dla niej ginęli pod Żołtami Wodami i pod Cecorą....

Ale tymczasem Xiądz Podkanclerzy się zbudził i tak mówił:

— Licytacy?... Ważne wypowiedziałeś słowo, może nawet niechcący. Słowo to na nieszczęście bardzo wielką odgrywa rolę w naszej historii. Spoczywa ono na fundamentach głębokich, które założył tron elekcyjny. Nie myślał o tem ten, który te fundamenty założył; w jego mniemaniu miała się na nich wznieść główna forteca wolności: ale historia nas uczy, że wszystkie budynki, które z postępem czasu tę fortecę obsiadły, były-to kramy kupieckie, a budynki te poobraszały obrzydłym chwastem, który nakoniec całą Polskę zaśmiecił, a którego imię: sprzedajność. Dopiero Konstytucya Trzeciego Maja, która ustanowiła tron sukcesyjny na umiarkowanej oparty wolności, a której twórcy swojego dzieła nie wystawiali na licytację, wyrwała te chwasty z korzeniem i zagroziła sprzedajności drogę na zawsze. Nie wystawialiśmy się na licytację ani za Xięstwa Warszawskiego, ani po bitwie pod Lipskiem. Co nam dano po kongresie Wiedeńskim, tośmy milcząc przyjęli; byli tacy, jak Kniaziewicz, Wojczynski i tylu innych, którzy i do tego ręki przyłożyć nie chcieli,

a Listopadowe powstanie nauczyło nas raz na zawsze, że hasłem naszym nie będzie nigdy ani « ginąć marnie », ani « żyć marnie; » że możemy wprawdzie przyjąć, kiedy musimy, narzucone nam geograficzne granice, ale nam ich publicznymi aktami uświęcać nie wolno, bo w tych i wszystkich innych granicach możemy tylko żyć, albo umrzeć z honorem....

Wszyscy mu przyklasnęli, aprobując to jego zdanie, a on tymczasem mówił dalej w ten sens:

— Ale tak, masz rację, Panie Marszałku, licytacja leży istotnie w naszych dawniejszych tradycjach: w tradycjach magnatów, którzy licytowali szlachtę do swoich fakcyjnych zamiarów, i w tradycjach szlachty, która dała się licytować. Dlatego dobrze powiedziałeś niedawno temu, że dziś nie należy dopuszczać tworzenia się stronnictw do działania na zewnątrz, bo takie stronnictwa łatwo mogą poddać się licytacji. Niechaj będą stronnictwa wewnątrz kraju i niechaj walczą ze sobą w domu, ale w obec każdej sprawy zewnętrznej niechaj ławą staje kraj cały i niech w nim przewodzą nie naczelnicy stronnictw krajowych, ale ci, którzy się w górę wynieśli talentem, pracą, zasługą, a przedewszystkiem mocą charakteru i niezawistością sumienia. Natenczas kraj, jeśli znajdzie się w konieczności wyboru tego mocarstwa, z którym ma los swój połączyć, pójdzie jednogłośnie z tem, które mu dało przychylności dowody, — i nie będzie natenczas ani fakcyi, ani ludzi, którzyby śmieli uczucia narodu wystawiać na licytację, ażeby coś zyskać, nie dla kraju, ale dla siebie. W położeniu dzisiejszem zresztą kwestya ta, zdaje mi się, już jest z góry zdecydowaną,

nim jeszcze stanęła na porządku dziennym. Na wypadek wojny pomiędzy Austryą a Rosyą, którą wszyscy przewidują, chociaż ja jej jeszcze nie widzę, Polacy pójdą z Austryą, — a to nietylko dlatego, że Austrya, bez egoistycznych powodów, tylko powodowana uczuciem ludzkości i sprawiedliwości, postawiła nas w swoich prowincjach na nogi, ale głównie z tego powodu, że Polacy, jak to jest ich odwieczną tradycją, powinni zawsze i wszędzie, i bez żadnego względu na cele uboczne, iść z cywilizacją przeciwko barbarzyństwu, a nigdy z barbarzyństwem przeciw cywilizacji.

— I do tego wcale nie potrzeba Stańczyków, — rzekł na to Niemcewicz, — bo kraj cały bez Stańczyków, a nawet już przed narodzeniem Stańczyków, był tem uczuciem natchniony. Byłoby to nawet wielkim błędem ze strony Austrii, gdyby w danym razie do takiego powołania narodu użyła Stańczyków. Ich wystąpienie mogłoby tylko zapał kraju ostudzić, — i mogłoby się nawet wtedy zdarzyć Austrii to samo, co jej się zdarzyło z legionami Starzeńskiego podczas wojny pruskiej, gdzie można było łatwo sto tysięcy Polaków postawić pod broń, a gdzie ich znalazło się ledwie kilkudziesięciu, li tylko dlatego, że postawiono na czele polskiego legionu znieprawionego powszechnie nieprzyjaciela Polaków. A Stańczykom mogłoby się zdarzyć to samo, czego Dumouriez dożył, kiedy, przeszedłszy do Austryaków niby-to z armiją swoją, sam jeden się stawił, — a kiedy go zapytano: Gdzie są twoi żołnierze? — odpowiedział: Zdrajcy! nie chcieli opuścić sztandaru. — Rząd, który w wojnie chce mieć Polaków po sobie, powinien się dobrze opatrzyć, przez kogo ich do

broni powoła, bo my jesteśmy nadzwyczajnie drażliwi i nieraz już odmówiliśmy naszego udziału li tylko dla tego, że ten, który nas wezwał do broni, nie miał miru w narodzie.

Na to zaś rzekł Pan Ignacy Potocki, zwracając się do Kołłątaja:

— Wspomniałeś o wojnie pomiędzy Austryą i Rosyą, i dodałeś, że jej jeszcze nie widzisz. I ja też do pewnego stopnia twoje zdanie podzielam. Na każdy wypadek to pewna, że Austria wojny nie wypowie, chyba gdyby ją prowokowano. Państwo to jest ostróżnem i ma słuszość nawet w tym razie, gdy, wypuściwszy Polaków i Węgrów na Moskwę, według wszelkiego prawdopodobieństwa miałyby pewność wygranej. Prócz tego, przynajmniej dla mnie, nie jest-to wcale pewnikiem, że którekolwiek z trzech państw rozbiorowych zaważowało-by nas do zbrojnego udziału, nas jako naród polski. Bo najpierw, Polski każde mocarstwo się boi. Na samo wspomnienie jej imienia zimny dreszcz je przejmuje, jakby na widok powstającego z grobu upiora. A powtóre, inny dzisiaj jest sposób wojowania, jak za naszych czasów. Wojujący mają armie stojące ogromnych rozmiarów; przy nich powstania nie wielką mogą odegrać rolę. Prócz tego mają żelazne koleje, marsze ich odbywają się lotem błyskawicy, czasem i wielkie wojny nie trwają jak kilka tygodni: nie pora tam myśleć o pospolitych ruszeniach, których organizacja dzisiaj tem dłuższego wymagałaby czasu, ile że inne są wymagania. Zgoła, według mojego zdania, niepotrzebnie się nasi takimi rozrywają myślami. Oni nikogo do wojny ani namówią, ani zniewolą: w samej wojnie

tej roli nie odegrają, o jakiej może niektórzy z nich marzą; dopiero po wojnie, a w najszcześniejszym razie pod koniec wojny, może na szali swych losów zaważyć, — a i wtedy tylko w tej mierze, w jakiej na to zasłużą swoją godnością i siłą. Godność, przez partję krakowską mocno nadwierzona, może się jeszcze odzyskać; ale co się nigdy nie da odzyskać, to czas stracony na ubieganiu się o cześć honory i jakiegokolwiek prebendy, czas który wyłącznie i całkowicie powinien być poświęcony moralnej i materyalnej pracy około dobra narodu.

Na to Niemcewicz się gorzko uśmiechnął i rzekł:

— Łatwo-to nam mówić, niechaj się niczem nie dają rozrywać i niech pożytecznie pracują. Ba, kiedy-bo to i praca nie może iść ładem, jak skoro są ludzie, nie tyle wpływowi, ile zapobiegliwi i skrzętni, którzy tej pracy z umysłu fałszywy nadają kierunek. Praca narodu tylko wtedy może być pożyteczną, jeżeli ją prowadzi zdrowa, spojona ze sobą i jednolita opinia publiczna, — a tutaj właśnie nie opinia publiczna decyduje o kierunku spraw publicznych, tylko intrygi fakecyjne i interesa egoistyczne, zawsze bez względu na potrzeby kraju, a często z urąganiem z opinii publicznej, którą pisarze fakejni usiłują podać lekceważeniu i poniewierce. W dzisiejszem urządzeniu kraju najważniejszym urzędem jest Marszałkownictwo. Marszałek Sejmu, będąc zarazem prezesem Wydziału, ma cały rozwój materyalny, a nawet i jego rozwój moralny w swem ręku. Wszystko tu zatem od tego zależy, kto jest Marszałkiem. *Tant vaut l'homme, tant vaut l'affaire*. Tymczasem właśnie teraz, kiedy Xiążę Leon Sapieha, schylony wiekiem, złożył łaskę, kogóż-to Stań-

czycy wysunęli na Marszałka? Zapewne, na bezrybiu i rak ryba....

— A przepraszam, — rzekł na to Pan Jędrzej, — nie takie-to tam bezrybie, na jakie skarżą się ci, którym tak mówić potrzeba. Dziś ludzi ukształconych i zdolnych do wszelkich urzędów jest bez porównania więcej, niżeli ich było za naszych czasów, a tysiąc i kilka tysięcy razy więcej, niżeli za czteroletniego Sejmu. Wszakże już sama ilość szkół i ilość ukształconej ludności jest na to dostatecznym dowodem. Tylko ludzie ci nie są znani, bo nie mają pomiędzy sobą towarzystwa wzajemnej admiracyi, jak Stańczycy, i nie podnoszą się wzajemnie, jak oni. Co się zaś tyczy terażniejszego wyboru Marszałka, to jest to farsą, już dla tego samego, że jest przecież pan Kazimierz Krasicki, mąż znamienitych zdolności i zasług, sumienny i wytrwały pracownik na tem właśnie polu, znający potrzeby, kraju jak nikt inny, a któremu się ten urząd po Xięciu Leonie nawet z kolei należał. Ale pan Kazimierz, acz twardy konserwatysta, jest Polakiem dawnego kroju, a Stańczyków ma za awanturników, czasami nawet za najezdników. Jak kiedyś umrze, bez wątpienia mu piękny panegiryk napiszą, a może go nawet ogłoszą za swego. *Sit divus, dum non sit vivus*. Lecz póki żyje, nie można go do niczego dopuścić, bo nie Stańczyk. I jakże ten nowy wybór się zapowiada? Oto przed wszystkim innem podniosło się pensję Marszałka, bo to rzecz główna. Potem Kraków się zburzył przeciwko Lwowu i nie chce obesać Lwowskiej wystawy. *Horrendum*, jakiego jeszcze nigdy w Polsce nie było. A tymczasem się Wydział pomalą rozsprząga, spójność się zwolna rozłazi, a praca

ustaje. Nie długo czekać a obaczymy, czy wybór ten był nosem dla tabakieri, czy tabakierą dla nosa, czy może tylko « szczeblem do sławy grodu.... »

A takeśmy się już zaczęli rozchodzić, smutni jak zawsze, kiedy o tych tam sprawach krakowskich jest mowa. Już też świtać zaczęło i słyhać było chóry aniołów, spiewających pieśni poranne. Właśnie-to czas jest, kiedy do wrót niebieskich dobijają się dusze pobożne, które się chcą dostać do nieba. Ścisk tam zawsze jest wielki, bo wielu jest powołanych, a nie każdy wybrany. Modły tam, jęki i piski takie, że się zdaje, jakoby się było na jakim odpuszcie, gdzie wszyscy się cisną do wielkiego ołtarza, choćby też mieli i żebra połamać innym nabożnym. Święty Piotr się codziennie nie pomалу zasapie, nim dopilnuje, aby się jaki podejrzany przez tłum nie przecisnął, a często nawet i aniołowie muszą płoszyć natrętnych ognistymi mieczami. Mimo to przecież czasem się jaki niepowołany prześliznie, zwłaszcza z pomiędzy tych, co jaki czas w czyścju strawili i tam się owych misternych sztuczek powyuczali, któremi można skruszyć sumienie nawet najsurowszego sędziego. Ale jak który się tutaj dostanie, to już mu tu nic nie mówią, chyba żeby do jakiej konfraternii należał, która tutaj interdyktem jest obłożoną, albo żeby tutaj co zbroił jakimi grzesznemi myślami: wtedy zaraz na ślizgawicę. A ślizgawica jest to bardzo stroma pochyłość góry, przedstawiająca jakoby szeroki gościniec, po obu stronach sybirskimi porośnięty drzewami, na których śnieg leży, ale gościniec sam cały lodem pokryty, gładkim jak szkło, a śliskim jak skóra piskorza. Kto tam padnie,

jedzie na dół jak kolej żelazna. Pan Niemcewicz powiada, że jest tej ślizgawicy dobra miła angielska, albo i więcej, — a na jej końcu już się kłębią dymy czyścowe.

Imć Pan Pasek czasem srodze się niecierpliwi, że nie masz tu wojny choćby też dla rozrywki. I mnie też tęskno nieraz, bo kiedy się całe życie było żołnierzem, to ten wieczny spokój ciąży na sercu, zwłaszcza że się starości tutaj nie czuje, bo duch się odmłodził. Więc my sobie codziennie do owych wrót niebieskich chodzimy, bo tam przecie jest ruchu cokolwiek. Zawsze się tam rozradujemy, a czasem też nam się uda ni któremu biedakowi dopomódz, aby się przedarł, a potem go zasłonić od owych mieczów ognistych. Często też i kilku Polaków się tam znajdzie, więc nam opowiadają nowiny, a my ich prowadzimy przed naszą starszysznę, gdzie są zawsze serdecznie przyjęci.

Owóz tego poranku także jakiś Polak z tłumu wyskoczył i stanął jak wryty przed nami. Z razu widok jego bardzo nas ucieszył, bo był po polsku ubrany, chociaż cokolwiek z cudacka. Kontusz na nim czarny sukieny, żupanik lamowy, pas haniebnie błyszczący ale nowy, hajdawery i szerokie i długie, buty czarne, karabela tandetna, guzy ni w pięć ni w dziewięć, a do tego kołpak na łbie, jeszcze i z kitą, coby nią można i alkierz zamiatać. Jakoś nam to nie było do smaku. Tymczasem szlachcic stoi przed nami, fizyognomia mu się przeciągnęła i oczy wytrzeszczył na nas i na naszych, co stali za nami, jakby się nas przestraszył. Widząc to Pasek, przysunął się do mnie tak, że prawie się oparł o mnie piersiami, a że-to jest trochę mniejszy odemnie, więc stanął na jednej nodze, a drugą

wyciągnął, lewą ręką wasa pokręcił, gębę rozdziawił od ucha do ucha i lewe oko przymrużył. Widzę, że gdzieś proch wietrzy, ale nie wiem jeszcze, o co to chodzi. Aż mi też szepnie do ucha:

— Stańczyk, mospanie.

A ja na to:

— Nie zdaje mi się, bobyśmy go znali z nazwiska.

— Ale to ciura stańczykowski, — zawoła Pasek, — jakich tam liczą na setki.

Rzeknę ja tedy do tego szlachcica:

— Pochwalony.

A on na to:

— Upadam do nóg.

— A skąd Pan Bóg prowadzi?

— Ja z pod Krakowa.

— Zapewne Senator?

— Nie.

— A czegożeś Waś włożył kołpak soboli na głowę?

— Bo u nas taka moda.

— Panie bracie, takiej mody nikt w całej Polsce nie widział. Kołpak soboli tylko senatorowi przystoi, albo grodzkiemu staroście. A choćbyś był Podkomorzym, to jeszcze ci axamitna konfederatka z kasztankiem będzie bardzo do twarzy. Chyba żeś tam kiedy służywał wojskowo, to możesz się ubrać w kołpaczek rysia, ale też wtedy i burkę na sobie zawieszisz. Nuż tedy jeszcze kontusz do sobolego kołpaka, to właśnie jak ów chodaczkowy szlachcic naszego czasu, co jedną nogą w bucie, a drugą w łapciu chodzi. Kołpak tylko z delią idzie w parze, a delia z żupanem. Kto-to tam u was te mody wymyśla?

Tedy on przytnie mi:

— Dziękuję za naukę.

Więc tedy ja w niego:

— A czego-to Waś taki przestraszony?

— Bo nie wiem, w jakiej się znajduję kompanii.

Więc Pasek w śmiech, a jako-to zawsze jest swawolny, rzecze do mnie:

— Ej, panie bracie, dajmy chyba drapaką, bo nas ten szlachcic pojada.

A wtedy jużemy stanęli przed Xięciem Biskupem, który witał przybysza z miłym uśmiechem, mówiąc z powagą:

— Rozgość-że się Waś między nami. Znajdziesz tu ludzi, którzy życiem pobożnym i poświęceniem dla ojczyzny i wiary zasłużyli sobie na szacunek u swoich współbraci i na łaskę u Boga. Wielu z nich bez wątpienia służyło tobie za wzór do naśladowania, żałowałeś zapewne i nieraz, że nie było ci dano być ich współczesnym i brać udziału w ich pracach: tutaj poznasz ich wszystkich i będziesz pędził żywot szczęśliwy i błogi wraz z nimi.

Ale szlachcic nic na to, język jakby mu zamarzł, tylko oczy jeszcze bardziej wyszczerzył.

Więc Xiążę Biskup do niego:

— Moje dziecko, dlaczego milczysz?

— Bo proszę Xięcia Biskupa, myślałem, że idę do nieba, a ja tu widzę samych rewolucjonistów przed sobą.

— Rewolucjonistów? — rzecze Xiążę Biskup, — mój bracie, to nie jest nazwa, która się tym ludziom należy. To są patryoci, którzy Polskę zakisła, zakrzepła, zamarła, ofiarą krwi i majątku do życia dźwigali. Czyż tacy ludzie nie mają już dzisiaj pomiędzy wami poszanowania?

— Bo proszę Xięcia Biskupa, — odpowie on ciura na to, — myśmy się już tych fanaberyi polskich wyzbyli. Polska została rozebraną i nigdy jej już nie będzie. Sam Pan Tarnowski powiada, że Polska, robiąc ciągle rewolucye przeciwko prawowitym rządóm, utraciła swe prawa. Ci, co dziś myślą jeszcze o Polsce, to są sami komuniści, którzyby chcieli rozpisywać podatki, aby szlachcie obedrzeć. Mają oni zawsze swój rząd narodowy, który tylko czycha na dobrą sposobność, aby wyłuszczył nasze kieszenie. Dosyć my mamy roboty, aby przeciwko tym ludziom się bronić; gdzie nam tam dzisiaj myśleć o Polsce?....

— W imię Ojca i Syna! — zawołał Xiążę Biskup, — to człowiek widzę głupi.

Ale ledwie wymówił te słowa, wicher taki gwałtowny, jak trąba powietrzna porwał onego ciurę i osadził na brzegu ślizgawicy. A jak tylko tam osiadł, tak zaraz pojechał na swoich szerokich hajdawerach jakoby na saniach i zniknął w kłębach dymu na dole. Kiedy tak jechał, Pasek zawołał za nim:

— A pokłoń się tam Waśc swoim kolegom.

A kiedy już zniknął, a myśmy jeszcze stali w milczeniu na brzegu, Pan Alexander Fredro dołożył:

Przecie zimą czy latem, czy polem, czy lasem,
Miło i ślizgawicą przejechać się czasem.

LIST CZWARTY

W dwa lata później.

Wiadomo Waszmości, że ja nie jestem z Rusi. Ród mój przez całe wieki siedział w Wielkiej Polsce, zawadził wprawdzie potem o Wołyń, ale wioski, które ja posiadałem z ojca i dziada, leżały nad Sanem. Ludność tam wprawdzie mieszana, ba i ziemia Sanocka się liczyła do Rusi, ale obyczaje, tradycye i stosunki nas raczej z Małopolską wiązały. Mimo to wszakże zawsze wielką miłość miałem dla Rusi. Polska była mi matką, a Ruś siostrą, siostrą smutną i smętną, bo nieszczęśliwą, a przeto rzewnie kochaną. Ilekroć obaczyłem zdaleka kopułę Św. Jura, a już wcale, kiedym wysłuchał mszy świętej w cerkwi Wołoskiej, gdzie ci tak głęboko wnikają w duszę owe piękne śpiewy kościelne, zawsze mnie przejmowały dziwnie rzewne uczucia, a już cały ten dzień poświęcony był u mnie wspomnieniom Rusi. Nuż kiedym się czasem zapuścił w te kraje zapadłe, kiedy wzrok mój ogarnął te

nieprzebyte równiny, których widokręg siniejące zamykają mogiły, i rozbłakał się pomiędzy owe zgarbione jak dziadek kościelny cerkiewki, pomiędzy cierniową koroną otoczone cmentarze, pomiędzy owe tysiące krzyżów, które tutejsi mieszkańcy dzwigali za życia i jeszcze dzwigają po śmierci; pomiędzy owe chaty omszone, gdzie tyle smutku, tyle biedy, a zarazem tyle pobożności i taka święta cierpliwość: tom się zawsze cały rozplynał w żalu i szczerą zanosilem modlitwę do nieba: Boże mój! kraj-to taki cudowny, tyle już wylał łez nad swoją niedolą, tyle krwi dla swego odkupienia, — ażaliż nigdy nie będzie szczęśliwy?

Bo pomyśl-no Waszmość, ile ten kraj wycierpiał od owych zamierzchłych wieków, które zaledwie bladym promieniem oświeca historia, aż po czasy dzisiejsze. Już w owych wiekach, nim jeszcze chrześcijaństwo zachodnie i wschodnie wycisnęły piętna odrębne na rozmaitych szczepach słowiańskich, kraje te srodze cierpiały od warjagskich zagonów, — a kiedy Rzym i Carogród się tutaj z sobą spotkały, stały się one niemal nieustającym teatrem najazdów, pożogi i mordów. Raz tylko jasne zaświeciło im słońce, kiedy Jarosław je spoił w jedno ogromne państwo, które zdawało się mieć wszystkie warunki po temu, aby się ostać do naszych czasów. Ale zły los mu tego szczęścia zawidił i już w połowie dwunastego wieku się na trzy części rozpadło, — a odtąd staje się ono kolejnym łupem Lechitów, Litwinów i Xiążąt warjagskich. Później drą je pomiędzy sobą na szmaty ciż sami Polacy, Litwini i Warjagowie, a przybywa do nich jeszcze i Moskwa, i przybywają nakoniec Tatarzy. Przez więcej niżeli dwa

wieki ziemie te są ustawicznem pobożowiskiem: rolnik tam rolę zasiewa, przychowuje dobytek, odbudowuje swą chatę, a nie wie, ażali najezdnik nie stratuje mu żniwa, nie uprowadzi dobytku i nie zamieni jego siedziby w kupę zgliszczów i gruzu. Przez te całe dwa wieki jedno pokolenie nie wzrosło, aby nie obaczyło swojej ojczyzny szerokiemi oświeconej łunami, zalanej strugami krwi i wyludnionej brankami. Że ten lud wówczas nie zginął pod takim niesłychanym uciskiem, że się nie zamienił w bandy zbójcekie, że wreszcie nie porzucił tej ziemi nieszczęsnej, na której jego własna krew nigdy zaschnąć nie mogła, tego dziś ludzki rozum nie pojmie, — a jeśli pojmie, to musi czołem uderzyć przed jego żelazną cierpliwością, przed chrześcijańską pokorą i miłością ojczyzny....

Przyszli nareszcie Jagiellonowie, zawarto Unią, zaświtały lepsze czasy dla Rusi. Ale czyż trwały one dłużej jak ród Jagiellonów? Czy od czasu, kiedy za Wazów zakon Jezuitów u nas się rozwielił, nie popełniliśmy całego szeregu grzechów względem tego bratniego ludu? Czyśmy ich tak zupełnie i szczerze zrównali ze sobą, jak nam to nakazywała przewodnia myśl Unii? Czyśmy im zostawili swobodę rozwijania ich ducha narodowego według ich wiekowych tradycji? Czy szlachta ruska nie opuściła swojego ludu, przechodząc zwolna na obrządek łaćski? Czyśmy sami nie zaśmiecili tej szlachty awanturnikami i wyrzutkami naszego społeczeństwa? Czyśmy tam nie usiłowali nawracać wiernych? Czyśmy się sami nie przyczyniali do rozszerzania tej przepaści pomiędzy dwoma obrządkami jednego Kościoła, którą Unia wprowadzie za-

sklepila, ale którą tylko rzetelnie przeprowadzona wspólność spraw narodowych mogła na zawsze wypełnić? Uderzmy się w piersi i żałujmy tych ciężkich grzechów, popełnionych przez naszych praojców, — a żałujmy tem szczerzej, ile że nietylko ten kraj stanowi tak znaczną część naszej ojczyzny, ale i ten lud tego był godzien, aby był naszym bratem.

Bardzo wielu Rusinów służyło w naszych legionach. We Włoszech było ich często daleko więcej pomiędzy nami, niżeli Polaków. Tam ich poznałem bliżej i nauczyłem się kochać ich i szanować, — a nieraz cześć im musiałem oddawać za ich cierpliwość, wytrwałość i rezygnację. Żołnierz polski ma to do siebie, że z wielkim impetem uderza. Kiedy sobie przypomnę, z jaką furią rzucał się na pięć i dziesięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela, to jeszcze tutaj jak gdyby ogień przechodzi po moich żyłach. Kiedy który z nas stał na czele swego oddziału naprzeciw nieprzyjacielskich szeregów, a jeszcze nie było komendy, to wszystkie nerwy w nim drżały, krew kipiała gorącym warem, w głowie mu się mąciło, a oczy przymykał, aby nie widział, z jaką ogromną ma się zewrzeć potęgą. Nuż kiedy krzyknięto: Naprzód! — tośmy się rzucałi jak wściekli szatani, a zawsze z tą wiarą, że gdyby tam były miliony, tobyśmy je rozbili. Tak uderzał Dąbrowski, tak Kniaziewicz, tak Chłopicki, Wielhorski, Sokolnicki, stary Rymkiewicz i wszyscy. W tej furii pierwszego impetu nigdy nam nikt nie sprostał, — a nawet sami Francuzi, którzy właśnie tej gwałtowności natarcia zawdzięczają swoją wojskową sławę, nieraz czapki zdejmowali przed nami mówiąc: Niechaj was Bóg ma w swojej

opiece! Rusini tego impetu nie mają; z nami razem uderzają tak samo jak my: ale daleko lepiej od nas wytrzymają gdzie krucho, — a niech Bóg tego broni od ich ręki, któregośmy już rozbili. Niechże on wtedy dziesięć razy się zbiera, to i Rusini zawsze się zbiorą i nie ustąpią, dopóki tylko stać mogą na nogach, aż nareszcie zwyciężą. Toż byli oni jakoby kitem pomiędzy nami, zwłaszcza w złych razach, — a bardzo często, kiedyśmy byli rozbici, nie bylibyśmy się znaleźli, gdybyśmy ich nie mieli pomiędzy sobą. A kiedy przyszło głody i chłody, biedę i nędzę wytrzymać, jak to było w Apeninach, gdzie butów nie było i trzeba się było żywić ziołami i leśnym korzeniem, tam oni byli nam wzorem cierpliwości i rezygnacyi. Nigdy skargi na ustach, — a dumka ruska stanęła za wszystko.

Miły bracie, a jak to wy tam sobie dziś poczynacie z tymi Rusinami? Słyszałem, że przed kilkunastą laty, podobno przed samą wojną Austryacko-Pruską, jużście zaczęli wchodzić na dobrą drogę. Gołuchowski, naówczas poseł na Sejmie, wygotował był program postępowania względem Rusinów, który zyskał aprobatę tych wszystkich, co są sprawiedliwi i którym przyszłość Polski leży na sercu. Ale tych wszystkich podobno było nie wielu, a natomiast dużo było takich, którzy chociaż na ruskiej urodzili się ziemi i ruski chleb jedzą, obwołują około siebie, że niemasz Rusinów. Ażaliż ci nie są zaślepieni? Jeżeli ich znasz, to powiedz im za starym Napoleonem: że Ruś jest jak słońce i wcale nie potrzebuje uznania. Ich-to staraniem program ten nawet światła dziennego nie ujrzał i podobno go już nigdy nie ujrzy. Ale czy-to tak trudno odtworzyć ten program? «Dajcie Rusinom to wszystko, co sami macie», oto jest

jedyna podstawa dobrego programu i nie masz innej, bo wszystko, co się nie opiera na tej podstawie, jest niesprawiedliwym. Rusini są ubodzy, ciężą jeszcze nad nimi pozostałości dawnego ucisku, które zamieniły się w prawa lub zwyczaje, wielkie posiadłości nie są w ich rękę, brak im reprezentantów, którzyby ich interesów bronili z tym skutkiem, jaki się osiąga tylko stanowiskiem i powagą, — a stąd nie mogą oni z tych wszystkich swobód korzystać w takiej mierze, jak Polacy. Ale czy-to nie można temu przynajmniej do pewnego stopnia zaradzić? czy zaradzić temu nie jest najświętszym obowiązkiem tych, którzy mieszkają na Rusi? Dlaczegoż szlachta, dzierżąca większe posiadłości na Rusi, nie czuje, nie myśli i nie działa tak, jak jej to z obowiązku względem tego kraju wypada? Jakże-by to było przystojne, gdyby Dzieduszyccy, ród dzisiaj najzamożniejszy w tej części Rusi, tak rozrodzony i tak zacny, stanął na czele tej myśli i gdyby za nim poszli Szeptyccy, Szumlańscy, jeżeli są jeszcze, Grocholscy, Gołuchowscy, Wolańscy, Baworowscy, Lewiccy, Borkowscy, Golejewscy, Zawadzcy, i tylu a tylu innych, którzy przecież ruską są szlachtą od wieków, a jeśli który z nich z innej swojego czasu wyszedł prowincyi, to zawsze do tego kraju należy, bo tam siedzi z pradziada. Chociaż wielu z nich już od dawna przeszło na obrządek łaciński, a inni nigdy unitami nie byli, wszyscy oni powinni się czuć Rusinami i działać jako Rusini na Sejmie i w domu. W takim razie narodowość ruska będzie miała poważnych i skutecznych reprezentantów na Sejmie, a zarazem i wielkich właścicieli u siebie, których uzna za swoich. Lud ruski nie jest tak głupi jak Kowbasiuk. Nie przyznaje

on się wcale do zasady: « naj tak bude, jak buwało. » Jeżeli jest jaki lud na świecie, który nie ma powodu pragnąć, aby mu się dzisiaj tak powodziło, jak dawniej, to jest nim pewnie lud ruski. Ma on przecucie, a w warsztwach ukształconych i przekonanie, że tylko oświata, która jest jedyną dźwignią postępu, a zarazem rękojmnią ludzkości i sprawiedliwości, może mu lepsze zgotować losy. A nie jest on wcale zdania Pana Popiela i słusznie: że my dla niego « na polu wolności i równości zrobiliśmy wszystko », bo jeszcze bardzo wiele, jeżeli nie wszystko, zostaje nam do zrobienia. Jak długo jeszcze pomiędzy nami są tacy, którzy powiadają, że nie masz Rusinów, to zaprawdę nie podobna jest utrzymywać, żeśmy cokolwiek zrobili dla tego, któremu przed wszystkim innem zaprzeczamy nawet istnienia. A przeto naprzód należy przyznać, że Rusini są i trzeba, ażeby to przyznanie u nas w krew weszło; potem przyjąć jako zasadę postępowania wielkie słowa Unii: « Równi z równymi », — a wtedy wszystko inne, że się wyrażę słowami Pisma świętego, « będzie wam przydane ». Ale tylko wtenczas będzie wam przydane, jeżeli szlachta osiadła na Rusi będzie sama siebie uważać za szlachtę ruską i kochać Ruś jako swoją własną ojczyznę. Niechaj chłop ruski obaczy swojego sąsiada-pana co niedzielę w swojej cerkiewce, niechaj go widzi troszczącego się o tę cerkiew, o szkołkę, o szpital, o śpichrz gromadzki i wszystkie sprawy rolnicze im wspólne, to wtedy on sam się z nim zrośnie i zaufa mu i pójdzie za jego radą: ale jak długo pan będzie się w domu usuwał od niego, a głosił po świecie, że nie masz Rusinów, tak długo nawet dobrodziejstwa z jego ręki

będzie Russin przyjmował z podejrzliwością i będzie jego samego uważał za najezdnicę i uzurpatora. Wprowadzenie sprawy ruskiej na tor odpowiedni obudwom narodom daleko więcej zależy od zachowania się szlachty względem ludu w życiu społecznym, niżeli od praw i ustaw, które się dyskutują na sejmach. Albowiem ustawy i prawa z politycznymi zmianami mijają, — a wspólność uczuć i myśli i z niej wypływająca wspólność interesów i celów przechodzi z mlekiem matek z pokolenia na pokolenia i pozostaje na wieki.

Przedewszystkiem zaś należy wystrzegać się popełniania błędów, które już w dawnych wiekach tak wiele zrodziły złego. Nic łatwiejszego jak to, bo nasi ojcowie tak wiele, ich popełnili, iż dość wam przypomnieć sobie ich dzieje ażeby się ich wszystkich oduczyc. Tymczasem słyszę, że i wy nie jesteście bez błędów. Zakon XX. Bazylianów, tak zasłużony w naszej ojczyźnie, z którego szkół wyszło tak wielu znamienitych uczonych naszych i mężów stanu, uległszy propagandzie moskiewskiej, skaził się ostatnimi czasy cokolwiek. Trzeba było o poprawie pomyśleć. I pomysłano o niej: ale cóż-to zrobiono? — oto nasłano nań Jezuitów, którzy od blisko dwóch wieków są właśnie przedmiotem jednogłośnego wstępu, jeżeli nie oburzenia, na całej Rusi. Jest tu pomiędzy nami Misyonarz, którego Stolica Apostolska wyprawiła była swojego czasu na nawracanie plemion pogańskich. Przebrał on się za morze i znalazł w pewnym kraju plemię murzynów, nadzwyczajnie łagodne i dobre, gościnne i chciwe nauki, ale mające tę wadę, że nie mogło ścierpieć kotów. Na widok kota kobiety mdlały, mężowie wpadali we wściekłość, a

nawet spokojni starcy uciekali ze wstrętem. Cożbyście powiedzieli o tym Misyonarzu, gdyby przyszedłszy do tych murzynów, był się im zaprezentował z kotem pod pachą? A przecież taka-to sama rzecz jest z owem nasłaniem Jezuitów na Bazylikańskie klasztory.

Wiemy tu o tem, że Xiądz Kalinka założył we Lwowie bursę bezpłatną, w której wychowuje synów ubogich Xięży ruskich, których nie stać na takie wydatki. Myśl-to bardzo chwalebna i dzieło chwalebne, cześć się za to należy ich twórcy, a wdzięczność tym, którzy go wspomagają w tem przedsięwzięciu dobrowolnymi datkami. Jeżeliśmy wielki błąd popelnili za czasów Rzeczypospolitej, żeśmy nie porównali Episkopatu unickiego z Epi. skopatem łacińskim pod wszystkimi względami, tośmy sobie postąpili równie nierostropnie i niemal występnie — żeśmy duchowieństwo unickie zepchnęli na stanowisko, drugorzędne i po macoszemu wyznaczali jego dotacye. Rządy zaborcze nie naprawiły tych błędów. Rosya posunęła je nawet jeszcze daleko dalej, bo w tem upośledzeniu duchowieństwa unickiego znalazła środek niewolenia unitów do przejścia na schyzmę. Austria nie poprawiła losu kapłanów unickich przez zwykły sobie wstręt do zmiany istniejącego porządku rzeczy. W tym fakcie leży niezbity dowód, że owa okrzyczana protekcyja Austrii dla Rusinów wychodziła tylko od biurokracyi i od stronnictw politycznych, a nie od właściwego rządu, bo gdyby rząd był chciał z rozmysłem i w celach politycznych, głębiej pojętych, protegować Rusinów, to byłby zaczął od ulepszenia materyalnego bytu duchowieństwa unickiego. Myślano o tem za rządów Bacha, studyowano równi-

gruntownie, jak szczegółowo, przeszłość i terażniejszość ruskiego szerepu w całej jego rozległości, zgromadzono całe archiwum prac statystycznych i politycznych o tej sprawie, wyrobiono projekta postępowania: ale pod wpływem ówczesnego prądu, dążącego do zachowania przyjaznych stosunków z Rosyą, do wykonania to nie przyszło. Cóżkolwiekby, kapłani ruscy pozostali w swoim ubóstwie, w którym nie mają żyć z czego, a nie dopiero odpowiednio swojemu stanowi dać wychowanie swym dzieciom. Należy koniecznie, ażeby Sejm o naprawie tej krzyżującej niesprawiedliwości pomyślał, a jeśli będzie wola po temu, to i środki się znajdą. Tymczasem dobrze jest, że temu zaradza jak może obywatelska ofiarność i jeszcze raz to powtórzę, że wdzięczność się należy Xiędzu Kalince, że myśl tę podjął i kamień węgielny do jej wykonania założył.

Ale dlaczego Xiądz Kalinka na tem pięknem przedsięwzięciu nie ogranicza swej czynności? — dla czego xiążki pisze, które mu ujmę przynoszą, bo podkopują ufność w czystość jego zamiarów?

Xiądz Kalinka był za młodu czerwonym demokratą i rewolucjonistą, i z tego powodu musiał pójść na wygnanie. Znalazłszy się w Paryżu, wszedł do szkoły Xięcia Adama Czartoryskiego i Jenerała Zamoyskiego i pod ich kierunkiem był przez długie lata bardzo pożytecznym pracownikiem w winnicy pańskiej. Jego współpracownictwo z Januszkiewiczem w wydawnictwie pomników dziejowych przyniosło mu, jako zasłużoną nagrodę, szaczytne imię w świecie naukowym; jego artykuły w « Wiadomościach Polskich » natchnione są tym duchem rostopnego,

ale czystego, szlachetnego i niczem nieugiętego patryotyzmu, który tak wysoko wyniósł jego nauczycieli i mistrzów. Dowiedziawszy się, że Kalinka napisał dwa dzieła historyczne: « Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta » i « Sejm czteroletni », bardzom się tem ucieszył, będąc przekonanym, że nasza literatura historyczna wzbogaconą została dwiema pożytecznemi pracami, z których pokolenia następne na szczytnych wzorach swych przodków uczyć się będą miłości, ofiary i poświęcenia się dla ojczyzny. Ale kiedym je przeczytał, jakże smutnego doznałem rozczarowania!

Kiedy te książki tu doszły, uważałem, że niezwykle ruch się zrobił pomiędzy posłami czteroletniego Sejmu. A musiało tam iść o rzeczy ważne, bo i Kościuszko się do nich przyłączył i Xiąże Józef się zjawił. Kościuszko w wyższych od naszych bawiący sferach, nie popełniwszy żadnego błędu, nie jest już niczem związany z wypadkami zachodzącymi na grzesznej ziemi, i dla tego rzadko kiedy pomiędzy nas splywa. Zaś Xiąże Józef wcale nie trzyma z nami, bo tu płci nie ma, więcby mu było markotno. Raz tylko, kiedy Krasiński rozsiał był wieści, że tu są anielice, zajechał do nas; ale przekonawszy się, że to bajka, znowu od nas odpłynął. Dzisiaj obadwa zasiedli pomiędzy posłami; więc-to tam ważne jakieś były narady. Ale że nas nie wezwano, więc też i ja pozostałem na stronie. Widziałem tylko, że Pan Stanisław Małachowski bardzo się burzył i mówił:

— Anegdoty nie należą do historii. A jeśli już kto swoją historję koniecznie chce wyszpikować anegdotami, bo się obawia, że inaczejby go nie czytano, to niechże się

nie ogranicza na anegdotach, które zacnym ludziom ujme przynoszą i dają powody do podejrywania ich charakteru, ale niech także daje anegdoty te, które opowiadają czyny szlachetne. A Bóg nam świadkiem, że było tam w tych naszych czasach czynów szlachetnych i pięknych daleko więcej, niżeli tych drobnych występków i błędów, które tak skrzętnie pozbiierał Pan Kalinka.

Pan Ignacy Potocki nic nie mówił, tylko miał bardzo pogardliwy uśmiech na twarzy; raz tylko odezwał się krótko:

— Nawet Kajetan Koźmian, od którego krytyki się spodziewałem, oddał mi sprawiedliwość, może nawet nad moje zasługi; musiałem aż czekać na katolickiego kapłana, którego obowiązkiem jest przygotowywanie do zmartwychwstania, aby mnie wydrwił i oplugał.

Natomiast wszakże zarwałem cokolwiek więcej z przemowy jego brata Stanisława, który prawie tak mówił:

— Co mnie zaś dziwi najwięcej, to to, że ci nasi wnukowie nawet zdrowej krytyki nie mają. Bo przecież nie potrzebowali czekać na dzieła Pana Kalinki i jego excerpta z tajnych archiwów niemieckich, ażeby wiedzieć, czem był Sejm czteroletni, a mianowicie Konstytucya Trzeciego Maja. Sąd o tem od dawna jest wyrobiony i nie tylko sam naród, ale cała Europa oddała cześć tym usiłowaniom i temu wielkiemu dziełu. Panu Kalince podobało się usiłowania te wyszydzić, ich promotorów zbezczeszczyć, a samo dzieło wystawić jako wielki błąd polityczny. I nie masz nikogo, któryby te dzieła ze znajomością rzeczy przeczytał, rozmyślnie-stronniczą dążność ich wykrył, zawartą w nich truciznę wyjawiał i powiedział ze stanow-

czością w takich wypadkach konieczną, że są to po prostu naukowe elaboraty ad usum Stańczyków.

Długo tam trwało to kołowanie i nie wiem, na czym się skończyło; ale tymczasem my, którzyśmy nie byli posłami na Wielkim Sejmie, zebraliśmy się osobno; był i Lelwel między nami i tak mówił:

— Przedewszystkiem należy wiedzieć, iż tak się nie pisze historyi. Historia opowiada polityczne usiłowania i wypadki, ocenia je i wykazuje, jaki był ich wpływ na życie i rozwój narodu i państwa. Co jest po za tem, jest albo materyałem, albo anegdotą, i do textu historyi nie należy. Jeżeli Xiądz Kalinka dobrał się do materyałów, które dotąd były nieznane, to powinien był je osobno i w całości ogłosić; popełnił on nawet grzech względem dziejopisarstwa, że tego nie zrobił, jeżeli mógł zrobić. Ogłosiwszy te materyały, mógł potem za ich pomocą napisać historyę. Lecz napisawszy książkę, która ma być historyą, a jest nadzianą wyjątkami z materyałów, nikomu innemu nie znanych, utworzył coś, co może tylko należeć do kategorii pism politycznych, fabrykujących się w celu propagowania pewnych politycznych teorii. Jako historia zatem nie mają te dzieła żadnej wartości, bo są napisane w pewnej politycznej dążności; jako materyał zaś nie zasługują nawet na uwagę, bo jest rzeczą niewątpliwą, że autor z materyałów tylko te wybrał wyjątki, którymi mógł poprzeć swoje z góry powzięte teorie. Materyały, ogłaszane w wyjątkach, a zwłaszcza przez tendencyjnych pisarzy, służą tylko do obalamucenia, a nigdy do oświecenia publiczności. Jakaż jest tedy tendencya Xiędza Kalinki? Oto przedewszystkiem poparcie absolutnego monar-

chizmu. W tym głównym celu usiłuje on potępić Konstytucyę Trzeciego Maja — i w tym samym celu wysła się, aby umyć Króla Stanisława Augusta. Przyznać mu trzeba, iż wybór Króla do tego celu jest najnieszczęśliwszy; bo mydło to, któremby można umyć Stanisława Augusta, jeszcze nie zostało wynalezionem i nigdy wynalezionem nie będzie. Nad Stanisławem Augustem można się tylko w pewnych chwilach jego zawodu litować; to też i ja powiedziałem o nim, że był « jak każdy Polak nieszczęśliwym », ale historia musi go od początku do końca potępić. Gdybyśmy mieli naszego Tacyta, oto co-by o nim powiedział: — Stanisław August, syn rodziny szlacheckiej, która dopiero ostatnimi czasy wyniosła się do rzędu rodzin możnowładczych, był wychowany za granicą na zręcznego dworaka. Pozyskawszy przypadkiem względy Carowej Katarzyny i dawszy się jej poznać z słabości charakteru, został przez nią przemocą narzucony Polakom na Króla. Objąwszy panowanie nad Rzeczpospolitą, która podówczas żadnego rządu nie miała, i nad narodem, którego obyczaje już były znacznie rozwolnione, rządu wzmacnić nie umiał, a obyczaje jeszcze więcej rozwolnił. Podpisawszy przy wstąpieniu na tron cyrograf, mocą którego zobowiązał się być we wszystkim posłusznym rozkazom Carowej, poddał tem samem państwo swoje pod przewagę rosyjską. Sam sprzedajny, rozgrzeszył i rozpowszechnił po całym kraju sprzedajność; rozwiązał w swych obyczajach, rozprzestrzenił rozwiązłość w tych warsztwach społecznych, które ulegały wpływowi Dworu; niestały w swych przekonaniach i przerzucający się z jak największą łatwością z jednych ostateczności w drugie, za-

korzenił w narodzie lekkomyślność i powierzchowność i był najsilniejszą przeszkodą do ustalenia jakiejkolwiek opinii w kraju. Rozrzutnością własną rozkrzewił rozrzutność pomiędzy szlachtą; pobłażliwy dla graczy, rozpoznał gry hazardowne; miękki na każdą prośbę, instancjami swemi rospasał sumienia sędziów i podkopał surowość trybunałów. Napojony fałszywą filozofią, oziębił religijne uczucia narodu i żadnymi innymi nie zastąpił ich zasadami, — a lubo protegował nauki i kunszty, to nie mając sam zdrowych pojęć o przeznaczeniu człowieka na ziemi, poprzestał i na tem polu na czczych formach i ślepem naśladownictwie. Tak rządząc przez lat trzydzieści, zgodził się, bez żadnego ze swojej strony oporu, na potrójne rozkawałkowanie swojego państwa, — a kiedy oddał ostatnią piędź ziemi, przyjął wynagrodzenie pieniężne i poszedł na emeryturę do głównego zaborcy swojej ojczyzny. — Tak mówi historia — i chciałbym widzieć tego, któryby potrafił zaprzeczyć tym faktom. Tego króla można nietylko mydlić, ale i golić, a pewno go nikt nie wybieli. Mimo to pracy tej podjął się Xiądz Kalinka, — a do tego jeszcze wybrał go sobie, aby na nim dowieść, że najlepszą formą rządu jest absolutna monarchia, a najwyższą cnotą obywatelską przywiązanie i ślepe zaufanie do każddocześnie panującego Monarchy.

Słuchaliśmy Lelewela z natężoną uwagą, a on tymczasem tak mówił dalej:

— Z takiego założenia musiało koniecznie wyniknąć potępienie Konstytucyi Trzeciego Maja i wszystkich prac, które były z nią w związku. Za tem poszło naturalnie potępienie wszystkich jej promotorów, — a lubo to byli naj-

znamienitsi mężowie, jakich wydała Polska w całym wieku XVIII, i chociaż tym mężom cała Europa oddała cześć jednogłośnie i to do tego stopnia, że nie śmieli się na nich porwać i musieli ich uszanować nawet moskiewscy Czarowie, Xiędzu Kalince wcale to nie przeszkadza potępić ich uczucia i myśli, wydrwiwać ich zasady a nawet podejrzywać czystość ich zamiarów. Według niego, polityka Xięcia Jenerała Ziem Podolskich, który był granitową podstawą ruchu konstytucyjnego i z hojnością greckiego boga sypał miliony na potrzeby ojczyzny, nie jest do zrozumienia, — dom Xiężnej Jenerałowej, który był świątynią miłości ojczyzny i głównem ogniskiem uczuć patriotycznych, skąd wychodziły popędy do najszlachetniejszych czynów i do wszystkich narodowych obchodów, gdzie patriotów koronowano zasłużonymi wieńcami, a najzwardziańszych grzeszników nawracano na wiarę ojczyzną, był domem co najmniej podejrzanego znaczenia, — a najznakomitsi wskrzesiciele wzniosłego patriotyzmu i twórcy narodowej wolności, jak Ignacy i Stanisław Potoccy, Stanisław Małachowski, Kazimierz Nestor Sapieha, Niemcewicz i tylu innych, byli to według niego krzykacze, agitatorowie, burzyciele publicznego porządku, jednym słowem « warchoły ». Xiądz Kalinka ledwie półgębkiem przyznaje, że wszyscy ci ludzie byli nieprzekupni i nigdy żadnych nie pobierali pensyi, a i tu jeszcze temu i owemu, z powodu przyjętych wynagrodzeń za stracone starostwa, usiłuje łatkę przyczepić lub bryzgnąć błotem na niego. W tym stronniczym zapędzie posuwa się on nawet często do nader płaskich złośliwości: tak na przykład, usiłuje on wydrwić Ignacego Potockiego za to, że chcąc

wywiązać się ze swego zadania sumiennie, nie wziął się do napisania projektu Ustawy Konstytucyjnej, dopóki nie przeczytał wszystkich dyskusji, jakie o tym przedmiocie odbyły się w zgromadzeniach narodowych we Francyi. Usiłowanie wyszydzenia wszystkich ówczesnych prac państwowych jest według Xiędza Kalinki obowiązkiem chrześcijańskim i państwowym. Natomiast usprawiedliwia on ile może sprzedajność, a to tym, według niego, zapewne bardzo mocnym argumentem, że w owych czasach także i w innych krajach byli ludzie sprzedajni. Według tego katechizmu złodziej nie zasługuje na nazwę złodzieja, jeżeli jego sąsiedzi są także złodzieje. Jawnych grzeszników, którzy okradali i rozbijali ojczyznę, nie śmie on wprawdzie usprawiedliwiać, ale grzechy ich puszcza im płazem, a to dla tego, że z królem trzymali. Tak, według niego, Polska ówczesna składa się tylko ze zdrajców i warchołów, a w tej najświetniejszej epoce zeszłego wieku nie masz ani jednego człowieka, któryby mógł służyć za wzór rozumu i poświęcenia pokoleniom następnym. Przedstawwszy nam Polskę ówczesną w takim świetle pochmurnem i wstrętnem, po której-że stronie staje sam autor? Wybór ten byłby dla każdego niezmiernie trudnym. Ale Xiędz Kalinka łatwo się decyduje. Oto powiada on, że Polska już podczas Kaniowskiej króla podróży powinna była zawrzeć sojusz z Rosyą. Na to mu odpowiemy, że w kilkanaście lat później zrobiła to Targowica, a nawet z królem na czele, — i wiemy wszyscy, jakie dla Polski wyniknęły stąd skutki. Przyznajemy mu chętnie, że gdyby Polska była się poddała Rosyi już w roku 1778, — bo przecież o sojuszu nie może być mowy, tylko o prostem poddaniu

się, — i gdyby, co w takim wypadku jest rzeczą pewną, ani konstytucyjny, ani żaden inny patriotyczny ruch nie miał być miejsca, to skutki te byłyby były wcale odmienne. Albowiem wtenczas — zapewne i sam autor, zastanowiwszy się cokolwiek głębiej nad położeniem Polski, niżeli to jest jego zwyczajem, tego nam nie zaprzeczy — do dnia dzisiejszego w całym zaborze rosyjskim nie byłoby ani jednego Polaka, o co mniejsza, ale nie byłoby także ani jednego katolika, — a natomiast byłaby jaknajzupełniejszy tryumf odniosła absolutna monarchia, o co właśnie autorowi idzie przedwzyszkciem.... Jeżeli to prawda, co nam powiadają, że Xiądz Kalinka, pisząc swoją historję, przed każdym rozdziałem rzuca się na kolana przed Bogiem, aby go Duch święty oświecił i natchnął widzeniem prawdy, to mu bardzo chwalimy, bo pięknie jest podnieść się pierwszej modlitwą do Boga, nim się ma ludziom dawać nauki. Lecz przeczytawszy jego książki, możemy go zapewnić, że tym razem modlitwy jego nie dochodzą do nieba, bo to nie jest Duch święty, który się nad nim unosi, nie duch chrześcijański, który cierpiącą Polskę kocha i błogosławi, tylko zły duch moskiewski, który, tak samo jak Xiądz Kalinka, jej najnotliwszych obywateli bezcześci, plugawi i poniewiera, i tak samo jak on pragnie absolutyzm utrzymać, ażeby naród nasz wytępić i wykorzeńić na wieki.

Kiedy Lelewel skończył, rzekłem mu na to :

— Zgadzam się zupełnie na ten wyrok Waszmości, ale pozwolę sobie dodać doń jedną uwagę. Hasłem Stańczykowskich pisarzy, którzy się zajmują historją, a między którymi Kalinka przedniejsze zajmuje miejsce, jest ta zasada: że trzeba nareszcie wykryć zupełną prawdę

w historyi i podać ją w całej nagości, bez względu na to, że może ona czasem przynieść ujmę narodowej przeszłości, bo tylko prawda może stanowić podstawę nauki. Zdaje mi się, że i Waszmość pracowałeś pod kierunkiem tej samej zasady; toż i ja na nią się zgadzam. Ale ja mówię, że historia nie należy do tych nauk, których celem jest zbawienie duszy człowieka po śmierci, a które przeto mają prawo nie troszczyć się o to, jaki wpływ wywrą na polityczny żywot narodu; celem historyi nie jest i nie może być nic innego, jak tylko ułatwić człowiekowi trafne pojęcie i sumienne dopełnienie jego obowiązków obywatelskich. Otóż pojmuję ja bardzo dobrze, że taka nauka, jeżeli ma być skuteczną, musi się koniecznie opierać na prawdzie, i musi nawet dobitnie wypowiedzieć tę prawdę, chociażby była bolesną. Przypuszczam także, że ten i ów naród mógł mieć epoki, w których jego cnoty się przyćmiły, skaziły się obyczaje, wszyscy przywódcy błędzili, a ogół nie był w stanie podnieść się, ani do wyrobienia w sobie jednorodnej opinii publicznej, ani do czynów zbawiennych. Historia powinna wyświecać błędy, występki i zbrodnie, a nawet je karcieć surowo, — ale nie na to wyświecać i karcieć, aby je ciskać w twarz narodowi, — tylko w tym, i to jedynie w tym celu, aby tym środkiem oświecić i wskazać drogę obowiązku i cnoty dla pokoleń następnych. Grzebać w archiwach tajnych li tylko na to, ażeby stamtąd wygrzebywać szczegóły, któreby mogły posłużyć do zdziwiania się nad naszym narodem, to jest robota, którą się zajmują Moskale i Niemcy, — a i ci nawet nie wszyscy, bo i pomiędzy nimi są tacy, którzy daleko mocniej są uderzeni cnotami, niżeli wadami naszego

narodu. Historyk polski zaś jest obowiązany wytykać wady naszych praocjów z miłością, — a nie z żółciową niecierpliwością, powinien on w swojej pracy postępować jak malarz, który przedmioty ciemne kładzie na drugim i trzecim planie obrazu, a na przodzie stawia postaci światłe, których widok nas ucieszy i zbuduje albo nauczy. A jeżeli w pewnych epokach nawet i na przodzie muszą koniecznie stać postaci ciemne, toż w takim razie niechby choć na ostatnim dnie obrazu świeciło jakieś światło, z któregooby można powziąć, że słońce szczęścia dla narodów nigdy nie gaśnie, a po burzy może jeszcze nastąpić pogoda. Tymczasem w obrazach tych nowoczesnych historyków nie masz ani jednego światłego miejsca, ani nawet błędgo promyka słońca: wszystko tam czarne i chmurne, od początku do końca tylko brud i kał i ohyda, — i brakuje im tylko owego piekielnego nadpisu: *Lasciate ogni speranza*. Przyznam się Waszmości, że te roboty tak mi są wstrętne i tak niemi się brzydzą, jak najobrzydliwszym płazem. Ja bowiem w tych rzeczach mam moje *punctum* widzenia. Ja w takich razach stawiam się do mojej ojczyzny, jak ojciec do syna. Syn mój ma wady i nieraz srodze nabroi: ale to mój syn i ja jego kocham ze wszystkimi jego wadami. Często go karzę; lecz nawet kiedy go gromię i, kiedy grom mój spada na niego jak ogień siarczysty, to i w tym gromie jeszcze prym bierze głos mojej rzewnej miłości, i każdy widzi, że go kocham z całego serca i oddałbym życie moje za niego.

Ciężko mi się zrobiło na sercu i dodałem z boleścią:

— Cóż-to tam dziś za kapłani, co miłości nie mają?
Cóż-to za Zmartwychwstańcy polscy, którzy narodowi

polskiemu przepowiadają, że umrze śmiercią ohydną, na którą grzechami swymi zasłużył, i będzie pogrzebanym bez zmartwychwstania?....

Tymczasem nasi posłowie już swoje kołowanie skończyli i znowu koło nas się zgromadzili. Ale wszyscy znów mieli twarze pogodne i wesołe, jak gdyby nic nigdy nie było. Bo tak tu jest między nami, że każdy smutek bardzo prędko przemija. Taka głęboka, niezabita jest w nas wiara, że naród nasz jest niespożytym i wszystkie klęski wytrzyma, a wreszcie znowu na nogi powstanie, że nawet najsmutniejsza wieść jest dla nas jak przelotny obłoczek, który tylko na chwilę światło słoneczne zasępi i mija.

Duchy te wielkie, z których natchnienia wyszła Ustawa Trzeciego Maja, a których światłe postaci brudnymi szmatami stronnicej zawiści chciał zaćmić rzekomy apostoł zmartwychwstania, stały tedy znów czyste i jasne przed nami. Widząc, że my tu właśnie temi samemi zabawialiśmy się sprawami, stanęli z nami do statecznej rozmowy; ale tym razem, nie Pan Ignacy, tylko Pan Stanisław Potocki, mając przy sobie Staszica i Niemcewicza, zabrał głos i tak mówił:

— Myśl znalezienia stałego oparcia w Rzymie dla wychowywania i dalszego kształcenia duchownych polskich miał pierwszy Jenerał Zamojski, kiedy w roku 1837 był w Rzymie i znalazł dobre przyjęcie u Ojca Świętego. Jesteśmy przekonani, że myśl Zamojskiego, przynajmniej wtenczas, nie sięgała dalej. Potwierdza to przypuszczenie Bronisław Zaleski, który we wszystkie najskrytsze myśli Zamojskiego był wtajemniczony, jak nikt inny, mówiąc: że Zamojski czuł wówczas potrzebę «związania sprawy

naszej z Kościołem », a raczej « oparcia jej o Kościół. » Zacny Bronisław, przejęty do głębi religijnymi uczuciami, pod ich przeważnym wpływem nie umiał osądzić, jak ogromna zachodzi różnica pomiędzy « związaniem naszej sprawy z Kościołem » a « oparciem jej o Kościół. » Ale Zamojski ją doskonale rozumiał. Dlatego mu myśl jego chwalimy, bo nie masz wątpienia, iż dla naszej hierarchii kościelnej byłoby to z korzyścią, gdyby się ustawicznie odświeżała duchownymi, wychowanymi w Rzymie, a przeto gruntownie wyćwiczonymi w naukach teologicznych, którzyby też zarazem umieli z wyższego zapatrywać się stanowiska na stosunki Kościoła do państw i narodów, do postępu nauk i rozwoju cywilizacji na całym świecie. Ale jeżeli myśl Zamojskiego sięgała dalej, to musielibyśmy ją zganić, bo nie jesteśmy zdania, ażeby było dla nas rozumnem i pożytecznem jednoczyć sprawę narodu ze sprawą Kościoła. Kościół nasz jest uniwersalnym, dlatego nazywa się katolickim; obejmuje on całą ludzkość, bez względu na to, jak się w niej chwilowo grupują państwa i narody; jego interesa przenoszą wszystkie sprawy państwowe i narodowe, które dla niego, ponieważ jest wiecznym, są tylko przemijające, — a za tem idzie, iż nie może on się przywiązywać do jednego narodu więcej, niż do innego, i że często musi nawet interesa doczesne tego albo owego narodu poświęcić dla interesów swych własnych, które są wieczne. Pracując nad Ustawą Trzeciego Maja, zastanawialiśmy się bardzo sumiennie nad tą kwestją pierwszorzędneho znaczenia; przez wzgląd na głęboką religijność naszego narodu, jak najmożolniej szukaliśmy środków, aby tę zasadniczą sprzeczność, jaka zachodzi

między interesami Kościoła a narodu, przynajmniej o tyle pogodzić, ażeby nie mogła objawić się szkodliwie w praktycznem zastosowaniu: ale nie mogliśmy znaleźć nic rozumniejszego, jak ogłoszenie religii katolickiej jako panującej i zobowiązać ją do tolerancyi dla wszystkich innych wyznań. I przyznać to sobie musimy, że najwięcej katolickie narody, które dbają o swoją przyszłość, także jeszcze nic rozumniejszego nie wynalazły. Opierając się na tem, można śmiało powiedzieć, że każda Ustawa, któraby się posunęła jeszcze dalej w deferencyi dla Kościoła, nie może być jak tylko zgubną dla narodu. Idąc za tą myślą dalej, musimy orzec stanowczo, że zakładanie nowych zakonów polskich w Rzymie przekracza granice naszej Ustawy w zasadzie, a w praktyce staje się niebezpiecznem, bo zakon taki, oderwany od ojczyzny, a działający pod bezpośrednim wpływem naczelnej władzy kościelnej, musi koniecznie dać pierwszeństwo interesom Kościoła nawet wtedy, kiedyby one były wprost przeciwne interesom narodu. Zakładanie takich zakonów jest zatem już w teoryi występkiem przeciwko obowiązkom patriotycznym: a cóż dopiero powiedzieć, jeżeli zakon taki, odstępując od reguły wszystkich innych zakonów, postawi sobie jako zadanie mięszać się w sprawy polityczne narodu. Cóż na to mówisz, Xięże Stanisławie?

— Ja byłem za zniesieniem istniejących zakonów, — odpowiedział na to Xiądz Staszic, — bo uważałem, że są one pasożytem i uszczupleniem sił pracujących w narodzie; jakimże obyczajem mógłbym pochwalać zakładanie nowych?

— Tak jest, — odpowiedział Potocki i tak mówił dalej:

— Otóż kiedy Zamojski starał się u Apostolskiej Stolicy tylko o pomoc edukacyjną dla duchownych polskich, tymczasem w Paryżu zebrało się grono młodzieży, które prywatnie założyło maleńki klasztor: klasztor bez reguły i bez funduszków, a wypełniony zakonnikami bez kapłańskiego święcenia i chodzącymi w sukniach świeckich. Kto byli ci młodzi ludzie? Byli-to emigranci z Listopadowego Powstania, bez wątpienia nieposzlakowanej zacności i gorąco przywiązani do Polski, ale namiętni, niepohamowani w swoich uczuciach i niecierpliwi, powiedzmy zaraz, najniecierpliwszi ze wszystkich. Daleko niecierpliwszi od tych, którzy zakładali kluby demokratyczne i Centralizacye Wersalskie; niecierpliwszi od Zawiszy, Wołłowicza i Konarskiego, którzy z miłości dla Polski poszli oddać głowy swoje pod topór katowski. Byli-to po prostu fanatycy. Rozbijając się po wszystkich przybytkach, gdzie spodziewali się znaleźć jakąś nadzieję dla Polski, i nie znalazwszy jej nigdzie, zwątpili w pomoc ziemską — i uciekli się do wiary w zbawienie za pomocą cudu. Główną tedy nicią, która ich z sobą związała, było z wątpienie, — a duchem, który ich zachmurzone umysły oświecał, była wiara w nadprzyrodzone siły, które wedle ich przypuszczenia działają na ziemi. A kiedy przekonali się z czasem, że nadprzyrodzone siły także nie działają na korzyść Polski, została im zapewne wiara w działalność tych sił na korzyść całej ludzkości, — ale odnośnie do Polski zostało im tylko z wątpienie.... Takim też duchem natchnione są wszystkie ich pisma — i zapewne nikt tem obalamucić się nie da, że w nich częstokroć znajduje się wiele stronnic pełnych uczuć patryotycznych, bo

w końcu tam nigdy nie chybi nauka, a nauką tą jest: że nam Polakom nie zostało nic więcej, jak starać się o wieczne zbawienie duszy, — a gubi ten duszę, kto przedsięwzięcie działanie, zmierzające ku wyjarzmienu ojczyzny. Tak ludzie ci, pierwotnie zacni, patryoci gorący, gotowi ostatnią kroplę krwi dla ojczyzny wysączyć, popadłszy przez niecierpliwość w zwątpienie i, chcąc się równie niecierpliwie ze zwątpienia fanatyzmem ratować, stali się w końcu apostołami zasady, która stoi na czele politycznego kodexu, napisanego dla Polaków przez Moskwę.

Wszyscyśmy oddech zaparli w piersiach, kiedy mówił Potocki, — a on tymczasem także odetchnął, a potem rzecz swoją prowadził w ten sens:

— Dopóki oni jeszcze w owym świeckim klasztorze mieszkali i nazywano ich tylko « katolikami », był w nich istotnie jakiś zapał święty, budzący współczucie i uszanowanie. Toż gromadzili się koło nich i inni emigranci, bujnej wyobraźni i skłonni do mistycyzmu, jak Mickiewicz, Bohdan i Józef Zalescy, Stefan Witwicki, Cezary Plater, Władysław Laskowicz, Waleryan Chełchowski i inni. Myśli ich były jeszcze wtenczas oddane Bogu i Polsce; jest nawet rzeczą pewną, iż głównie z tego powodu całkowicie poświęcili się Bogu, aby Polskę wymodlić, i dlatego wywierali oni wpływ przyciągający na wszystkich pobożnych ludzi w tułactwie. Ale już wtedy zaczęły się na nich objawiać znamiona chorobliwości. Najwybitniejszym typem pomiędzy nimi był Xiądz Kajsiwicz. Olbrzymiej budowy ciała, jak gdyby wyrąbany litewską siekierą z żmudzkiego dębu, szedł on przebojem z szablą w rękę, przebojem w literaturze i przebojem w sprawach ducho-

wnych swego zawodu. Otóż Kajsiewicz już w owym świeckim klasztorcu miewał wizye: widywał duchy, napieniające ich wspólne mieszkanie, i uciekał przed niemi w kąć alkowy. W tem rozprzężeniu sił umysłowych, zamiast udać się do lekarza i chorobę wyleczyć, uciekał się do umartwień i postów; rzecz oczywista, że jego władze umysłowe musiały się coraz bardziej rozpręgać, aż wreszcie rozprężenie stało się jego duszy stanem normalnym i udzieliło się jego kolegom. Jeżeli już samo zwątpienie nie dozwoliło im stać na własnych nogach, to takie rozprężenie umysłów musiało ich koniecznie zniewolić do szukania oparcia po za sobą, — a stąd poszło, że kiedy nareszcie zamienili się w zakon duchowny, nie zostali zakonem polskim, jakim pierwotnie być zamierzali, tylko poddali się przewadze zakonu innego, przyjęli w swoje regułę jego główne zasady, aż nareszcie stali się w gruncie rzeczy tylko jego gałęzią, noszącą osobne nazwisko. Jakie są tego nowego zakonu zasady, najlepiej nam to wykrywa Kajsiewicz, którego pisma niepojętym dla nas sposobem nie zostały wykupione przez jego kolegów. Główną jego zasadą było, jak sam powiada, « odczepienie się od ziemi », i o tem tak mówi: « Istotnie, od tego czasu, los Polski, który mi dawał powód do tylu marzeń i roz-targnień, tak mnie bez niepokoju obchodzi, jak od dawna los mojej rodziny. Co do moich osobistych zajęć, planów, stosunków do ludzi, dzięki Bogu, dziwniem obojętny i spokojny. Największą dziś mam walkę z troską o los Zgromadzenia. » Tak tedy nietylko jego własna rodzina, ale i jego ojczyzna nie go już nie obchodzi, i idzie mu tylko o los Zgromadzenia. Gdyby się był przynajmniej całkiem

odczepił od Polski i do jej spraw się wcale nie męszął, tobyśmy i my nie mieli powodu zajmowania się jego sprawami. Ale gdzietam! nie poprzestaje on wcale na polowaniu na żydów i żydówki, które z prawdziwą namiętnością chrzci i nawraca, ale co chwila emigracją najeżdża i miewa dla niej polityczne kazania, zajeżdża po kilkakrotnie do Polski, każe, drukuje książki i misye urządza, aż wreszcie na samą sprawę polską napada, ogłaszając ów sławny swój « List otwarty do braci chięży grzesznie spiskujących i do braci szlachty nie mądrze umiarkowanych », który tak głębokie i tak sprawiedliwe oburzenie wywołał od Odry do Dźwiny, niesłychane sprawił zdziwienie w całym świecie katolickim Zachodu, aż wreszcie został potępionym przez Apostolską Stolicę. Nawracanie żydówek możemy uważać za sport osobisty i zostawić go Kajsiewiczowi, jeżeli go bawił, ale już wcale inaczej się ma z kazaniem w emigracyi i w kraju. Tam kaznodzieja nauczał fałszywych zasad i zgubnych dla Polski. W tych kazaniach piorunuje on na patryotyzm, — a kiedy jego nauki zostały źle przyjęte w emigracyi, sam o nich powiada: « Tu w Rzymie nigdyśmy patryotyzmu na ambonę nie wnosili, dlatego dzieło Boże w duszach idzie swoją drogą i sędzę bezpieczniej; bo patryotyzm jednych, i to najslabszych, może pociągać, a dojrzalszych, wiernych w Kościele, odstręcza. » Ten patryotyzm, jak go Kajsiewicz pojmował, nie tylko jednych, ale wszystkich musiał odstręczać, bo patryotyzm, wedle jego własnego wyrażenia, jest tylko « sosem », którym godzi się czasem, jeżeli tego koniecznie potrzeba, kazania duchowne zaprawiać. « Nie prawda też » — powiada Kajsiewicz — « by

Polacy nie słuchali kazań, nie zaprawnych patryotyzmem. Mówilem kilka razy w Paryżu bez tego «sosu», a przychodzili....» I to go dziwi. A przecież dobrzy katolicy, którzy po to idą do kościoła, ażeby duszę oderwać od ziemi i podnieść ku Bogu, zawsze będą chętnie słuchać takich kazań, które ich swoim «sosem» nie zwracają na powrót ku ziemi. Jakie-to tam bałamutne pojęcia nawet o obowiązkach duchownych katolickiego kapłana! Jakoż miał to uczucie niedoskonałości kapłańskiej sam Kajsiewicz, kiedy do końca życia, po trzydziestoletniem kapłaństwie, zawsze siebie «niby-księdzem» nazywa. Obok takich pojęć o patryotyzmie, ma on wcale nie lepsze wyobrażenie o narodowości, bo o niej tak mówi: «Wyras narodowość tak już jest skompromitowany nieodłącznym prawie niedokwasem rewolucyjnym, że wolę, by sprawę Polski przedstawiano jako sprawę zgwałconej sprawiedliwości międzynarodowej. Nie mogę się pisać na teorye o patryotyzmie, bo w inny sposób ma kochać ojczyznę człowiek świecki, inaczej ksiądz, a tem bardziej zakonnik, który wyrzekł się ojca, matki, domu, i ślubował na doskonałość. Miłość ojczyzny jest cnotą przyrodzoną, a nam się trzeba ćwiczyć w nadprzyrodzonych.» Inaczej pojmowały te rzeczy nasze staro-polskie zakony, — i dobrze było z tem Kościołowi i Ojczyźnie, a nawet im samym. Nie znały one cnot nadprzyrodzonych, dla nich tak samo pobożność, jak i miłość Ojczyzny, były cnotami przyrodzonymi, bo umiały je jednocześnie wszczepiać w swych uczniów za młodu, i umiały je zawsze godzić ze sobą. Do piero Zakon, na obcej zrodzony ziemi, potrafił rozerwać wiekowy związek pomiędzy temi dwiema cnotami, — aż

wreszcie doprowadził do tego, że dziś, kto przez tę nowo czesną szkołę chce być za katolika uznanym, musi się przedewszystkiem zaprzeć miłości ojczyzny. I to ma być zakon Zmartwychwstania? A jużci daleko słuszniej należy go nazwać zakonem Pogrzebania.

Przyznaliśmy jednogłośnie słuszność Panu Potockiemu, a on tak mówił dalej:

— Nie powiodło się Kajsiewiczowi z kazaniami w Paryżu, lecz jeszcze mniej mu się powiodło w Galicyi. Ze Lwowa, gdzie wiele narobił hałasu, przepłoszył go Gofuchowski, a kiedy pobożne damy wstawiły się za nim, odpowiedział im ze zwykłą sobie jędrnością wyrażenia: « Nie potrzebuję go tutaj; tylko mi baby rozpala. » W tym samym czasie oparł się także o Kraków i tam rozwinął czynność tak gorączkową, iż prawie dziwić się trzeba, że tym jego niepoliczonym zajęciom wystarczyły fizyczne siły. Bardzo źle przyjęty przez patryotów, a hałaśliwie prześladowany przez umysły wzburzone, znalazł jednak oparcie u niektórych zakonów i duchownych świeckich, a to mu umożliwiło nie ograniczać się na samych kazaniach. Miewał on tam konferencye po za kościołem, rozciągnął swoją opiekę na Bractwa duchowne, a nawet na Cechy, założył « Tygodnik Kościelny », zawiązał Bractwo Sióstr parafialnych św. Elżbiety, utworzył zakład dla biednych dziewcząt, i już niebawem byłby wszystkie sprawy duchowne opanował i pod siebie podgarnął: ale tymczasem zacy Biskup Łętowski z dłuższej podróży do Krakowa powrócił, bystrym a patryotycznym swym wzrokiem zamiary przejrzał, — i nie powołanemu dyktatorowi dał radę, ażeby lepiej do swego zakonu odjechał. Nie obeszło się to

bez opozycji, bo niez mordowany agitator już miał swoje stronnictwo, a nawet i kobiety po wsiach sąsiednich za sobą, ale X. Lętowski, jako dawny żołnierz, nie znał żartów, gdzie o obedyencyę chodziło, dał rozkaz i basta. Tu muszę odpocząć, aby powiedzieć, co słuszna, że Zmartwychwstańcy, tak samo jak Jezuici, mają znamienite zalety temperamentu i charakteru, któremi są: przedsiębiorczość, energia, wytrwałość i poświęcenie się swemu zadaniu. To też mogliby oni oddać krajowi bardzo cenne usługi, tak jak Jezuici nie mało ich Polsce oddali, przyczyniwszy się bardzo skutecznie do zawarcia Unii i rozpostarwszy na Litwie w pół wieku tę samą oświatę, na którą się w Polsce całe wieki składały. Ale tak Jezuici, jak Zmartwychwstańcy, mają jedną wadę, a ta jedna, nie tylko odbiera wszelką wartość wszystkim ich cnotom, ale nawet czyni ich bardzo niebezpiecznymi dla kraju, w którym działają. A wadą tą jest brak miary. Miarą dla ich działania powinno być ograniczenie się do spraw duchownych, bo przecież polityka, jako rzecz świecka, do nich nie należy, — a i w sprawach duchownych powinni się ograniczyć do tego zakresu, jaki im władza duchowna określi i do jakiego ich władza świecka dopuści. Ale oni nie znają żadnej miary i żadnego zakresu, i parci swoją niez mordowaną energią, samowolnie się wszędzie wdierają, gdzie tylko wedrzeć się mogą. Nie dosyć im podkopać i opanować władzę duchowną, trzeba im jeszcze owoładnąć opinię publiczną i wetknąć rękę w bieg spraw krajowych. Chcąc działać prędko i skutecznie, nie dość jest mieć energię i wytrwałość, trzeba mieć także i środki po temu, — a ażeby dostać tych środków, każdy sposób

jest dobry, byle prowadził do celu, bo na wybór nie zostawia czasu niepomiarkowaną niecierpliwością biczowana energia. Tak postępując, Jezuici doprowadzili do tego, iż, na usilne nalegania wszystkich państw katolickich, Klemens XIV ich zakon skasował, — a wydaleniu wówczas ze wszystkich krajów, znaleźli oni przytułek tylko w luterskich Prusiech i schyzmatyckiej Rosyi. Ten fakt dziejowy powinienby przecież zastanowić każdego, bo żeń wynika, że Jezuici, niby-to katolicy *par excellence*, oburzyli przeciwko sobie cały świat katolicki. Dla tego pytam się, czy było to rozumnie, kiedy już chciano koniecznie założyć nowy polski zakon w Rzymie, wziąć sobie za wzór Jezuitów, przyjąć ich zasady i naśladować ich sposób postępowania?

— Są tam jeszcze głębsze powody, — rzecze na to Lelewel, — które Zmartwychwstańców zbliżyły do Jezuitów, o czym możemy później pomówić. Tymczasem nie przerywam ci, Panie Prezesie, mów dalej :

— Polityczne zasady tego polskiego zakonu, — mówił dalej Potocki, — wyłożył nam jeden z jego zwierzchników w swoich pismach historycznych, o panowaniu Stanisława Augusta i Wielkim Sejmie; ale zasady te już bardzo jasno wytyczył Kajsiewicz, założyciel tegoż zakonu, w wyżej wspomnianym « Liście otwartym », który w miesiącu Lutym roku 1863 wydrukowali Moskale w « Dzienniku Powszecznym. » Po tym « Liście » ogłosił on jeszcze drugi, po francusku pisany, jak gdyby się obawiał, ażeby ten ohydzący nas dowód rozdwojenia nie uszedł uwagi Europy zachodniej, a oprócz tego jest jeszcze mnóstwo komentarzy do tego « Listu », przez niego samego pisanych.

Że rewolucyą potępia on w zasadzie, tego mu nawet żaden rewolucjonista zapewne za złe nie weźmie, bo jeśli jest sprawiedliwym, to sam przyzna, że można być wzorowym obywatelem i patryotą, a brzydzić się wszelkimi gwałtownymi środkami. W pewnych położeniach jest nawet cnotą obywatelską, naród od niewczesnego powstania powstrzymywać: tylko trzeba to robić w stosownym czasie i trzeba koniecznie, aby się powstrzymanie udało. Wystąpienie po niewczasie zawsze jest szkodliwym dla sprawy narodowej, — i jeszcze nikomu się nie udało za takie wystąpienie pozyskać sławę męczennika obywatelskiej odwagi. Kajsiewicz wystąpił po niewczasie, — i wystąpił z potępieniem narodowego ruchu, a nie powstania, bo działał się to jeszcze przed wybuchem. Według niego duchowieństwo polskie popełniło zbrodnię, trzymając z narodem; agitacja narodowa była wymierzona przeciwko szlachcie, a gdyby była zwyciężyła, to w całej Polsce zostaliby po niej tylko sami chłopci, żydzi i niemcy, — i agitacja ta była kierowaną przez « centralistów » polskich, którzy Polskę chcieli zcentralizować, za co godni są klątwy i szubienicy. Wynalazek « centralistów » polskich jemu się należy i dziwna rzecz, że dotąd nie został w obieg puszczony przez jego uczniów. Owóż w tym manifeście Kajsiewicza zawiera się cały system polityczny, system z gruntu fałszywy, bo potępiony jednogłośnie przez wszystkich, a nawet przez jego najbliższych przyjaciół, którzy szczerze pragnęli, ale nie mogli go bronić, — a jak dalece on fałszywy, dowodzi najlepiej ten fakt doniosłości dziejowej, że w parę miesięcy potem sam Namiestnik Chrystusa ogłosił sprawę polską, jako sprawę Kościoła.... Po takiej klęsce *à plate couture*

nie pozostało temu apostołowi, « więcej katolickiemu, niżeli sam Papież », nic innego, jak do Kanady wyjechać : ale jego zakon pozostał, — a jego system, potępiony przez całą Polskę, przez całą Europę i przez samego Papieża, — i któżby temu uwierzył? — znalazł w parę lat potem uczniów i apostołów w Krakowie.

Na to Xiążę Biskup skinął głową z uśmiechem, pochwalając wykład Potockiego, a zarazem obrócił się do Lelewela i rzekł :

— Miałeś nam coś powiedzieć, kochany Panie Joachimie, teraz kolej na ciebie.

Zaczem Lelewel zabrał głos i tak mówił :

— Ja chciałem powiedzieć, że Zmartwychwstańców najwięcej zbliżył z Jezuitami fanatyzm. Rzecz ta wymaga dokładniejszego wyjaśnienia, bo u nas, gdzie naukowa ścisłość jeszcze w wielkiej jest poniewierce, częstokroć pojęcie fanatyzmu miesza się z pojęciem zapalu, kiedy tymczasem pomiędzy zapalem a fanatyzmem jest ogromna różnica. Zapał jest cnotą, fanatyzm wadą natury ludzkiej. Zapał dokonał najznamienitszych dzieł na tym świecie, ale, i to tylko wtedy, kiedy był kierowany rozumem ; fanatyzm, który rozum wyklucza, bo jest przeciwieństwem rozumu, był prawie zawsze okrutną plagą ludzkości. Nie przeczę temu, że i fanatyzm przyczyniał się czasem do rozszerzenia myśli i uczuć zbawiennych, ale tylko w takich wypadkach, kiedy się stał ostatnią deską ratunku dla słabych i uciśnionych. Fanatyzm utrzymał pierwszych chrześcian przy wierze ; fanatyzm dopomógł i u nas w pewnych ciężkich chwilach do tego, że miłość ojczyzny nie została wytępioną w narodzie. Ale ile razy fanatyzm

ogarnął tych, którzy byli u władzy, albo ją mieli na swoje usługi, zawsze zadawał ludzkości klęski daleko większe, niżeli najazdy Dżengis-Chana, albo Attyli. A cóż dopiero, jeżeli władza kościelna, rozporządzając ramieniem władzy świeckiej, dała się porwać fanatyzmowi? Historia Inkwizycji świętej nie jest u nas dokładnie znaną, chociaż jej duch także i nasze sądownictwo zaraził: Trybunał Piotrkowski jeszcze w roku 1736 kazał Sulimierskiemu zdjąć głowę za to, że nie odprawił spowiedzi. Nasi dziejopisowie dawniejsi prawie jej nie tykali, bo jest to plama tak czarna i tak obrzydliwie wstrętna na ciele ludzkości, że pióro ich się przed jej opisem wzdrygało. Byli oni zdania, że są występki i zbrodnie w historii, z których pokolenia następne nie mogą się niczego nauczyć. Lecz kiedy historycy dzisiejsi przyjęli anatomiczną zasadę: *naturalia non sunt turpia*, co znaczy, że przed żadną dziejową prawdą wzdrygać się nie należy, bo tylko ona nas może uzdrowić, to nie masz żadnego powodu przemileczać dziejowe prawdy dla tego tylko, że może one komuś nie są do smaku. Spójrzmy choćby na jedną kartę tej okropnej historii i przedstawmy ją, nie według Hugonowskich fantazji, tylko według źródeł dziejowych. Kiedy przez ożenienie się Ferdynanda Aragońskiego z Izabellą Kastylijską jedność Hiszpanii została przeprowadzoną, *Sanctum Officium Inquisitionis* założyło swobodnie swoją siedzibę w klasztorze św. Pawła i położyło swą krwawą rękę na całym kraju. Na czele tego urzędu i sądu stał wówczas Don Pedro Arbuez y Epila, i on-to napisał ów kodex szatański, według którego bezimienne oskarżenie wystarczało do obwinienia, a sąd nie był obowiązany dowieść winy oskarżonemu, tyl-

ko przeciwnie oskarżony winien był się oczyścić, a jeśli się nie oczyścił, bywał skazanym. Brat mógł świadczyć przeciwko bratu, żona przeciw mężowi, syn przeciw ojcu, a nawet musiał świadczyć, inaczej sam oskarżeniu podpadał, — a oskarżony nie miał prawa widzieć swych świadków. Kto był uznany winnym kacerstwa, został żywcem spalony; mniej winnych skazywano na chłostę i dożywotnie więzienie, — a wszystkim zabierano majątki, które, po odliczeniu ogromnych kosztów inkwizycji i sądu, oddawano królowi. Był to zatem, w imieniu chrześcijańskiej miłości, systematycznie zorganizowany mord i rabunek przeciwko Maurom i Żydom, którego ofiarą padali jednak i potomkowie starożytnych i katolickich rodzin hiszpańskich. Arbuez tak piekielną rozwinął w tem rzemiośle energią, że w przeciągu jednego roku 1481 oddał 2000 ludzi na stos, a 17,000 skazał na dożywotnie więzienie, i wszystkim zabrał majątki. Po nim wszechwładny urząd Wielkiego Inkwizytora objął Tomasz de Torquemada, zakonu Dominikanów. Kiedy Arbuez przedstawia się w swoich czynnościach jako prosty rozbójnik, który się posługuje religią, aby nią pokryć rozboje, Torquemada jest najszczytniejszym wykwitem religijnego fanatyzmu, jaki dotychczas wydała ludzkość. Studyując tę sprawę w pismach źródłowych, należy przyznać, że Victor Hugo ze stanowiska psychologicznego trafnie zrozumiał ten fenomenalny charakter. Torquemada jest fanatykiem najczystszej wody; jest on najgłębiej przekonany, że katolicka religia wymaga takich okropnych ofiar, aby zapanowała nad światem i zaprowadziła Królestwo Boże na ziemi; on wierzy w to szczerze, że tym, których pali na

stosach, wyrządza miłosierną przysługę, bo zbawia ich dusze: ale obok tak zaślepionego fanatyzmu widać w nim równie głęboką przebiegłość i chytrość, która dowodzi zimnego i ściśle rachującego rozumu. Albowiem wszystko, co on przedsięwzię, nosi na sobie nietylko znamię porwijącego zaślepienia, które zabija nawet najłżejszy oddech ludzkiego uczucia, ale zarazem jest obliczone na efekt i wyrachowane pod względem skutków. Te dwa, na pozór zupełnie z sobą niezgodne, przymioty umysłu widzimy często połączone ze sobą u szalonych, którzy pomimo pomięszania zmysłów rozwijają zadziwiającą przebiegłość i chytrość. Torquemada w swych okrucieństwach jeszcze o wiele Arbueza przewyższył. Od czasu, kiedy po zupełnem wykorzenieniu Maurów, ostatni król maurytański, Boabdil-el-Chico, został strącony ze skał Alpuhary, które-to miejsce nazywa się do dziś dnia: *el ultimo suspiro del Moro*, Inkwizycya święta nietylko kraj cały jakby gęstą siecią pajęczą nakryła i wcisnęła się we wszystkie klasztory, zamki, chaty i dwory, ale i fanatyzm swój udzieliła całej ludności i to do tego stopnia, iż ogromna większość poszła dobrowolnie w jej służbę i opinia publiczna kraju stanęła po jej stronie. Toż Torquemada odprawiał swoje całopalenia publicznie i z ową pompą błyszczącą, jaskrawą i fantastyczną, na jaką tylko owe wieki się zdobywały, — a dni takich ofiar były ogłaszane, jako dni świąteczne po całym kraju. W takie dni król i królowa zasiadali pod baldachimem na placu publicznym, otoczeni całym swym dworem wystrojonym galowo, a dygnitarze i damy oczekiwali z namaszczeniem i uniesieniem tej chwili, kiedy się zjawi przed nimi okropny orszak straszliwych postaci

ludzkich, po części nagich, po części przybranych w pstrokate szaty, oznaczające symbolicznymi znakami, na jaką karę są skazane; postaci strasznych, wynędzniałych cierpieniami długiego więzienia, pokaleczonych, zbitych, z członkami wypaczonymi torturą i w kajdany okutych. Przed tym orszakiem postępowało stu węglarzy, którzy mieli przywilej dostarczania drzewa na stosy, a tuż za nimi zakon Dominikanów, w których śródki jeden z xiążąt Medina-Celi niósł czerwoną chorągiew świętego Trybunału. Tuż za orszakiem skazanych wieziono trumny, w których znajdowały się z grobów wyjęte trupy tych, którym dopiero po śmierci dowiedziono kacerstwa i ciała ich na stos skazano. Za trumnami jechali inkwizytorowie na koniach,— a dopiero za nimi Torquemada w fioletowym talarze, otoczony swoją gwardyą pancerną i całą setką kawalerów z najpierwszych rodzin, którym się dostał niezwykły zaszczyt tworzenia straży honorowej Wielkiego Inkwizytora. Kiedy wszystkie korporacye tej kawalkady zajęły swe miejsca na placu publicznym, przy umyślnie na to postawionym oltarzu odprawiono mszę świętą; po ewangelii Wielki Inkwizytor odebrał od króla przysięgę, jako całą swą siłą będzie pomagał do wytępienia kacerstwa, a po skończeniu nabożeństwa wstawiano każdego osądzonego po kolei w klatkę drewnianą, w której musiał wysłuchać wyroku. Po odczytaniu wyroków Wielki Inkwizytor rzekł do skazanych: *Ite in pace*, i oddał ich katom. Wówczas kaci poprzywiązywali jednych do palów i popodpalali pod nimi nałożone stosy, innych dusili garotą, a trzecich, skazanych na galery, odprowadzono do więzień. A kiedy zabijający odór skwierczących w płomie-

niach ciał ludzkich napelnił powietrze, Torquemada wielką piersią odetchnął i odmówił dziękczynną modlitwę za łaskę, która mu dozwoliła zbawić tyle dusz obłąkanych kacerstwem....

Nie wiem, co się tam działo innym, ale mnie się pierś tak ścisnęła, że nie mogłem odetchnąć. Przypomniało mi się bowiem, com sam słyszał o tych okrucieństwach, kiedy byłem w Hiszpanii. Pod Valladolid, w klasztorze San Benito-el-Real, żyła xieni, Donna Leonor de Vibero, czczona prawie jak święta przez ludność okoliczną, i tamże umarła. Po śmierci oskarżono ją o skłonność do protestantyzmu, wydobyto jej zwłoki z grobu i razem z czternastoma żywymi protestantami na stosie spalono, dom jej zrównano z ziemią, a na jego miejscu postawiono słup z odpowiednim napisem. Działo się to w roku 1559, ale tego słupa nikt nie śmiał się dotknąć: jakożemy go jeszcze w roku 1809 na własne oczy oglądali, ale jakeśmy się dowiedzieli, jaka-to jest pamiątka, zaraześmy go do szczytu zburzyli.

Tymczasem Lelewel znów zabrał głos i tak mówił dalej:

— Sam Torquemada spalił na stosie, uduślił i skazał na dożywotnie więzienie przeszło sto tysięcy ludzi, pomiędzy którymi znajdowali się xięża, profesorowie, lekarze i potomkowie najznakomitszych rodzin hiszpańskich. Inkwizycya święta rozszerzyła się stamtąd na wszystkie kraje katolickie, a jakie tam wywołała skutki, to każdemu wiadomo z historyi. Jeżeli w Niemczech wojny religijne przeszczeptały się z pokoleń na pokolenia, to było to jej winą; jeżeli Polska została zalana milionami ludności

żydowskiej, to jej to mamy do zawdzięczenia. W Hiszpanii trwała ona przez przeszło dwa wieki i wyludniła kraj ten z tej warstwy społecznej, którą dziś nazywamy inteligencją. Jeżeli naród ten, który swego czasu był najpierwszym i najpotężniejszym na świecie, zwolna tak nisko podupadł, że jeszcze z początkiem bieżącego wieku był ostatnim ze wszystkich i stał się przybytkiem ciemnoty i odstrasającym przykładem społecznych i religijnych przesądów, to tego dzieła dokazała Inkwizycya, zatamowała rozwój rolnictwa, przemysłu i handlu, zabiwszy nauki i literaturę, a rozszerzywszy natomiast zbydlęcenie dusz ludzkich i najohydniejsze obyczajów zepsucie. I kto wie, ażali Hiszpanie nie pozostaną na wieki najniższym szczeblem w rodzinie narodów romańskich? — Spytacie mnie, dlaczego przypominam te rzeczy dziś, kiedy wnosząc z teraźniejszego rozwoju cywilizacyi, można powiedzieć z pewnością, że takie barbarzyńskie objawy fanatyzmu już się nie powtórzą? Otóż ja wam powiem, że nie wiem. Wpadła mi raz w rękę książka, którą w roku 1598 napisał pewien książdz sycylijski, nazwiskiem Paramo, pod tytułem: *De origine et progressu Officii Sanctæ Inquisitionis*. Książka ta, wydrukowana w powyższym roku w Madrycie, dowodzi, że święta Inkwizycya opiera się istotnie na prawie Bożem, że po wszystkie wieki istniała, a początek swój wzięła w raju, z którego wyrokiem Bożym zostali wypędzeni Adam i Ewa. Otóż Paramo mógł być także fanatykiem, a może nawet sam był inkwizytorem; ale kto zna literaturę kościelną, ten wie dowodnie, że od tego czasu nie masz jednego dziesiątka lat, w którymby w tym, albo owym języku, najczęściej jednak po łacinie, nie wyszła

xiążka napisana w tym samym duchu i broniąca Inkwizycyi świętych. I tak to się przeciąga aż w wiek XIX, boć przecie już w naszych czasach hrabia de Falloux dowiódł także jak na dłoni, że Inkwizycya święta była najidealniejszą instytucją całego świata, że cel jej czysto-duchowy dążył do zbawienia ludzkości i nie miał nic ziemskiego w sobie. Weźcie w jedną rękę dziennik francuski *l'Univers*, a w drugą Pisma Kajsiewicza, a przekonacie się, że duch tegoż samego zaślepionego fanatyzmu, który stworzył Inkwizycyę, z Papieżem, albo i przeciw Papieżowi, żyje do dziś dnia i czeka z niecierpliwością nowego ciała-brania. Lecz na cóż-to tego wszystkiego? A wszakżeż ten sam Don Pedro Arbuez y Epila, już przez Alexandra VII za błogosławionego uznany, został przez Piusa IX za świętego ogłoszonym dnia 29-go Czerwca 1867. Święta Inkwizycya dziś nie istnieje, ale żywioly mogące ją na powrót powołać do życia, istnieją zawsze; toż trzeba o tem bezustannie pamiętać, a zwłaszcza tam, gdzie się objawia fanatyzm.

Kiedy wszyscy słuchali Lelewela ze spokojną uwagą, Xiądz Biskup Woroniecz dawał znaki niecierpliwości i prawie gniewnie spoglądał na niego. Jako wzorowy Xiąże Kościoła, który tylko Polskę kochał fanatycznie, a w swoim zawodzie duchownym szedł za szlachetnymi tradycjami duchowieństwa polskiego, czuł się zapewne dotkniętym tym wywodem dlatego, że Lelewel nie wyróżnił Kościoła polskiego i nie oddał mu tej sprawiedliwości, jaka mu się w tym względzie należy. Dlatego zaraz zabrał głos i mówił z zapalem w ten sens:

— A dlaczego-to Waszmość o fanatyzmie tak mówisz,

jakoby on był wyłącznym przywilejem katolickiego Kościoła? Fanatyzm nie jest przywiązany do żadnej religii, ani wiary, ani wyznania, tylko jest przyrodzoną ułomnością natury ludzkiej. Objawia on się tak samo w wyznawcach wszystkich religii, jak we wszystkich świeckich sprawach, które sobie od czasu do czasu biorą do serca społeczeństwa, narody albo też polityczne stronnictwa. Historia dożyła tak samo wojen chłopskich i rzezi humańskich, sycylijskich niesporów i mordów rewolucyjnych we Francyi, jak wojen religijnych i nawracania na tę lub owę wiarę za pomocą ognia i miecza. Owe potoki krwi, które Mahometanie wylali, mszcząc się w imię xiężycy na giaurach, nie mniej zwilżyły ziemię od tych, które wylać musiał Kościół katolicki, broniąc swego wyznania od innowierców. W roku 1868 Apostolska Stolica kanonizuje Arbueza za to, że 2000 nieprzyjaciół Kościoła wytępił i został zamordowanym przez ich następców, — a w roku 1863, w Petersburgu, panna Błudow staje się apostołem fanatyzmu, zapala sfery rządzące, porywa Murawiewa, a Murawiew tysiącami morduje Litwinów, także w tem przekonaniu, że oddaje usługę szyzmatyckiemu wyznaniu, i także przez swoich zostaje uznany za świętego. Co gorsza, Mikołaj nawraca ogniem i mieczem setki tysięcy katolików na swoją religię, sam wydaje tajemnie najsurowsze rozkazy Siemaszce, a kiedy te okrucieństwa są wykonane, udaje, że korzy głowę przed świątobliwymi czynami przeniewierczego kapłana. Dajmy pokój głębszemu badaniu tych krwawych czynów ludzkości, bo rozpatrując je zbliska, musielibyśmy podciągać pod nasze sądy niezbadane wyroki Boskie, co nam nie przystoi. I ja także

jestem zdania, że nie dobrze jest brodzić w plugawych kałużach przeszłości, bo są tam prawdy, z których nie można się niczego nauczyć. A natomiast oddajmy sprawiedliwość naszemu Kościołowi polskiemu, który nigdy nie skaził się fanatyzmem. Inkwizycyi świętej takiej, jak w innych krajach, u nas nigdy nie było. Jeżeliśmy mieli inkwizytorów, jak Bartłomiej z Pragi, Jan Polak, Peregryn Dominikan, Mikołaj Franciszkan i inni, i chociaż byli pomiędzy nimi rodacy, to byli oni zawsze na nas nastani, nazywali się *censores fidei* i mieli instrukcye odpierania « słowami » herezyi, napływającej do nas z krajów postronnych. Tak było aż do połowy wieku XIV. Nie widzimy podówczas u nas ani tak zorganizowanej Inkwizycyi, ani takich egzekucyi, jak w Hiszpanii, w południowej Francyi i w Neapolu. Jeżeli zaś później, a zwłaszcza z wtargnięciem Husytów do Polski, inkwizycya i u nas się cokolwiek więcej ożywia i jeżeli naówczas, a mianowicie w wieku XV, widzimy pewną surowość w postępowaniu takich inkwizytorów, jak Marcin z Brześcia i Jakób Grzymała, to był to duch czasu, który tak samo do nas z zagranicy przypląwał, jak i herezye. Ale i to trwało zaledwie jedną chwilę, bo wiek XVI u nas odznacza się raczej wielkim liberalizmem w rzeczach wiary; jakoż najprzód Gamrat, prymas, zniósł z własnej inicjatywy obcych inkwizytorów, a Sejm w roku 1541 zakazał duchowieństwu w ogóle pociągać kogokolwiek do odpowiedzialności za herezye. U nas więc duchowieństwo nasze same się sprzeciwiło religijnym prześladowaniom i zrobiło ten krok właśnie w takiej chwili, kiedy Inkwizycya święta w innych krajach dosięgła szczytu srogości, — a tem postępowaniem zostawiło

wzór swoim następcom, który też był po wszystkie czasy przez Kościół polski naśladowanym. Jak naród nasz z duchowieństwem swoim na czele pojmował obowiązek nawracania niewiernych, albo zbłąkanych, tego najlepiej dowodzą nasze Unie z Litwą i Rusią, owoce apostołstwa naszego tak szczytne, jakimi żaden inny naród się nie pochlubi. Powiesz mi Waszmość na to, że mieliśmy czasy, mianowicie wśród wojen kozackich, w których gorliwość nawracania zbłąkanych posuwaliśmy za daleko; nie przeczę temu i sam dodaję, że działa się to ze szkodą dla państwa i dla naszego Kościoła: ale też i ty temu nie zaprzeczysz, że ta zbyt uczynna gorliwość nie wychodziła od duchowieństwa świeckiego, które się zawsze i wszędzie poczuwało do swoich obowiązków obywatelskich, tylko także do nas zanieśioną została przez te zakony, których głównem znamieniem była właśnie niepomiarowana gorliwość. Toż jeśli dzisiaj ktoś podnosi pytanie, czy to rozumnie i pożytecznie zakładać za granicami polskie zakony, to ja nie mam nic przeciw temu, aby o tem dyskutowano: ale nigdy nie pozwolę na to, aby roboty takich zakonów z zachowaniem się duchowieństwa polskiego mieszano, a tem mniej jeszcze, aby go za nie do odpowiedzialności pociągano. Prócz tego, o odpowiedzialności duchowieństwa tylko ten może mówić, kto zna dokładnie jego związki z najwyższą władzą kościelną, a tych nie może znać żaden człek świecki. Toż samo trzeba powiedzieć o fanatyzmie. Daleko łatwiejszą miałbyś Waść sprawę, gdybyś chciał duchowieństwo polskie o zbyt tolerancyi posądzić, bo znalazłbyś może jakie do tego pozory: ale fanatyzmu pewno mu nie dowiedziesz. Może to się tam, gdzie

znachodzi pomiędzy jakimi wolontaryuszami, którzy się sami tylko za « niby-xięży » uważają, ale nie wewnątrz hierarchii. A zresztą dlaczego-to dziś mówić o tem? Oto po Piusie IX nastąpił Leon XIII, a ten ducha czasów dzisiejszych daleko lepiej zrozumiał od wszystkich mędrców świeckich. Pod jego światłym zarządem Kościół sam się usuwa od wszelkich spraw politycznych, pragnie tylko utrzymać swoją władzę duchowną, a nawet wielkie ponosi ofiary, aby się mógł wszędzie przy niej utrzymać. Ktokolwiek ma Boga w sercu i jest dobrej wiary, błogosławi tym rządóm i błaga Stwórcę, ażeby trwały na wieki wieków ku szczęściu ludów i chwale Kościoła, Amen.

Kiedy Woronicz skończył i zamyślił się nad jego wykładem, jakiś święty niepokój zaczął nas przejmować, jak to bywa pomiędzy nami, kiedy mamy przecucie, że wyższe duchy się do nas zbliżają. Natenczas niebo bieleje przed nami na wschodzie, widać wschód jutrzni w całym jej blasku, rozkołysane fale rannego powietrza nas orzeźwiają i aniołowie z harfami przelatują nad nami; z początku po jednym, później po kilku, a wreszcie całe chóry, śpiewając hymny i pieśni niebieskie. Świętą grozą przejęci, jedni z nas rzucili się na ziemię, drudzy klęcząc wzniesli ręce do nieba, trzeci oparli się ramionami o siebie, podnosząc w cichej modlitwie kornego ducha ku Bogu.

A w owej chwili Chrystus Pan stanął przed nami.

W długą białą szatę przybrany, z twarzą poważną cierpieniem, lecz pełną owej niebiańskiej pogody, jaką tylko najwyższa miłość całej ludzkości dać może, rzekł do nas naprzód:

— *Sacerdotis est benedicere.*

Potem podniósł prawą rękę i błogosławił nas, mówiąc:
— Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego: to jest
główna podstawa mojej nauki, — a kromia jej nie masz
zbawienia.

Wtenczas już wszyscy leżeliśmy krzyżem na ziemi i taka
cisza koło nas zaległa, jak gdyby się wszechświat zatrzy-
mał w swym biegu.

Ale trwało to tylko chwilę.

Wstaliśmy: Chrystus Pan zniknął.

Niebawem potem wielki ruch wszczął się w powietrzu.

Nieprzeliczone rzesze duchów pokrewnych zaczęły przy-
pływać do nas, a pochód ich napełniał powietrze tak
głośnym szumem, jak kiedy wichry szaleją po wierzchoł-
kach odwiecznych borów i puszczy nieprzebytych.

Jedna rzesza składała się z tych milionów, co za wiarę
cierpieli, i słychać było pomiędzy nią płacz i jęki boleści.

Z drugiej strony świat się przed nami otworzył aż do
stepów kirgizkich i lodów sybirskich, a z tamtąd wyruszyli
ci, którzy od wieku marzą mękę Polski w swych grobach.

W innej stronie ujrzeliśmy Kościuszkę, w białej sukma-
nie, z dobytym pałaszem, lecącego jakoby do szturm na
czele kosynierów krakowskich.

Z chmur ozłoconych słońcem zachodu wypadł z ogro-
mnym szczękiem stutysięczny zastęp żołnierzy, w szyku
bojowym, wojennie przybrany, z Xięciem Józefem na
czele; porozbijał jak piorun wszystkie chmury przed sobą
i stanął przed nami jak wryty.

Cokolwiek niżej, niezliczone szeregi więźniów, z kajda-
nami na rękach i nogach, « co cierpieli pod chłostą mo-
carzy, a ducha nie dali. »

Po nad wszystkimi przelatują duchy wybrane, co wielkiem sercem całą Ojczyznę objęły i za wszystkich cierpiały.

Na tle chmurnego obłoku widać postać Słowackiego, w białym chałacie, z twarzą boleśną lecz gniewną, jak patrzy na wszystkie rzesze i mówi:

Nie poznałiby ojce naszych boleśnych twarzy,
Gdyby z grobowca powstałi....
Ale w tej błyskawicy obaczmy się zdaleka,
Brat pozna swego brata....

I rzeczywiście wszyscyśmy się poznali, — i byliśmy sami zdziwieni, że Polska takie nadludzkie wysilenia i tyle ofiar poniosła, a ducha nie dała. Toż byliśmy w uwielbieniu, nie dla nas, ale dla Tego, który nam dał tak niespożytą miłość Ojczyzny i wiary, i natchnął nas, jak mamy te dwie miłości z sobą połączyć, i nasycił nas tą mocą duszy i serca, która nam dozwoliła to wszystko przetrwać mężnie i stale i stać się wzorem wytrwałości dla wszystkich narodów.

Tylko Niemcewicz boleśnie mnie zbudził z mego uniesienia, trącając mnie i mówiąc:

— Patrz Wasze, pomiędzy tymi milionami bohaterów i męczenników, według szkoły krakowskiej, «nie masz dziesięciu ludzi rozumnych i zacnych.»

Tymczasem wszystkie te rzesze zwały się w jedną i zajęły szerokie pola przed naszym tronem.

A wtedy Xiąże Biskup, otoczony tysiącem naszych kapłanów, którym miłość Boga nie przeszkodziła kochać Ojczyznę, wstał, przeżegnał nas i w świątobliwym natchnieniu, bo wówczas Duch święty spłynął na niego, miał do nas uroczystą przemowę.

Trudno mi było wszystkiego dosłyszeć, bo szum i fale wzburzonego powietrza odnosiły głos jego, tak że niektóre ustępy słyszałem, a innych nie słyszałem:

Che or si or no s'intendon le parole,

jak mówi Dante. Pomnę tylko, że zaczął od słów Św. Jana: « Boć nie posłał Bóg swego Syna na świat, aby sądził świat, ale by świat był zbawion przezeń. »

A potem opowiadał, jako do wiary niczem innym nie godzi się ludzi nawracać, tylko miłością a słowem Bożem.

Zaczem wyliczał nam dzieje naszego męczeństwa i dowodził, że ci, którzy z siebie samych ponieśli ofiarę, byli obdarzeni nietylko wielkiem sercem, ale i głębokim rozumem, i przywoził słowa świeckiego wieszczka, który powiedział: że najwyższy rozum cnota.

A tej sławy naszej, którą uznał świat cały i przed którą się pokłonili nawet wrogowie nasi, nie przyćmią ani przewrotni mędrkowie, ani faryzeusze, chociażby mowy swe przybierali w słowa nabożne, bo z woli Bożej nieśmiertelną ona jest i trwać będzie po koniec wieków.

A w końcu zaczął nam opowiadać przyszłe rzeczy, które nas dziwną napełniły radością, choć ci i owi nie mogli ich całkowicie zrozumieć. Jakoż sam urwał nagle i skończył słowy nieśmiertelnego wieszczka :

*Più non diro, e scuro so che parlo.
Ma poco tempo andrà che i tuoi vicini
Faranno si che tu potrai chiosarlo.*

LIST PIĄTY

W mały czas potem.

Nie potrzebuję ja Waszmości zapewniać, boć to każdemu wiadomo, że nie jestem uczonym. Urodziłem się w szlacheckim staniku, gdzie nie było zwyczaju trzymać do każdego przedmiotu osobnego nauczyciela; i łaciny i francuzczyzny uczył mnie xiądz ex-Jezuita, — niech mu Pan Bóg da zdrowie, bo zacny był człowiek; ale nauka szła tępo, bo zawsze mi lepiej konik smakował, niżeli Cicero albo kościelni pisarze francuscy, pod którymi stoły się ugiwały. A jeszczem i wása nie mógł podkręcić, kiedy mi ojciec powiedział: na xiążki zawsze czas będzie, a druga taka okazyja może ci się w życiu nie zdarzy, — i sam mnie zaprowadził do Konfederacyi. A potem, gdzieś nie był i czegoś nie dożył! Toż chyba żem się tylko geografii do-brze nauczył, którąśmy wtedy zwali podeszwianą. Jeżelim zaś w tych kilku leciech, kiedym na wsi zażył cokolwiek spokoju, czasem na okładkach kalendarza co zanotował

i poszło to między ludzi, to niech-że mnie Bóg broni, abym sobie z tego rościł jakie prawo do uczoności albo do sławy. Nigdy mi też nie przyszło na myśl liczyć siebie do cechowych pisarzy. Gdyby mnie kiedy była zebrała chęćka starania się choćby o jaki kącik przy samych drzwiach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, toby mnie byli wszyscy wyśmiali, i słusznie: bo gdzież mnie się tam mierzyć z takimi Tytanami nauki jak Koźmian albo Osiński, którzy swojego czasu berło światła trzymali w swych rękach.

Ale powiem Waszmości, że jest jedna rzecz, którą ja lepiej wiem od wszystkich uczonych i w tem nikomu przekonać się nie dam, — a tą rzeczą jest to, co się dzieje w wnętrzościach Polski. Bo ja historii polskiej uczyłem się nie tylko od tych, co ją atramentem, lecz przedewszystkiem od tych, co ją krwią swoją pisali. A ta historia nie butwieje na półkach, tylko żyje w krwi naszej, przechodzi nietknięta i niepokalana z ust starca w umysł i serce wyrostka, i z pokoleń na pokolenia jest treścią, jest miążgą, jest duszą żywiącą narodu. Kto tej historii nie świadom, albo zaparłszy się jej, jako starego gratu, nie za jej przewodem, ale z łojową świeczką swego własnego rozumu poszedł do książek, aby tam znalazł to światło, które w przeszłości czyniło Polskę tak wielką i świetną, i które może jej dawną wielkość przywrócić, ten się pewno obłąka i z najgłębszych archiwów wyniesie, nie złote ziarna żywej prawdy, tylko kunsztowne wyroby z podłego kruszcu, które chociażby najmisterniej rzeźbione na nie się nie przydadzą, bo naród je ze wstrętem od siebie odrzuci. Tak samo postąpi on z naukami i instytucjami, które niebaczni, albo fałszywi apostołowie mu z zagra-

nicy przynoszą, a które, nie zbadawszy naprzód, czy odpowiadają jego duchowi, chcą żywcem na jego ziemi zaszcześcić. Polska była zawsze najskłonniejszą do korzystania z doświadczeń innych narodów. Miała ona epoki, w których idąc za wzorem Francyi i Włoch, stanęła w pierwszym rzędzie cywilizowanych społeczeństw. Ale te wzory służyły jej tylko do oświecenia jej dróg, na których mogła swoją własną istotę ulepszać i rozwijać; zaś ile razy ktoś usiłował jakieś myśli przewodnie, stronnictwa, ustawy lub prawa, na innej wyrosłe ziemi, u nas żywcem zaszcześcić, ten może na jakiś czas obałamuć umysły, czasem i wielką szkodę wyrządził, lecz w końcu zawsze musiał się cofnąć przed wolą większości narodu.

Z takiego punktu widzenia patrząc w wnętrznosci Polski, ja sobie chwale duchowieństwo nasze takim, jak jest dzisiaj, a potępiam tych wszystkich, którzy, czy-to duchowni, czy świeccy, chcą je według zagranicznych wzorów naprawiać. Duchowieństwo wyrobiło się wszędzie według ducha i obyczajów tego narodu, z którego wyszło, i w którym nad zachowaniem uczuć religijnych jest obowiązane pracować. Dla tego w każdym narodzie ma ono odrębne właściwości, — a tych właściwości nie można zmieniać bez szkody dla wiary i dla narodu; bo każdy naród ma swego tradycyjnego kapłana i tylko temu kapłanowi, jakim go zna z ojca i dziada, ufa i wierzy. Kapłan innego kroju obudza w nim nieufność, a czasem i śmiešność. Niemiecki xiądz, chociażby najuczciwszy, zawsze cuchnie nam Lutrem, a jego kazania nam nie idą do serca. Bywali czescy Arcy-Biskupi we Lwowie, na których cała ludność swój dowcip ostrzyła. Xiądz włoski, zajmujący się

chętnie fartuszkowemi sprawami, nigdyby się u nas nie przyjął. Nawet i jego nabożeństwo tylko pogardliwy uśmiech w nas wywołuje; toż mówiliśmy zawsze: polskie mosty, niemieckie posty, włoskie nabożeństwo, wszystko to błazeństwo. Kto bywał czas jaki we Francyi, ten pewnie głęboką cześć powziął dla francuskiego kapłana; ale nietylko dla tego, że jest on wzorem pokory i abnegacyi, i poświęca się duszą i ciałem swojemu powołaniu, lecz przedewszystkiem z tego powodu, że jest zawsze i wszędzie Francuzem. A cóż dopiero powiedzieć o duchowieństwie irlandzkim, które, będąc apostołem wiary, jest zarazem arcykapłanem uczuć patryotycznych? Dla nas nie masz, jak nasz Biskup, nasz proboszcz i nasz wikary, bo to kość z kości i krew ze krwi naszej; poczciwe-to, zacne, sercem dla nas wylane i takie same, jak było za Bolesławów i za Jagielonów, za Sobieskiego i czasu legionów. Bogu, co Boskie, bo to przedewszystkiem; ale potem to już Polska nad wszystko. My z niem, to jedna dusza i jedno ciało, — a lepsza-to część naszej duszy, dla tego też je nietylko kochamy, ale i poważamy. Kiedy Biskup, wizytując swoją dyecezyę, wyrządzi mi ten zaszczyt, że do mnie na obiad zajędzie, to u mnie to największe święto, które się też zapisuje w pamięci synów i wnuków. Co najlepszego w spiżarni i najstarsza butelka wina stawi się wtedy na stole, a jeszcze w lat kilka potem ze czią się powtarza, co się mówiło przy tym obiedzie. Bo kiedy nasz Biskup co powie, to z serca polskiego wyjęte i idzie do serca. A czy z nas który odmówi co swemu Biskupowi? Nieraz syn się jakoś nie wieździe, córka się opiera przyjąc pana młodego, którego jej wybrali rodzice, dwie rodziny się zburzyły

przeciwko sobie, kłótnie, spory, procesy, zgoła nie masz ratunku: ale poszczęściło się uprosić Biskupa, że się wdał w taką sprawę ze swoją powagą, — a wtedy i syn się poprawił, i córka za mąż poszła, i rodziny się pogodziły, i Bóg miał gromnicę, a diabłu i na świecę nie stało. A większa-to z tego Panu Bogu pociecha, i Kościołowi powaga, i pożytek ludzkości, niżeli z tych modnych konferencyi kościelnych, gdzie może dużo jest teologicznych mądrości, ale gdzie człowiek siedzi jak na niemieckim kazaniu. A niech-że mi tak trafi do serca jaki monsignor, co go wiatr przyniósł choćby z samego Rzymu, jeżeli nie wyrósł pomiędzy nami, jeżeli nie dzielił z nami naszych boleści i naszych miłości, i jeżeliśmy się z dziecka nie nauczyli cnót jego poważać. Toż po Biskupie najbliższy mojemu sercu mój proboszcz. Co Niedziela i święto, pięknie mi nabożeństwo odprawi, kiedy powie kazanie, to go każde dziecko zrozumie, a po nabożeństwie swoich wiernych około siebie zgromadzi, tego o chorą żonę, tamtego o dobytek wypyta, jednego napomni, drugiego wygromi, każdemu da dobrą radę, a po każdym jego słowie widać, że zna wszystkich serca i sumienia, jak gdyby patrzył na do krynicy, i dba jak ojciec o ich czystość i wieczne zbawienie. Mój proboszcz, kiedy mnie wypowiada, a po spowiedzi da mi naukę, to mi się rzeczywiście oczyściło sumienie, a nauka mi poszła do serca i do rozumu, bo on mnie zna na wskrós jak siebie samego i tylko on może wiedzieć, ażalim zgrzeszył i jak mam się zachować, ażebym drugi raz tym samym grzechem się nie obciążył. To też ja i bez konfesynału się przed nim spowiadam, bo on jest zawsze i wszędzie stróżem mojego sumienia, on zna

wszystkie moje sprawy, on mi swej mądrej rady nie szczędzi, a często i naprzód przed grzechem ostrzeże. Ażaliż mi się to zdarzyć może na misyi albo też na odpuszcie, gdzie się muszę spowiadać przed xiędzem, który nawet nie wie, skąd jestem i kto mnie rodzi? Ja sobie chwałę mego proboszcza, — a jeśli my sobie czasem zjemy tu cznego kapłona i wypijemy jedną butelkę wina, a choćby nawet i drugą, i rozweselimy się z sobą i z naszymi sąsiadami, toż-to są dary Boże, które nam Pan Bóg dał na to, abyśmy się nimi dzielili, — a jeśli się komu przy naszym stole pierwsze miejsce należy, to jużci temu, który nam dusznym jest dobrodziejem.

Mój proboszcz, kiedym szedł po raz pierwszy na wojnę i jużem siedział w karabonie, łzy miał w oczach, ale je otarł rękawem, a nachyliwszy się nademną, rzekł mi do ucha: «A nie żałuj Waśc ręki, żeby się to już raz pozbyć tego plugastwa, — a my tu nie będziemy szczędzić mszy świętych, ażeby dla polskiego oręża błogosławieństwo Boże uprosić.» A mnie się łzy z oczu puściły strumieniem, — i miałem wtedy takie natchnienie, że wszystkie wojny przebędę i zdrów powrócę na zagon rodzinny. I tak się stało. Ale też i ja pamiętałem o moim proboszczu i pisywałem mu z pod Mantui i Peschiery, i z Saragossy, a potem z Warszawy i z Wilna, — a sąsiedzi się do niego zjeżdżali, a on im czytywał te listy, i była z tego wielka w sąsiedztwie pociecha, a czasem i suta się odprawiła biesiada i głośne spełniano wiwaty. A wtedy szlachta proboszcza nosiła na rękach i błogosławiła mu za to, że służąc Bogu, służy zarazem swojej Ojczyźnie. I tak-to zawsze w Polsce bywało.... Bo przyznam się Waszmości, że ja nie lubię

tych xięży, co to twarz mają jako pargamin, stają przy drzwiach, oczy przewracają, a kiedy do stołu zasięda, to między rosółem a szluką mięsa brewiarz czytają. Takich xięży przypomina mi niechęący mój wikary, ale to co innego. Chudy nieborak, bo głodny, pokorny, bo mały, oczy ma nie wyspane, bo za wszystkich pracuje; ale niech-no on kiedyś proboszczem zostanie, to będzie takim samym, jak jego poprzednik. Odżywi się i głowę podniesie do góry i nabierze powagi, która mu się należy, bo u nas xiądz to nie żebrak, ani jałmużnik, tylko obywatel *omnibus par*, a szanowany przez wszystkich, bo jest namaszczony na pośrednika pomiędzy nami a Bogiem. Nie wiem co-to są za ludzie, którzy tam dzisiaj około naszego duchowieństwa myszkują. Słyszę, że są między nimi i świeccy, którzy mu się, to na współpracowników, to na protektorów, a podobno i na mentorów narzucają, — a nie wiedzieć, skąd mają do tego prawo. Dawniej tego w Polsce nie bywało, i dobrze z tem było. Juźci i dawniej czasem jaki ablegat przyjechał z Rzymu, ale miał on zawsze jakąś misję specjalną i tylko czasową; mimo to cieszyliśmy się, kiedy sobie z Panem Bogiem nazad odjechał. Najmilej jednak zawsze nam było, kiedy Kościół polski w razie potrzeby swojego delegata posłał do Rzymu, bo juźciż u nas nigdy na światłych prałatach nie zbywało, którzy obcymi językami władają i zasługują na zaufanie Apostolskiej Stolicy. Czasem też przychodziły do nas obce zakony, ale te musiały się zawsze poddać naszej władzy kościelnej i zaraz w pierwszym pokoleniu się spolszczyć, a tak z tego szkody nie było. Jeżeli się zaś kiedy zdarzyło, że jaki zakon wędrowny, chociaż się spolszczył i choć się wrzekomo poddał

władzy duchownej, przecież swe inspiracye z zagranicy odbierał i bez względu na potrzeby spraw narodowych według nich postępował, to zawsze wynikały stąd wielkie niedogodności, a często nawet wielkie kłopoty i szkody. Cozaś doświeckich, to wolno było każdemu powagą urzędu i darami duchowieństwo nasze wspomagać, ale nikt przeto nie śmiał sobie przywłaszczać prawa mieszania się w sprawy kościelne. Jeżeli były jakie trudności pomiędzy władzą duchowną a świecką, to od tego był Król, — a i ten jeszcze usuwał je zwykle w sposób polubowny. Jeżeli był jaki szlachcic, który uczuł w swem sercu pociąg do dewocyi, to taki szedł na tercjarza do Franciszkanów i poddawał się władzy zakonnej. Jeżeli były bractwa pobożne, złożone ze świeckich, jak biczownicy i inne, to te podlegały w swoich czynnościach religijnych miejscowej władzy kościelnej, i nic nie mogły przedsiębrać bez jej zezwolenia. Nawet przy kanonizacyach i koronacyach obrazów świętych, przy których z wielką pompą występowały chorągwie pancerne i regimenty cudzoziemskiego autoramentu, a obok nich Hetmani i Wojewodowie z swojemi nadwornemi milicyami i przy pełnym udziale krajowych urzędów, obywatelstwa i ludu, to wszystko to stanowiło tylko assistencyę, a dyrekcyą tych narodowych festynów pozostawała zawsze w ręku Episkopatu. Toż te obchody odbywały się zawsze z należytą powagą, którą wszyscy się budowali, i nigdy się tam nie zdarzyło żadne zgorszenie, nie było nawet wypadku choćby najmniejszej śmiešności. Dzisiaj, jak słyszę, są tam jacyś świeccy niby-Biskupi, którzy sobie przypisują wpływ na czynności władzy kościelnej; są świeccy pisarze, którzy piszą rozprawy

o rzeczach teologicznych i zrywają się do dawania nauki xiążętom kościoła; są agitatorowie niby-nabożni, którzy bez wiedzy duchowieństwa urządzają konferencye duchowne, misye i pielgrzymki, i zachowują przytem za ledwie pozory, jakoby się to działo z przyzwoleniem władzy kościelnej. Tak w latach ostatnich odprawiono dwie tłumne pielgrzymki do Rzymu z takim hałasem i trzaskiem, do jakiego tylko agitatorowie są zdolni, a który nie mógł nigdy leżeć w intencyach powagi duchownej. Nie byłoby w tem nic złego: i owszem, dobrzeby było, gdyby katolicy nasi przebrali się od czasu do czasu do Piotrowej Stolicy, aby się tam natchnąć duchem świętym naszej wiary i ucałować nogi Namiestnika Chrystusa Pana. Ale takie pielgrzymki powinny być urządzone przez nasze Episkopaty, nasi Biskupi i Prałaci powinni je sami prowadzić, a do nich mogą się przyłączyć reprezentanci wszystkich warstw społecznych narodu. Ale nie potrzeba wcale tłumów do tego, bo w tłumach trudno uniknąć śmieszności, choćby nad nimi czuwali sami Biskupi, a cóż dopiero jeżeli dyrekcya jest w ręku zapomoczonych swoją zelozyą agitatorów świeckich. Na jednego zelanta jest zawsze kilku innych, toż nigdy się tam nie obchodzi bez potracania się i deptania po nogach, co świątobliwym pielgrzymom zwykle nie bywa do twarzy. Owóz i przy tych pielgrzymkach było także nie mało potracania się, wykluczania i intrygowania, czem obcy się nie pomалу gorszyli, — a i śmieszności także nie brakło. Powiadają mi, że w ostatniej pielgrzymce niektóry szlachcic ubrał się w delię, z samego pierza utkaną; wyglądał jak piernat, dobrze że jaki sfatygowany Kardynał na nim się spać nie

położył. Były tam także figury inne, co może bardzo pięknie-by wyglądały na Kalwaryi Paclawskiej, ale zamiast jechać do Rzymu, lepiej-by były zostały za piecem. Nuż dopiero ta Akademia, na której Pan Tarnowski « z bezdennej lutni » pana Szujskiego wydeklamował ów wiersz słodko-brzmiący a zamaszysto-omdlewający, na jaki się jeszcze żaden Częstochowski poeta nie zdobył. Dziwna-bo to zaprawdę ta « lutnia bezdenna : »

« Strzeliste przebojem szłaca modlitwy. »
« W ślady tych, co światu stawali na stróży,
« W ordynku wojny, w rycerstwa obróży,
« Krzyż chroniąc Pański hełmów pióropuszem,
« Nie zdradą zbrojni, ale animuszem. »

Być może, że według Pana Szujskiego zakon rycerski jest « obróżą », dlatego wiary świętej broni « pióropuszem », i to mu się zdaje być « animuszem »; trudno o takie rzeczy się spierać z dwoma profesorami. Ja, jako nie-profesor, tak rozumiem, że chcąc pisać wiersze, można wprawdzie się obejść bez zdrowego sensu w głowie, bo to się zdarza niektórym poetom, ale trzeba koniecznie znać gramatykę i główne zasady prozodyi; zaś, jako Polak, dziękuję Bogu, że tam tej deklamacyi nikt nie rozumiał, bo ktoby ją był zrozumiał, tenby miał niezaprzeczone prawo mieć nas za najgłupszy naród na świecie, jak skoro polski profesor mógł taki wiersz napisać, a polski krytyk nie wzdygał się go wydeklamować na takiej Akademii, gdzie pod prezydencją Papieża obecni byli reprezentanci prawie wszystkich europejskich narodów.

A ja się pytam, — rzece na to Pan Jędrzej Śniadecki, — kto też Stańczykom dał mandat do narażania Polski na takie blazeństwa?

— A ja się o co innego zapytam, — dodał Niemcewicz. Czyż tam w tej Polsce dzisiejszej już nie ma ani jednego poety, któryby był w stanie napisać przyzwoity wiersz na uczczenie Papieża?

— Ale gdzież tam! — odpowie Pan Jędrzej, — poetów w Polsce jest dzisiaj tyle, że nawet nie łatwoby było ich wszystkich policzyć, i każdy z nich potrafi wiersz nawet bardzo piękny napisać. Ale żaden z poetów, co zresztą bardzo jest naturalna, nie należy do Stańczykowskiego obozu. A w tym obozie jest takie prawo, że wszystko, co zeń wychodzi, musi być przez ich własnych ludzi zrobione. Nie wielu mają pisarzy, toż każdy z nich jest jako ów kowal na wsi, co-to i konia okuje, i ząb wyrwie, i bańkę przystawi, a w razie potrzeby i brodę ogoli. Pan Szujski zaś był zdawna takim kowalem: pisał on historię i dramata, i powieści i krytyki, dla czegożby nie miał i hymnu napisać? Wielkiby-to był wstyd dla Stańczyków, gdyby pomiędzy sobą jakiegoś rzemiosła nie mieli: a że to będzie daleko większy wstyd dla Polski, jeżeli w jej imieniu z niezdarną łataniną przed światem wystąpią, to im bardzo jest obojętnem.

Tymczasem zaczęło się robić duszno w powietrzu. Cały niemal horyzont okrył się żółtawymi chmurami, które zdawały się być napelnione jakoby gorącym kurzem i mogłyby nam oddech tamować, gdybyśmy nie byli czystymi duchami. Na naszych górach i morzach leżała mgła, sucha i skwarna, jakoby z tumanów pyłu złożona, przez którą tylko jakby przez gazę widać było ich kształty. Tylko z jednej strony niebo było jasne i otwierało nam dalekie widoki na owe miliony światów słonecznych, nie

dojrzone dla ziemi, a wobec których wszystkie sprawy nie mają więcej wartości jak lot drobnej muszki albo pełzanie drobnego robaczka. Jakoż bylibyśmy chętnie nasz wzrok zapuścili w te światy, których sam widok nas więcej zbliża do Stwórcy, niż całe życie oddane naukom; ale jużesmy wtedy byli zgromadzeni na koło, a Pan Ignacy Potocki zabrał głos i tak mówił:

— To co się dzisiaj nazywa klerykalizmem, było wcale nieznanem za naszych czasów. Pomiedzy nami byli katolicy gorliwsi i chłodniejsi; jedni rozumieli, że u Boga więcej waży modlitwa, drudzy zaś byli zdania, że większą są u niego zasługą dobre uczynki; byli wreszcie dewoci, a obok nich zarażeni libertynizmem: ale nigdy tego nie było, ażeby ktoś dla tego, że ma siebie za nabożniejszego od innych, wyróżniał się od ogółu, albo też wcale śmiał mówić z ujmą o tych, których nabożność jemu się nie podoba. Sąd o gorętszej albo chłodniejszej religijności wiernych tylko spowiednikom przysługiwał, a i u nich ten sąd był zawsze sekretem konfesyonału. Ktoby się był w naszych czasach z swojej nabożności nad innych wywyższał, ten byłby był za faryzeusza uznanym i stałby się był przedmiotem wzgardy publicznej. Klerykalizm urodził się z romantyzmu; początku jego należy szukać w trzecim dziesiątku naszego wieku. Lamennais i Lacordaire, Montalembert i Falloux, byli romantykami. Romantyzm, skłonny z natury swojej do exageracyi i niosący w swym duchu nasiona fanatyzmu, rozdzielił się w czasie swego rozwoju na dwa odrębne prądy, z których każdy doszedł do ostateczności; z jednego z nich wyrodził się klerykalizm, — a z drugiego socyalizm. Socyalizm, nie mając

u nas sposobnego gruntu dla siebie, potrzebował prawie pół wieku na to, ażeby pomiędzy nami znalazł adeptów; klerykalizm zaś, który już za Ludwika Filipa przybrał widome formy we Francyi, znalazł u nas już wkrótce po swem urodzeniu pewne sympatyczne dla siebie oddźwięki. Jeżeli dziś w parlamentach i po za parlamentami spostrzegamy to osobliwsze zjawisko, że adepci klerykalizmu, którzy na polu politycznem łączą się pod wiechą reakcyi i absolutyzmu, podają rękę socyalistom, chociaż tych ostatnich celem jest przewrót społeczny i anarchia, to nie masz w tem nic zgoła dziwnego: są to bowiem synowie jednego ojca, a między sobą bracia rodzeni.

Na to Lelewel skinął głową z uśmiechem i rzekł:

— Tak jest. Są to dwa skrajne prądy, diametralnie sobie przeciwne, ale związane z sobą jednością pochodzenia i rodu. Jednak jeżeli sobie dziś rękę podają, to zauważać należy, iż nie czynią one tego pod wpływem sympatycznego pociągu, tylko z interesu, podszytego myślą zdradziecką, bo jeden i drugi, gdyby mu się udało zwyciężyć, miałby sobie za najpierwszy obowiązek po swoim zwycięstwie, zetrzeć swojego pomocnika na miazgę.

Po tej przerwie Pan Ignacy mówił dalej w ten sens:

— Są dziejopisarze, którzy utrzymują, jakoby stronnictwo klerykalne u nas istniało już podczas Kongresowego Królestwa. Wiele-by o tem mówić, bo rzeczywiście czynności ówczesne niektórych osób duchownych i świeckich, pomiędzy któremi znajdowali się nawet klasycy, nawróceni od libertynizmu do katolicyzmu, noszą na sobie bardzo podobne cechy, jakimi się odznaczały stronnictwa klerykalne już zorganizowane gdzieindziej. Jednak

klerykalnego stronnictwa we właściwym znaczeniu jeszcze wtedy, ani w Warszawie, ani w Krakowie nie było. Pierwsze jego zawiązki, niewątpliwe i namacalne, okazują się dopiero po Listopadowem Powstaniu i zjawją się prawie jednocześnie: w emigracyi, we Lwowie, w Krakowie i w Wielkopolsce. Objaw jego we Lwowie jest tylko przełotnym i nie ma żadnego związku z podobnymi objawami w emigracyi i w innych prowincjach polskich. Tam podstarzały kawaler, który zużył swe zdrowie na hulatyce po wszystkich miastach europejskich, ale umiał zachować majątek, założył w swoim domu kaplicę, do której spraszał kobiety i mężczyzn ze sfer miejscowej arystokracji na nabożeństwa i rekolekcyje. Znalazł on w Jezuitach gorących współpracowników, a w owoczesnym Gubernatorze kraju silną protekcyę. Tak stało się modą, brać udział w tych nabożeństwach i rekolekcyjach, a na następujących po nich recepcyach litować się bogobojnie nad tymi, którym nie było dano do tej konfraternii należeć. Ale była-to tylko moda. Po rzeziach w roku 1846 dostojny protektor wyjechał z kraju, a burza roku 1848 rozwiąła tę konfraternię na cztery wiatry. Po burzy został się tylko salon Pani Grabowskiej, w którym się przez parę lat jeszcze błąkały niedobitki tego świątobliwego cechu. Przyjmowano tam Kajsiowicza i innych emisaryuszów tej nowej wiary i miano niepomału ochotę rozpocząć na nowo przerwane rekolekcyjne roboty. Ale Gołuchowski i Arcybiskup ówczesny łacińskiego obrządku silną temu wszystkiemu postawili zaporę, — a odtąd trzej Arcybiskupi i trzy Kapituły, przy pomocy sześciu głównych zakonów, muszą w dwudziestu dziewięciu kościołach sami się starać o utrzymanie

wiary w sercach kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców! — Duch klerykalizmu zapuścił wszakże daleko głębsze korzenie w Krakowie i w Xięstwie. W Xięstwie wystąpili w jego obronie znakomici uczeni, którzy się zgromadzili w « Przeglądzie Poznańskim », i łatwe znaleźli poparcie u najzacniejszych skądinąd obywateli, którym się zdało, że przeciw protestanckiemu rządowi tylko fanatycznym katolicyzmem można skutecznie wojować. My używania religii do celów politycznych nigdy nie pochwalimy, i właśnie ze stanowiska religijnego musimy je zawsze potępić; jednakże przyznajemy chętnie, że ówczesni redaktorowie « Przeglądu Poznańskiego » i ich stronnicy umieli swój klerykalizm z patriotyzmem połączyć, a brak patriotyzmu zawsze surowo karcili. Gdyby « Przegląd Poznański » w swoim ówczesnym duchu dzisiaj wychodził i był logicznym, to musiałby być pierwszym, któryby rzucił klątwę na stronnictwo krakowskie. — W Krakowie padła ta propaganda już wówczas na doskonale przygotowany grunt zbierającymi się tam od dawna żywiołami dewocyi i arystokracji, która-to ostatnia, po utraceniu swego znaczenia, zawsze i wszędzie u stronnictw reakcyjnych szuka odzyskania dawnego splendoru. Duchowieństwo krakowskie, po zniesieniu Biskupstwa, odarte z dawnych dostatków i środków działania, a mające na czele tylko Administratora, nie miało dostatecznej powagi i siły, aby się oprzeć tym świeckim apostołom, zwykle bardzo miernego osobistego znaczenia, ale protegowanym przez zamożne rodziny, — tak klerykalizm, ta czysto francuska roślina, nie mająca w sobie ani cienia polskiego oddechu, tam założyła swoją stolicę. Spytacie mnie, cóż to jest ten klery-

kalizm?—Klerykalizm jest-to zasada, której celem jawnym jest wywindykowanie dla katolickiego Kościoła, uosobionego w każdoczesnym Papieżu, najwyższej ilości praw i przywilejów, do jakiej kiedykolwiek mógł aspirować i jaka w każdym czasie da się odzyskać. Lecz jej celem ukrytym jest zniszczenie wszelkich nabytków nauki świeckiej, wytępienie wolności i zaprowadzenie absolutyzmu, wykonywanego pod przewagą Kościoła. Klerykalizm jest zatem sektą, a jeśli chcecie stronnictwem, nie religijnem, tylko politycznem, które się tylko posługuje religią, ażeby dopiąć celów czysto doczesnych. Głównym rysem jego charakteru jest bezwzględność; głównym środkiem działania terroryzm: Każdy tam zresztą środek jest dobry, byle prowadził do celu: każde indywiduum dobre, choćby dopiero wczoraj z kanału wyjęte, byle ślubowało na ślepa uległość. Terroryzm ich, nie mogący się dziś posługiwać siłą brutalną, używa broni moralnej: kto tylko jest podejrzanym, że nie sympatyzuje z tem bractwem, ten niezawodnie zostanie pokątnie splugawionym i zbezczeszczoneym, chociażby był najzacniejszym człowiekiem na kuli ziemskiej. I przeciwnie, kto jest przyjęty do tego bractwa, ten ma patent na wszystko. Przybrawszy pozór religijności, a przytem działając takimi środkami, rzecz oczywista, że mu nie braknie adeptów, bo w każdym kraju ludzi naiwnych i trwożliwych jest wielka liczba. Spytacie mnie, czy klerykalizm jest szkodliwym i niebezpiecznym? Niebezpiecznym, w odniesieniu do całej ludzkości, nie jest, bo oświata tak się dziś szybko i tak niepowstrzymanie rozwija i rozprzestrzenia, że bez trudności i coraz łatwiej zwalcza stosunkowo tak drobną zaporę. Nie znajduje on

zresztą i w duchowieństwie tej pomocy, jakaby mu była potrzebną, aby się mógł stać niebezpiecznym. Duchowieństwo się broni od tych niewyświęconych kapłanów, którzy zanadto są namiętni i niepowściągliwi, aby się wciąż z tem nie zdradzali, że celem ich jest opanowanie władzy kościelnej. Toż bronią się przed nimi także Papieże. Pius IX, podzielający sam przynajmniej do pewnego stopnia ich przekonania, dozwalał im rozpościerać się i pomnażać swe wpływy. Ale Leon XIII, liczący się za przewodem swego głębokiego rozumu z dokonanymi faktami, łamie im szyki i stawia im wszędzie w miarę możności zapory. Dość jest przeczytać ostatnią Encyklikę, wydaną w grudniu roku 1882 do Biskupów hiszpańskich, w której Jego Świątobliwość surowo zabrania katolikom świeckim wszelkiego mieszania się w sprawy kościelne, a zarazem nakazuje duchowieństwu jak najzupełniej wyzwolić swoje czynności od tego rodzaju wpływów, aby dokładnie zrozumieć, do jakiego stopnia stronictwa klerykalne stały się niedogodnemi Stolicy Świętej. Duchowieństwo francuskie, które zawsze miało pełną świadomość swojej powagi, samo się broni, a nawet ma bardzo dzielnych obrońców w Biskupie z Amiens i Xiężach Bougaud i Bernard, którzy sobie zdobyli cześć i poszanowanie u całej opinii publicznej. Niebezpieczeństwa tej sekty ja tedy wcale nie widzę. Ale jest ona bardzo szkodliwą, bo osłabia wysokie znaczenie religii, podkopuje legalną władzę duchowną, rozwalnia sumienia wiernych, rozszerza głęboką korupcyę i w każdym kraju służy za narzędzie wszystkim nieprzyjaznym ludzkości zachętkom absolutyzmu. Poznał się na niej Bismarck i doskonale się nią posługuje, —

i dziwna rzecz, że jeszcze Moskale na niej się nie poznali. Ale każde dzisiaj ma swoje jutro: Stańczykowsy pisarze, obrabiający historję polską i nowoczesną literaturę wedle wymagań cenzury moskiewskiej, tak gorliwie im ścielą drogę do tego, że nareszcie i Moskale, choć zaślepieni swoim schizmatyckim fanatyzmem, zrozumieją użyteczność tej sekty dla ich zamiarów i bliżej się z nią zapoznają. Bodałbym się mylił, lecz zdaje mi się, że stanie się z nią to samo, co się niegdyś stało z Jezuitami: wyparta mocą postępującej oświaty z krajów zachodnich, znajdzie przytułek tam, gdzie panuje jawny albo zakapturzony despotyzm.

— Bardzo ci dziękujemy, kochany Panie Marszałku, — odezwał się na to Xiądz Biskup Woronicz, — żeś nam wyświecił krótko i jasno, czem są klerykalne stronnictwa. Chociaż powiadasz, i słusznie, że mego czasu nie było jeszcze takiego stronnictwa, to przecież mogę wam powiedzieć, że będąc Biskupem Krakowskim, miałem i ja niemało kłopotów z ludźmi, którzy mi się narzucali na opiekunów. Dla tego też było najusilniejszym mojem staraniem podnieść dochody Krakowskiego Biskupstwa, Bóg moim świadkiem, że nie dla siebie, ale tylko w tym celu, ażeby kapitule mojej przysporzyć środków do utrzymania swojej powagi i wyzwolenia się od nieproszonych patronów. Po mnie te środki jeszcze się bardziej zmniejszyły, aż nareszcie i Biskupstwo zniesiono, — a wtedy, właśnie jak kiedy kota zabraknie, zaczęły myszy swoje tany wyprawiać w opustoszałej świątyni. Mów dalej, Panie Marszałku. Gorzkie-to prawdy, bo ileż-to tam było i jest ludzi istotnie pobożnych i zacnych, którzy tylko przez zbytek

dobrej wiary dali się w te bezbożne intrygi uplatać! Ale ponieważ to są prawdy, więc trzeba je wysłuchać do końca.

— Cóż wam jeszcze mogę powiedzieć, — odpowiedział Marszałek, — czegobyście nie wiedzieli bezemnie? Jeszcze się burze roku 1848 nie ułożyły zupełnie, kiedy idee klerikalne ożeniły się z dążnościami politycznymi i urodził się z tego małżeństwa «Czas» krakowski, organ publiczny, mieszczący w sobie wtenczas jeszcze najróżnorodniejsze żywioły. W tym organie bowiem przemawiali kolejną Wielopolski i Helcel, Adam Potocki i Popiel, Maurycy Mann i Lucyan Siemieński, — a każdy z nich z osobna i wszyscy razem nie wiedzieli, czego chcieli. Najbałamutniejszym z nich był niezawodnie okrzyczany dzisiaj za jasnowidzącego Alexander Wielopolski, który zamierzał ni mniej ni więcej, jak tylko utworzenie federacji słowiańskiej na gruzach Austrii, uważając ją za rozbitą bez nadziei zmartwychwstania. Osobliwsze-to było jasnowidzenie! Helcel, człowiek uczony i zacny, ale targany niepohamowaną gorączką czynów, do których nie miał najmniejszej kwalifikacyi, w sprawach politycznych był zupełnie jak w garnku, i jeśli miał jaką myśl, biorąc pióro do ręki, to zawsze ją zgubił w ciągu pisania. Adam Potocki, umysł szlachetny i wzniosły, niezmiernie sympatyczny typ polskiego magnata w najlepszym znaczeniu, był patriotą gorącym i czystych zamiarów, pragnął serdecznie i szczerze Polski wolnej, niepodległej i świetnej, ale jej politycznej postaci sobie wyobrazić nie umiał, a ilekroć do jakiej czynności przystąpił, to zawsze ograniczył się na tem, że swoją obecność upamiętnił jakimś czynem

szlachetnym. Pomędzy nimi płatał się Popiel; nie miał on nigdy odwagi powiedzieć, « że stoi i stać będzie » przy tej lub owej zasadzie, tylko wisiał skromnie przy tym lub owym, którego miał sobie za koryfeusza, i za nim odma-
wiał swoje polityczne pacierze. Pod nimi zaś szył, śmiał się i bryzgał Siemieński, niedawno redaktor « Pszonki », najradykałniejszego ze wszystkich Pism emigracyjnych, które żadnej nie znało świętości i nawet z siebie samego szydziło; ten przez wiele lat jeszcze, zanim go ujeżdżono, wierzgał wedle swojej fantazyi w odcinku i często jednym kopnięciem nogi przewracał, to nad czem przez kilka miesięcy pracowano w wyższych łamach dziennika. Jedynym w tem gronie, który wiedział, czego chce, był Mann. Pisarz mniej niż miernych zdolności, nie mający w własnem sumieniu żadnych przekonań, cynik posuwający w konwersacyi swoją filozofię praktyczną do takiego wuzdania, że ludzie pod wąsem nie mogli jej słuchać bez zarumienienia; wyszedłszy jednak ze szkół jezuickich w Fryburgu i przystąpiwszy do sekty klerykalnej w Paryżu, był jej zasad i reguł doskonałym egzekutorem. Jak we wszystkich tego rodzaju przedsiębiorstwach praca i wytrwałość odnosi górę nad talentami, a nawet nad geniuszami, tak i Mann, najpracowitszy i najwytrwalszy ze wszystkich, stał się wkrótce głównym filarem « Czasu », a zarazem jednym z głównych filarów klerykalnego stronnictwa, które się około niego utworzyło i przyjęło te same zasady, jakieśmy je określili powyżej. Tak kwitnęło to stronnictwo przez jaki dziesiątek lat, narzucając się terrorystycznie mieszkańcom miasta na przewodnika, używając oszczerstwa jako najskuteczniejszej broni przeciwko nie-

przyjmującym jego zwierzchnictwa i podbijając z wolna całą Małopolskę pod swoje panowanie. Opozycyi czynnej przeciwko niemu nie było, bo jeśli czasem « pod Trąbką » na jego koryfeuszów hałasowano, to hałasy te nie wychodziły po za obręb garkuchni i nie wywierały na właściwą ludność miasta żadnego wpływu. Nawet duchowieństwo nie stawiało tej świeckiej hierarchii poważnego oporu, — a chociaż X. Lętowski tam i sam, w tym lub owym salonie, po żołniersku wjechał na kazania Xiędza Golijana, a czasem nawet w swoim siarczystym ferworze wprost wyrzucał kobietom: « że tylko popęd płciowy je ciągnie na konferencye tych młodych predykantów », to na tej admonicyi wszystko się kończyło; poczciwy Biskup prędko się wyparskał, a niewyświęceni kapłani nazajutrz tak samo prowadzili swą propagandę, jak dawniej. Kajsiewicz, który tych świeckich apostołów w swoim delikatnym języku « dojeżdżaczami » nazywał, uważał ich nawet z początku za pożytecznych i, stawiając Walerego Wielogłowskiego za wzór takiego « dojeżdżacza », rekrutowanie ich gorąco zalecał. Ale Kajsiewicz jeszcze się wtedy nie spostrzegł, że ci « dojeżdżacze » niebawem wzrosną w taką potęgą, która samemu duchowieństwu zacięży. Nastąpiło to dopiero później, a wtedy Kajsiewicz pisał: « W ruchu polskim dwa punkta mnie gryzą: burmistrzowanie świeckich w Kościele i ograniczenie się do nabożeństwa za Matkę Ojczyznę, a potem bratanie się z żydy i heretyki. » A więc już i Kajsiewiczowi « burmistrzowanie świeckich w Kościele » zaczęło się wtedy przez kołnierz przelewać. Jednakże wówczas stronnictwo klerykalne krakowskie już się było wzmocniło nowem pokoleniem młodzieży, które

się wychowało pod jego opiekuńczemi skrzydłami, a w którym później wyrodził się obóz Stańczyków. Młodzież ta już w czasie swych nauk, odbywając swe zgromadzenia przy ulicy Gołębiej, zwała się « Gołębiami » i była znaną nawet po za granicami kraju. Jaka-to była ta młodzież, sami sądzić nie chcemy; ale powołamy się na wyrok, który o niej wydały « Wiadomości Polskie », pismo wychodzące w Paryżu pod inspiracją Hotelu Lambert i miane powszechnie za arcy-arystokratyczne i arcy-katolickie. « Wiadomości » z dnia 27 Listopada roku 1858 tak piszą: — « Ta młodzież, która się od lat sześciu kształci w Krakowie, tworzy, jak słyszemy, grono odznaczające się religijnem przekonaniem, postępowaniem moralnem, zamiłowaniem nauki, pracy, towarzyską ogładą i dojrzałością rozsądku. Lecz młodość nigdy miary właściwej zachować nie umie; bać się więc przeto należy, ażeby ów rozsądek nie zgasił uczucia, nie sprowadził zubożenia, nie stał z tej młodzieży polskiej tych znamion, bez których nowe pokolenie dla sprawy ojczystej za stracone musielibyśmy uważać. » Tak osądziły arystokratyczne i katolickie, lecz polskie « Wiadomości » Stańczyków *in nuce*. I były one rzeczywiście proroczym duchem natchnione, bo młodzież ta jest dla sprawy ojczystej istotnie straconą: ale czego « Wiadomości » nie przewidziały, to że ta młodzież nie tylko siebie zatraci, ale pójdzie na profesorów, na pisarzy, na posłów, na Marszałków Sejmowych, i pod sztandarem « katolicyzmu » stanie się apostołem « zgaszonego uczucia », fałszerzem historii, potwarcą narodowej literatury, oszczercą własnych ojców i dziadów, tępicielem miłości ojczyzny, propagatorem służalstwa, lokajem des-

potyzmu, krzewicielem zgnilizny i śmierci, — i że się za bierze do zatracenia dla sprawy ojczyściej wszystkich następnych pokoleń młodzieży.

Te proste słowa Pana Ignacego, ale poparte faktami, głębokie na nas sprawiły wrażenie, — i bylibyśmy najchętniej milczeli. Ale wtem Xiąże Biskup zabrał głos i tak zakończył tę naszą rozprawę:

— Jeżeli katolicy, żyjący między narodami innego wyznania i przez nie uciskani, łączą się z sobą i tworzą osobną gromadę, aby mieć więcej siły do obrony swej wiary, to jest to wynikiem prawa natury, panującego absolutnie w świecie moralnym i materyalnym, skutkiem którego żywioły pokrewne pod naciskiem żywiołów obcych przyciągają się wzajem w celu skuteczniejszego oporu. Katolicy ci zatem postępują wedle prawa Bożego, a postępek ich jest czynem chwalebny. Wszelako i wtedy jeszcze katolikom nie wolno używać religii jako środka do dopięcia celów doczesnych, bo Bóg dał im wiarę nie jako broń do walczenia przeciw ich bliźnim, tylko jako treść i miazgę ich duszy, która ma ich utrzymać na drodze zacności i cnoty za życia i otworzyć im bramy wieczności po śmierci. Lecz kto w narodzie na wskrós katolickim, gdzie wszyscy są wierni, a nawet chłodniejsi oddają część wierze świętej, tworzy stronnictwa katolików «lepszych», rozkłuwa naród do dna jednolity na osobne religijne obozy, na podstawie swojej wrzekomej pobożności wynosi siebie nad innych i używa religii do celów sobkowskich, ten popełnia zbrodnię przeciwko narodowi i Bogu *et stet diabolus a dextris ejus*.

Po tym wyroku grobowe pomiędzy nami zaległo mil-

czenie. Spuściliśmy głowy i nie śmieliśmy spojrzeć w twarz Xięcia Biskupa, bo byliśmy przekonani, że na niej osiadł gniew Boży, który przez jego usta do nas przemówił. Trwało to jednak tylko małą chwilę. Niebawem bowiem, ku naszemu zdziwieniu, Xiążę Biskup znowu głos zabrał. Spojrzeliśmy w twarz jego i widzieliśmy ją wprawdzie poważną, ale spokojną i łagodną jak zawsze. On zaś tymczasem tak do nas przemówił:

— Dzieje nas uczą, iż czasem w niektórych narodach powstają stronnictwa, które w złym duchu poczęte, tylko złe tworzą i społeczeństwu wielkie szkody przynoszą. Ale wyroki Boże są niezbadane. Czasem zły posiew wywołuje reakcję, która później się staje zbawienną. Czasem utwory ludzkiego umysłu tylko z początku są złe, a później pożyteczne wydają owoce. Badajcie Waszmość dalej postęпки tego stronnictwa i zważcie, ażali ci ludzie obok wielu złych rzeczy nie przynieśli krajowi przecież jakiego pożytku? Wzieliśmy przedsię wytknąć i zgromić ich przywary i błędy, lecz jeśli im się zdarzyło zrobić coś dobrego, to naszym obowiązkiem jest oddać im sprawiedliwość.

Na to więc pierwszy odezwał się Pan Jędrzej Śniadecki:

— Otóż-to właśnie jest, co mnie dziwi najwięcej. Bo że ludzie zasad złych i przewrotnych nic dobrego z umysłu nie robią, to jest rzecz naturalna; ale tym panom, pomimo całej ich ruchliwości, nawet przypadkiem nie udało się zrobić nic dobrego. To zdaje mi się dość dziwnem. Wszakże najlepiej o tem może sądzić Pan Ignacy Potocki, bo nietylko że sprawy polityczne zna lepiej od nas, ale też i najświeższe ma wiadomości.

— Wiadomości nam bez wątpienia nie braknie, — rzekł

na to Potocki, — ale czy warto je wszystkie roztrząsać? Przecież o jednej wam wspomnę. Stańczycy od dawna dążyli ku temu, aby łaskę marszałkowską otrzymać dla kogoś ze swoich. Jakiś już o tem wspomnieli, nareszcie im się to udało. Lecz jakże-to sobie postąpił ich Marszałek? — Jeszcze dotychczas nikt nie napisał historyi Galicyjskiego Wydziału, według której możnaby porównawczy sąd wydać o zasługach wszystkich Marszałków; ale mimo to można już dziś powiedzieć, że ten Marszałek nie uporządkował pracy Wydziału, nic starego nie naprawił, nic nowego nie stworzył, — a wreszcie ten najwyższy urząd krajowy porzucił i poszedł podobno na urzędnika prywatnego banku do Wiednia.

— *Bon!* — zawołał na to Stanisław Kostka, — *on était quelque chose, on voulait être quelqu'un, et on n'est plus rien.*

— Nie o osoby tu chodzi, — odpowiedział mu poważnie brat jego, — bo przecież i Polakowi wolno robić z sobą, co mu się podoba, byle tylko nie na szkodę kraju, a to nikomu nie szkodzi, jeżeli Polacy uczą się skarbowości, przemysłu, rolnictwa lub handlu, choćby za granicami kraju. Tu tylko o to idzie, że to był Marszałek pewnego stronnictwa, za którego czynności i zachowanie się stronnictwo jest odpowiedzialnem.

Po tej przerwie Pan Ignacy znów zabrał głos i mówił w ten sens:

— Stańczycy, im gorzej im się powodzi, tem więcej wysilają się na to, ażeby dowieść, jako położyli pewne zasługi około kraju; ale dotychczas jeszcze żadnego nie złożyli dowodu, a gołym słowom wierzyć nikt nie jest

obowiązany. Rzeczy te należy wyłożyć gruntownie. Jakkolwiek Galicya nie jest państwem osobnem, tylko prowincyą, a nawet niema autonomii politycznej, tylko administracyjną, i tę nareszcie bardzo ograniczoną, sprawy jej jednak dzielą się na wewnętrzne i zewnętrzne, a to przedewszystkiem dla tego, że ludność jej jest częścią udzielnego niegdyś narodu, inne części tegoż samego narodu w sąsiednich państwach istnieją, a ona z niemi połączoną jest nieprzerwalnemi związkami krwi i tradycyi. Rząd austriacki nie przyznaje Galicyi prawa reprezentowania jej własnej polityki zagranicznej, i słusznie: bo kierunek spraw zagranicznych w każdej Monarchii musi być jednym i jednolitym, a w Austrii jest on jeszcze prócz tego w najgłówniejszych swych częściach wyłącznem prawem Korony. Ale w ustroju państw, zwłaszcza złożonych z rozmaitych narodowości, są fakta, których potęga nie da się przeważać żadnymi pisanemi prawami. Otóż Galicya ma za sobą ten fakt, że jej posłom do Rady Państwa żadne prawo nie wzbrania zawiązać się w klub osobny i karny, a temu klubowi także nikt zabronić nie może, mieć swoje własne zapatrywania na politykę zagraniczną i takowe, bądź w Delegacyach Państwa, bądź w Radzie Państwa, objawiać. Prócz tego, są pewne sprawy, które jakkolwiek natury czysto wewnętrznej, jednakże traktowane w Radzie Państwa, przybierają dla Galicyi znaczenie i wagę spraw zagranicznych, — a temi sprawami są te, których załatwienie zależy od stosunków zawartych przez naszych posłów ze stronnictwami albo narodowościami Monarchii, reprezentowanemi w parlamentach. Albowiem zawiązywanie; przyjaźni albo wywoływanie niechęci ku nam

u stronnictw i narodowości, nietylko podnosi albo obniża wartość moralną otrzymywanych przez nas ustępstw dla kraju, ale w danych wypadkach może także wyrzucić swe wpływy na losy całego polskiego narodu. To też można śmiało powiedzieć, że każda nasza sprawa wewnętrzna, której rozwiązanie zależy od jakiegobądź władzy w Wiedniu, ma dla nas przynajmniej do pewnego stopnia znaczenie zewnętrzne, — a zatem idzie, że nasi posłowie do Rady Państwa są obowiązani tworzyć ciało osobne, jednolite i karne, że nikomu pod żadnym warunkiem nie wolno się wyłamywać z pod tej karności, że dyrekcyja tego ciała powinna być wyrazem ogółu wyborców, a nie dążności pewnego stronnictwa, a jeśli dyrekcyę wzięło na siebie pewne stronnictwo, to jest ono odpowiedzialnem za wszystkie czynności delegacyi polskiej w każdym znaczeniu i we wszystkich kierunkach.

— Zgadzamy się na to określenie jednogłośnie, — rzekł na to Marszałek Małachowski. I myśmy do tego dążyli podczas czteroletniego Sejmu, ale osiągnięcie tego celu nie było dla nas koniecznością, bo hyliliśmy Sejmem w naszym własnem Państwie, a większość głosów była dla nas dostateczną. Tak samo jednomyślność nie jest koniecznością dla Sejmu krajowego. Nie jest ona także konieczną wewnątrz koła polskiego w Wiedniu. Tam mogą, a nawet powinny się ścierać ze sobą opinie; ale co w kole zostanie postanowionem większością, to powinno być prawem dla wszystkich posłów, dla ich zachowania się w Radzie Państwa. Dla tego nie jest wcale obojętnem, kto tą większością rozporządza, — a ktokolwiek nią rozporządza, jest za nią odpowiedzialnym. Kto zaś jej nadużywa do celów kote-

ryjnych lub osobistych, ten się staje pijawką ssącą krew własnej ojczyzny, — a taką nieproszoną pijawkę należy posypać solą, ażeby jak najprędzej odpadła.

— Otóż, jak powiedziałem, — mówił dalej Marszałek Potocki, — Stańczycy nie położyli żadnej zasługi w sprawach wewnętrznych kraju i nie potrafią oni wymienić ani jednego ulepszenia administracyi, któreby było przeprowadzone ich staraniem, ani jednego publicznego zakładu, któryby powstał ich pracą, ani jednej koncesyi, którąby wyjednali dla kraju. Potrafilo tylko opanować pewne zakłady publiczne, jak Jagiellońską Wszechnicę, Akademię Umiejętności, Towarzystwo ogniowe, Kasę oszczędności, Towarzystwo rolnicze w Krakowie i inne, i nie podnieśli oni wcale ani użyteczności, ani świetności tych instytucyi, tylko używają swych wpływów na nie w celu korumpowania swoich adeptów. Natomiast zaś widzimy ich rzucających się na przebój, aby przeszkodzić wykonaniu każdego projektu, któryby mógł przynieść pożytek krajowi, a walczących zawzięcie przeciwko każdej myśli, zdolnej ożywić lub podnieść narodowego ducha w ludności. Rozszerzenie oświaty w ogóle, a zwłaszcza pomiędzy ludem wiejskim, uznanie publiczne znaczenia Konstytucyi Trzeciego Maja, obchód pięćdziesiątej rocznicy Listopadowego Powstania, jubileusz dla Kraszewskiego, najzasłużeńszego z żyjących pisarzy polskich, znalazły w nich zaciętych wrogów, — a zaślepienie ich posunęło się nawet do tego stopnia, że nie wzdrygali się agitować przeciwko obelżaniu rolniczo-przemysłowej wystawy we Lwowie. Za to, kiedy « Czas » w swoich kolumnach, a Pan Popiel w osobnej broszurze nastawali na Rząd, ażeby kazał powypę-

dzać z kraju emigrantów polskich, jako « proletaryat intelligencji », redaktorowie « Czasu », w dwudziestym dziewiątym roku istnienia swego dziennika, wyprawili sobie z wielkim hałasem trzydziestoletni jubileusz, na którym Pan Szujski zamianował siebie atamanem « straży pożarnej », której celem jest, według wyrażenia Pana Tarnowskiego, gasić w narodzie « nadmiar uczucia i siły. » Zaprawdę, gdybyśmy nie wiedzieli, z kim mamy do czynienia, tobyśmy rozumieli, że mamy przed sobą waryatów, którzy targani wściekłą szaleństwą drą szaty na swoich bliźnich i druzgocą obrazy świętych w swoim własnym kościele. Nie! o zasługach tam nie może być mowy, bo niemożliwym jest, ażeby ten zrobił coś dobrego dla kraju, który się stał wrogiem wszystkiego, co dobre, szlachetne i piękne, i czemu cześć oddawali wszyscy nasi przodkowie od wieków. Toż i na polu spraw tych, któreśmy nazwali zewnętrznymi, a które moglibyśmy także nazwać politycznymi sprawami kraju, nie znajdziemy nic takiego, czego zasługę moglibyśmy przyznać Stańczykom.

— Kwestya ta, — rzekł na to Lelewel, — jest drażliwą, bo otoczona jest pozorami, które mogą nawet rozumnego człowieka obalamucić i sprowadzić na fałszywy tor rozumowania.

— Będę się starał być jasnym, — odpowiedział na to Potocki, — a ktoby był odmiennego zdania, ten może je wypowiedzieć. W Austryackiej Monarchii jest tylko trzy narodowości, które mają istotne polityczne znaczenie, na których przeto rząd powinien się opierać w swoich sprawach wewnętrznych i za pomocą których może działać na swoją politykę zewnętrzną; są niemi: Niemcy, Węgrzy

i Polacy. Nie chcemy wcale umniejszać znaczenia Czechów, ale nie możemy im przyznać tej wagi, jaką do nich przywiązywały niektóre rządowe systemy, panujące różnymi czasami w Austryackiej Monarchii. Czechy mogły posłużyć w danych wypadkach jako czynnik skuteczny w sprawach wewnętrznych, ale jako narodowa potęga są fikcją. Ażebymy być narodową potęgą, potrzeba mieć nie tylko dziejową przeszłość za sobą, ale także siłę żywotną, która tę przeszłość dziejową niesie na sobie w teraźniejszości i może przenieść ją w przyszłość. Czesi mają wprawdzie przeszłość dziejową, której jednakże głównym rysem było po wszystkie czasy uleganie przemocy niemieckiej; ale tę siłę, która ich przeszłość dziejową przenosiła z pokoleń na pokolenia, donieśli tylko do bitwy pod Białą Górą, — a stąd ulegli wynarodowieniu, które trwało dwa wieki. Z początkiem bieżącego wieku duch narodowy począł się u nich rozbudzać na nowo, ale, ograniczywszy się tylko do wskrzeszenia narodowego języka, a i na tem polu nawet tamowany przez gęsto pomiędzy nimi rozszalaną ludność niemiecką, nie zdołał się podnieść do tej potęgi, któraby odrastającym szczątkom tej narodowości mogła dać znaczenie narodu. Wypędzone za pomocą gramatyki zielone tryby nie wlały soków żywotnych w słoje narodowego dębu, który obaliły wojny o katechizm i który spróchniał pod przewagą niemiecką. Dość zresztą rzucić okiem na kartę, ażeby spostrzedz od razu, że narodowość czeska, okrążona ze wszystkich stron silnym wałem narodowości niemieckiej, odgraniczona od innych, równie już do wysokiego stopnia zniemczonych odłamów plemion słowiańskich, a do tego jeszcze i sama w sobie przesiana

Niemcami, nie ma żadnej politycznej przyszłości przed sobą. Od roku 1848 zabrali się Czesi do odgrywania roli politycznej w Austrii, lecz mówiąc dokładnie, utworzyło się tylko w tym kraju polityczne stronnictwo, które przybrało nazwę partii czeskiej. Partya ta, jakkolwiek kto zechce naciągać jej znaczenie, nie jest narodową w swojej całości, tylko polityczną. Składa się ona bowiem tylko w jednej połowie z patryotów czeskich, którzy się odznaczają nieumiarkowanym liberalizmem i niepohamowaną namiętnością, zaś w drugiej połowie z panów niemieckich, którzy sztandarem narodowości czeskiej okrywają swoje dążności reakcyjne i klerykalne, i bronią ich z równie niepowściągliwą namiętnością. Te dwie połowy zaś łączy ze sobą tylko namiętna nienawiść do Niemców, których pierwsi nienawidzą dla tego, że Niemcy, a drudzy dla tego, że są liberalni. Wytwory takie, jak to już pierwej wspomniałem, mogą służyć rządowi za czynnik polityczny, ale nie są narodową potęgą i nie mogą być pożądanymi sprzymierzeńcami dla narodów, które mają przyszłość przed sobą i dla tej przyszłości muszą nie jeden przemijający interes poświęcić, — a przeto nie wolno im zasiadać z lada jakim partnerem do gry parlamentarnej, dla tego tylko, że mogą za jego pomocą wygrać jakąś partyjkę. Pomijając zresztą wzgląd ogólny na naszą godność narodową, która nam nie pozwala zawierać sojuszków z tak niskiego rzędu sprzymierzeńcami, pytam się, z którą-to połową tej partii moglibyśmy się sprzymierzyć? czy z radykalnymi liberałami? czy z feudalnymi stronnikami zaślepionej reakcji? Oczywiście, że ani z jedną, ani z drugą.

— Bardzo dobrze, — zawołał na to Lelewel, zacierając

ręce, — mów całą prawdę, choćby dla tego, że jej dotąd nikt nie powiedział.

— Obowiązkiem Polaków, — mówił dalej Potocki, — reprezentujących kraj polski na Sejmach rakuskich, obowiązkiem włożonym na nich tak samo przez przeszłość, jak i przez wzgląd na przyszłość ich narodu, było przedewszystkiem, stanąć w jednym szeregu z narodami, które im swoją przeszłością i przyszłością są równe. Nietylko głęboka i rozważna rachuba polityczna, ale już sam instynkt patryotyczny musiał każdemu Polakowi wytknąć tę główną zasadę postępowania, — a kto nie miał tego instynktu, ten nie miał prawa reprezentowania swego narodu na Sejmach Monarchii. Czy Polacy powinni się byli połączyć stale z tą albo ową narodowością, reprezentowaną w Radzie Państwa? to jest inne pytanie. Ja jestem zdania, że nie powinni byli zawierać żadnego trwałego sojuszu. Mając sześćdziesiąt głosów, natchnionych uczuciem narodowej godności, a wiedzionych dojrzałą i trzeźwą polityczną rozważą, w Izbie takiej, która się dzieli prawie na dwie równe połowy pomiędzy Niemców i inne narodowości, mogli byli się ustawicznie utrzymać przy zaszczytnej i przez wszystkich szanowanej roli rozjemcy, a w danych wypadkach mocą swych głosów wykonać urząd sędziego. Takie stanowisko, przez Polaków zajęte w Radzie Państwa, byłoby naszemu krajowi przyniosło daleko więcej materyalnych korzyści, niżeli każdy inny sposób postępowania, a co ważniejsza, byłoby mu zdobyło nieocenione korzyści moralne, sięgające daleko po za granice Galicyi, bo miłość i szacunek wszystkich narodowości. Lecz jeżeli Posłowie polscy chcieli koniecznie szukać sojuszu w Izbie,

to obowiązkiem ich było dać pierwszeństwo Niemcom przed wszystkimi innymi narodowościami, reprezentowanemi w Radzie Państwa. Wiem bardzo dobrze, że temu zdaniu bardzo wiele głosów się sprzeciwi w Galicyi: jedni dla tego, że Niemcy reprezentują zasady liberalne, a drudzy z powodu narodowego wstrętu, który usiłują usprawiedliwić tem, że Niemcy obok liberalizmu zdradzali zawsze dążenia centralistyczne i mniej albo więcej germanizujące. Ale to mnie wcale nie spowoduje abym od mego zdania odstąpił. Bo najpierw, liberalizm Niemców, zresztą bardzo umiarkowany, dla mnie mógłby być tylko powodem do porozumienia się z nimi, a nigdy przyczyną, dla której miałbym się im przeciwstawić. Nie zapominajmy o tem, że jeżeli kiedykolwiek która z ziem polskich odetchnęła swobodniej, to miała to zawsze do zawdzięczenia powiewom zasad liberalnych, a nigdy cofnięciu się rządów do zasad reakcyjnych. Nie za Katarzyny, tylko za Pawła I-go odetchnęły duchem narodowym Litwa i kraje zabrane; nie za Mikołaja, tylko za Alexandra I-go używały niejakich swobód ziemie polskie pod zaborem rosyjskim: a jeśli Polacy w Galicyi cieszą się liberalnymi prawami, to główna podstawa tych praw nie leży w sympatyach reakcyonistów niemieckich dla Polaków, tylko w Konstytucyi państwa, którą stworzyły liberalne zasady samego Monarchy, a bez której wszystkie inne swobody nie miałyby żadnej rękojmi. Odwracać się od tych Niemców, którzy są liberalni, a wiązać wieczne sojusze z tymi, których dążeniem jest reakcja, byłoby to samo, co zamienić prawo nabyte i sankcyonowane za przemijający uśmiech osobistej przyjaźni. Drugi powód, dla którego Galicya się

odwróciła od Niemców, ma rację bytu, bo Niemcy zdradzali istotnie po wszystkie czasy dążności centralistyczne i germanizacyjne względem Galicyi. Przeciwko tym, którzy nas chcą centralizować i germanizować, musimy już samą mocą przyrodzonego uczucia, które jest silniejszym nad wszystkie rachuby polityczne, stawać koniecznie oporem. Toż z tego punktu widzenia dobrze zrobili Polacy, że stanęli w opozycji przeciwko Niemcom. Zachodzi tylko pytanie, czy nie było epok takich, w których stronnictwo niemieckie, obawiając się pozostania w mniejszości, jeże liby żywioły reakcyjne niemieckie połączyły się z narodowościami nie-niemieckimi, było skłonnem do zrobienia ze swej strony bardzo znacznych ustępstw Polakom za to, ażeby z niem trzymali przynajmniej w kwestyach żywotnych dla utrzymania liberalno-konstytucyjnego ustroju Monarchii? Mojem zdaniem, epoki takie były, a nawet kilkakrotnie się powtarzały. Ale delegacya polska nie umiała albo nie chciała z nich korzystać. Nie mam jej tego za złe, bo jestem zdania, że Polacy nie powinni byli zawierać żadnych stałych sojuszków w Sejmie rakuskim. Ale natomiast pytam, jakie było ich zachowanie się względem Niemców, mianowicie przez owe siedm lat panowania tego ministerstwa, które nazywano Auersperg-Lasser? Delegacya polska znajdowała się przez całe to siedmioletcie rzekomo pod dyktaturą Pana Grocholskiego, lecz w gruncie rzeczy, — i któż tego nie wie? — pod przeważnym wpływem Stańczyków. Otóż pomimo to, że to ministerstwo było czysto niemieckiem i centralistycznym, że jego główny przewodnik Lasser był zawziętym nieprzyjacielem Polaków, że ustawicznie potrzebowało głosów

polskich, a nawet często się bez nich obejść nie mogło, że nie miało właściwie żadnego programu, prócz utrzymania siebie przy władzy i wyzyskiwania jej dla celów stronnicych i osobistych, że przeto nic łatwiejszego nie było, jak wyzyskać je dla nas, a nawet opanować zupełnie, — delegacya polska żadnej z niem nie zawarła umowy, żadnej nie wywalczyła korzyści, nawet żadnego wybitnego nie zajęła stanowiska, — a natomiast do najniższego poziomu obniżyła swoją postawę moralną, stała się grupą serwilistyczną, posłuszną na każde skinienie władzy, i wpoila w opinię publiczną to przekonanie, że nie ma żadnej myśli przewodniej, że nie ma żadnych odrębnych interesów do bronięcia i że każde stronnictwo może na nią liczyć jak na mameluka, byleby jego członkowie zasiedli na ławach ministeryalnych. A tymczasem właśnie z tej delegacyi roznoszono hasła po kraju: że Polska nie miała nigdy tak wielkich mężów stanu, jak jej dzisiejsi Posłowie w Wiedniu, że polityka ich jest « synteza », a wszystko inne jest « analiza », że koniecznie potrzeba karności, a każda opozycja jest zgubną, — i tę ostatnią zasadę posuwano nawet do tego stopnia, iż ogłaszano niemal za zdrajców ojczyzny tych, którzy wewnątrz Koła śmieli innego być zdania, niżeli jego przewodnicy. Za pomocą teroryzmu utrzymywano serwilizm, — a owocem tych siedmioletnich wysiłków było: targnięcie się Lassera na Radę szkolną, kilka tytułów, kilka orderów i nominacya Stańczykowskiego Marszałka.

Nam się ckliwo zrobiło jak zawsze, kiedy rozpatrujemy działania Stańczyków, a pan Jędrzej Sniadecki się śmieje. Rzecz tedy Lelewel do niego, chociaż sam się także uśmiecha :

— A Waszmość czego się śmiejesz? Zapewne wiesz coś wesołego, a nie chcesz powiedzieć.

— Ja się śmieję,— odpowie Śniadecki,— bo mi się przypominają niektóre sceny, jakie się odgrywały w Kole wiedeńskim pomiędzy mamelukami pana Kazimierza a oponentami przeciwko polityce Koła. Ale czego się Waszmość uśmiechasz?

— Mnie śmiech zbiera dla tego,— rzecze Lelewel,— że ile razy galicyjska szlachta zabierze się do kierowania publicznymi sprawami, to zawsze kraj z nich wychodzi z kwitkiem, a cała sprawa kończy się na tytułach i orderach. Xiądz Kalinka, który miał przystęp do archiwów rządowych i familijnych z czasów rozbioru, mógłby być nam opowiedzieć całe setki anegdot o zapędach tej szlachty z owych czasów w celu ratowania Galicyi które się zawsze kończyły przedłużeniem listy hrabiów austriackich. Coś i my o tem wiemy; ale to chyba do innego odłożył czasu, boć jeszcze nie powiedziano wszystkiego o Kole polskim. Była tam przecież opozycja....

Na te słowa pan Stanisław Potocki zabrał głos i tak mówił:

— Pozwólcie też mnie się teraz odezwać, bo mnie ta opozycja zawsze żywo zajmowała i śledziłem uważnie wszystkie jej poruszenia. Zajmował mnie przedewszystkiem Ludwik Skrzyński, po którym przez jakiś czas się spodziewałem, że trafi w to, co potrzeba, i wytworzy na-przód poważną mniejszość, a potem pomału większość w Kole polskim. Ale Skrzyński nie był do takiej pracy stworzonym. Obdarzony obszernem ukształceniem, znamenitemi zdolnościami, żartkim dowcipem, niezwykłą

przytomnością umysłu, a przytem, co najważniejsza, charakterem niezawisłym, nie był on człowiekiem spokojnej, wytrwałej pracy, — a jego temperament nerwowy pozbawiał go nawet tej cierpliwości, której często potrzeba do przeprowadzenia jednej kwestyi przeciwko uprzedzeniom większości, a nie dopiero całego politycznego systemu. Używano też bardzo zřęcznie, ale częstokroć także nielitościwie, takich środków przeciwko niemu, o których wiedziano, że muszą go niecierpliwieć, wyrzucać z równowagi umysłu i siły jego zużywać : jakoż się stał w tych walkach nie bardzo zaszczytnych dla jego przeciwników i padł ofiarą swej drażliwości. Prócz tego Skrzyński miał tylko szczęśliwe instynkta, lecz nie miał systemu, — a ilekroć się zagrzał w walce o liberalne zasady, przekraczał te granice wolnomysłności, które dla nas są zakreślone interesami naszej narodowości, i wpadał w ów liberalizm ogólny albo powszechny, który dla nas staje się często mieczem obosiecznym, a który nawet w swoim znaczeniu ogólnem, w czasach dzisiejszych, w których nie idzie już o teorye, tylko o wyciągnięcie z teoryi rzeczywistego pożytku, niejednokrotnie trąci donkiszoteryą. Skrzyński w donkiszoteryę nigdy nie popadł, bo go strzegła od tego krew polska i tradycyjne pojęcia o miłości ojczyzny; ale natomiast po samę czuprynę w niej się zanurzył jego kolega, Pan Hausner. Gościnna Polska stała zawsze dla cudzoziemców otworem. Przybywało ich do nas po wszystkie czasy niemało i największa ich liczba w trzeciem, a czasem już w drugim pokoleniu stawała się Polakami. Ale po wszystkie czasy strzeżliśmy się tego, aby cudzoziemcowi, który jeszcze się nie stał Polakiem z krwi i kości,

jeszcze się nie wyswobodził zupełnie od swoich cudzoziemskich idei i nie wziął w siebie tradycyi polskich, dopuścić roli przewodniczącej w sprawach publicznych. Jakoż w całej naszej historyi, o ile pomnę, nie masz ani jednego takiego wypadku. Duch naszego narodu, którego głównym wyrazem jest poświęcenie się i ofiara, potrzebuje przez kilka pokoleń być żywionym mlekiem matek polskich, ażeby się wpoił całkowicie w głowę i serce cudzoziemca. Wyjątek stanowią tylko ci cudzoziemcy, którzy już w młodym wieku pracowali dla Polski, albo za nią cierpieli. Cierpienia i prace przechodziły w krew i tworzyły w ich sercach tę samą wzniosłą miłość ojczyzny, którą myśmy wzięli w puściźnie po ojcach. Pan Hausner urodził się w Polsce, ale z rodziców Niemców. Nauczył się z dziecka polskiego języka, ale tak jak każdego innego jemu obcego, i do dziś dnia zna tylko jego część materialną, ale nie ma zmysłu dla jego ducha. We wszystkim, co mówi i pisze, czuć Niemca, rozumiejącego po polsku, ale nie mającego polskiego oddechu. Pan Hausner strawił najlepszą część swego życia, nie biorąc najmniejszego udziału w sprawach krajowych. Gdzie pracowano, gdzie się bito, gdzie cierpiano, gdzie poświęcano mienie i życie dla Polski, tam jego nie było. Dopiero kiedy się otworzyły płatne posady polskie i widoki na płatne urzędy, wystąpił późno i nieśmiało na scenę publiczną, wybrany posłem przez ludność Brodzką, złożoną w większej części z żydów niemieckich. Pan Hausner przez lat czterdzieści, jak się zdaje, w chwilach wolnych od ślizgania się po salonowych posadzkach, czytywał wiele w rozmaitych językach, czytywał zatem tylko z nudów lub dla rozrywki, a więc bez

ładu, bez porządku i celu. Nazbierało mu się takich wiadomości wiele, ale powierzchownych, bez związku ze sobą, nie nanizanych na jakąś określoną ideę, nie opromienionych jakimś pewnym uczuciem, nie opartych na jakiejś stałej, moralnej zasadzie. Z takim lekkim mantelzakiem na plecach i z encyklopedyą pod pachą, lecz zarazem z przekonaniem, że będzie miał z głupią szlachtą do czynienia, wybrał się z galicyjskiej Jerozolimy na zbawienie galicyjskiej ojczyzny. Dłaczego Pan Hausner « o tak późnej dobie » zabrał się do zrobienia politycznej karyery, tego nie chcę zbadywać, bo nie przystoi mi dotykać rzeczy prywatnych: chociaż Pan Hausner w swoich wywnętrzaniach publicznych się przed tem nie wzdryga, a nawet z takimi komunikacjami o Polakach wałęsa się czasem po pismach niemieckich. Powiem tylko, że jeśli jest w nim jakaś zasadnicza idea, którą się kieruje w swoich zapatrywaniach na świat, na ludzkość i na życie narodów, to jest nią filozofia Schopenhauera, której rezultaty, co się tak często zdarza niedouczonym adeptom, wziął sobie on daleko goręcej do serca, niżeli sam Schopenhauer. Owoż Schopenhauer, co może nie wszystkim Waszmościom wiadomo, wynalazł taką filozofię, która utrzymuje: że ten świat jest najgorszym ze wszystkich światów możliwych, że jest piekłem cierpienia, że każdy żyjący człowiek jest rozbójnikiem, złodziejem albo oszustem, « przed którym trzeba naprzód zamknąć kieszeń, a potem usta i serce », że człowiek tylko tyle szczęścia może zażyć na ziemi, ile go bliźnim swym wydrwi, wykradnie lub wydrze, że każdy w ten sposób o siebie troszczyć się powinien, bo za grobem nie masz dla niego nic oprócz wiecznej

nicości. Czy Pan Hausner wie także o tem, że ten sam Schopenhauer w innem miejscu powiedział: « że Niemcy są najgłupszym narodem ze wszystkich i tylko dla tego uzyskali pewną przewagę, że nie mają żadnej religii? »

— Zaprawdę, — zawołał na to Xiądz Staszic, — cóż za instynkt szczęśliwy wybrać sobie takiego filozofa za przewodnika!

— Cóżkolwiekładź, — mówił dalej Stanisław Kostka, — taką filozofiją przesiąkły, a upojony nad miarę pierwszym swem powodzeniem, Pan Hausner zerwał się zaraz do publicznej prelekcji, którą zamierzył wziąć szturmem opinii publiczną całej Austrii, a może i całych Niemiec. Gdyby mu się ten zapęd był udał, byłby go oczywiście przeniósł z duszą i ciałem na powrót pomiędzy Niemce. Ale mu się nie udał, bo władza zakazała prelekcji, czem mu jednakże wyrządziła wielką przysługę, bo prelekcya ta, ogłoszona przezeń w jednym z dzienników wiedeńskich, zdradziła całą płytkość jego wiedzy, była to bowiem tylko nomenklatura rozmaitych objawów ludzkiego geniuszu, jaką każdy może sobie złożyć z pierwszej lepszej encyklopedyi. Wszelako to *mixtum-compositum* było znów nawiedzone duchem Schopenhauera, według którego ta ziemia jest ciężkiem więzieniem, a ludzie na niej żyjący skazani na ciężkie roboty dożywotnie, bez żadnej nadziei na przyszłość, bo nie masz żadnego życia za grobem.

W tej chwili Imć Pan Pasek, który stał przy mnie, naprzód siebie, a potem i mnie obmacał i wziął mnie pod ramię; a kiedym go spytał: co to znaczy? on mi odpowie:

— Chciałem się przekonać, czy jeszcze żyjemy, bo już

mi się zdało, że Pan Hausner z Schopenhauerem na nas dmuchają, aby nas zdmuchać z naszego świata.

Więc ja mu na to:

— Nas on nie potrzebuje zdmuchiwać, bo duchy nasze nigdy dla niego nie istniały. A potem, nie przerywaj Waść, bo tych rzeczy nie prędko gdzie indziej usłyszysz. Wiesz, co to jest, kiedy w Polsce kogo okrzykną, jako ma rozum. Jest-to przywilej na wszelkie głupstwa, dany na długie lata. Zarazby tego ukamienowano, ktoby powiedział inaczej, — a nikt nie ma odwagi pójść na dno, zbadać gruntownie wartość i gatunek rozumu, i powiedzieć otwarcie, że to są tylko pozory rozumu. Uważałeś Waść, że i Stańczyki tylko go lekko drapali i rozmaite psoty mu wyprawiali za jego polityczne zasady, a zresztą....

— Ba! — rzecze Pasek, — nie działo się to bez racyi....

Ale tymczasem Pan Stanisław tak mówił dalej:

— Pytam się tedy, cóż poseł takich przekonań, bez żadnego wzniesłego uczucia, bez czci dla kogokolwiek, bez wiary w cokolwiek, bez miłości, bez nadziei, bez Boga, może dobrego utworzyć dla Polski, której cała duchowa istota składa się z miłości, wiary i nadziei? Od Hausnera do Stańczyków nie tak bardzo daleko, jak się to zdaje na pierwszy rzut oka, natomiast zaś bardzo blisko do Spasowicza, to też pomiędzy tymi trzema prądami nigdy zawziętej wojny nie będzie; przeciwnie będą i nieraz milczkiem zawarte sojusze. Cóżkolwiekby, jest rzeczą aż nadto widoczną, że Pan Hausner nie jest z nami związany świadomością ducha narodowego, przeciwnie, wiąże go z Niemcami związki krwi i tożsamość idei. Liberalizm Pana Hausnera jest niemieckim, jest może ogólnościato-

wym, ale nie polskim, — a jeżeli mu się zdaje, że te wolnomyślnie idee, które czasem wypowiada, są w Polsce nowe, to tem tylko dowodzi, że nie zna historii polskiej, a mianowicie historii porozbiorowej. Tej historii znać on nawet nie może, bo tylko jedna jej część jest spisana; druga i najważniejsza, obejmująca historję przeobrażania się ducha narodowego, żyje tylko w ustnej tradycyi, dziedziczy się z opowiadań ojców i dziadów, wpaja się w serca z mlekiem matek, i nigdy spisana nie będzie, bo duch, który jest narodową miłością, nadzieją i wiarą, nie da się na papierze uwięzić. Przenieśli go wprawdzie w pewnej części na papier wybrani wieszczowie narodu, ale wyczytać go z ich powieści i pieśni tylko ten potrafi, który ma grunt do tego przysposobiony w krwi swojej. Gdyby Pan Hausner wiedział, jakie walki poza-sejmowe toczyły się między nami podczas Wielkiego Sejmu, jakie tam skrajne liberalne zasady miały gorących rzeczników, jakie ogromne ustępstwa ci rzecznicy musieli poczynić, aby w Konstytucyę Trzeciego Maja nie weszło więcej liberalizmu, niżeli go naród naówczas mógł strawić, a względy na ościenne mocarstwa dozwolały dopuścić; gdyby Pan Hausner znał tej samej natury walki, jakie się między nami toczyły w legionach; gdyby nareszcie był tylko czytał pisma demokracji emigracyjnej: toby prędko zrozumiał, że my się liberalizmu uczyć ani potrzebujemy, ani możemy od centralistów niemieckich, — a zarazem-by pojął, jak ogromna zachodzi różnica pomiędzy duchem tej praktycznej wolnomyślności, która do naszej przypada natury, a tego teoretycznego liberalizmu, w którym Niemcy upatrują swoje zbawienie. Liberalizm w Polsce nie jest rzeczą no-

wą; historia nas uczy, że jest on nawet daleko starszym, niżeli liberalizm niemiecki, — a wolnomyślni Polacy żądają dziś od rządów zaborczych tylko małej części tych swobód, do jakichby byli instytucje swoje rozwinęli, gdyby od roku 1791 do dziś dnia mieli samorząd.

— Oczywiście, — rzekł na to Lelewel. W roku 1791 Niemcy zajmowali się tylko filozofią i literaturą, w których wyrażały się teoretycznie główne liberalizmu zasady. Tu i ówdzie znalazł się jaki Niemiec, który się samopas zapalił do zasad Rewolucyi Francuskiej, ale żaden z krajów niemieckich podówczas jeszcze nawet ani zamarzył o sformułowaniu tych swobód politycznych, jakieśmy sobie Ustawą Trzeciego Maja nadali. Liberalizm polityczny zaczął się w Niemczech rozwijać dopiero po roku 1830, o przyjął widome formy dopiero w roku 1848.

— W tem zresztą położeniu, — mówił po tej przerwie Stanisław Potocki, — w jakim się dziś Galicya znajduje, należy nam do wartości liberalizmu inną przykładać miarę, niżelibyśmy ją przykładali wtedy, gdyby Polska była państwem udzielnem. Dla czegóż-to stronnictwa tak zwane liberalne w Polsce, czy-to kierowane z Paryża albo z Wersalu, czy przez domorośłych demokratów lub demagogów, nigdy nie uzyskały stałej większości w kraju? Udawało im się z łatwością zawiązywać sprzysiężenia, organizować demonstracje publiczne, a nawet wywoływać powstania, ale tylko dla tego, że do nich wzywali, — nie w imię demokracji lub demagogii, — tylko w imię niepodległości Polski. Na takie hasło zawsze znaleźli posłusznych: bo jak się ma lat dwadzieścia, a wzywają do poświęcenia krwi swojej dla Polski, to krew polska nie da

usiedzieć w domu, — a takich, co mają lat dwadzieścia, jest zawsze liczba dostateczna, aby zapełnić kadry, utworzone przez sprzysiężonych. Lecz nigdy nie zdarzyło się w Polsce, aby sam sztandar liberalizmu potrafił masy poruszyć. Klubiści Warszawscy w roku 1830 zostali tak samo przez Rząd narodowy odepchnięci, jak przez ogromną większość opinii publicznej, chociaż było to w Polsce po wszystkie czasy jedyne stronnictwo liberalne, którego główna zasada: poruszenie mas i przeniesienie powstania na Litwę i do krajów zabranych, była opartą na prawdzie i jasnym widzeniu. W roku 1848 Galicya paliła się na zimno do austriacko-konstytucyjnych swobód, — a w Xięstwie poruszyły się masy nie za konstytucją, tylko za niepodległością Polski. Skąd-że to zjawisko pochodzi? Oto stąd, że przywódcy stronnictw, nazywających się liberalnemi albo demokratycznemi, kładą naprzód liberalizm, kiedy tymczasem ogół narodu, trafnym instynktem wiedziony, stawia narodowość przed liberalizmem. Stąd idzie, że i demokraci, chcąc pociągnąć opinię publiczną za sobą, muszą się uciekać do hasła patryotycznych. Ale stąd także idzie, że ani liberalizm sam w sobie, ani konserwatyzm, wypierający się idei niepodzielności i niepodległości narodu, nie pociągnie u nas, ani ogółu, ani nawet jego większości za sobą, bo jedynym sztandarem narodu jest — Polska. I tak będzie aż po wiek wieków, dopóki Polacy żyć będą na ziemi.

Nie masz tu między nami ani jednego ducha, który-by myślał inaczej. Ci, którzy byli innego zdania, smażą się w piekle, albo też oczyszczają się ze swoich grzechów w ogniach czyścowych. Dla tegośmy wszyscy milczeli. Pan

Stanisław zaś, odetchnąwszy, kończył rzecz swoją w ten sens:

— Z czegoż tedy się składa polityczny zawód Pana Hausnera? Oto wybrany posłem do Sejmu Monarchii, przesiedział w nim lat parę, nie zwróciwszy niczem na siebie uwagi. Nie należał on już i wtedy do posłów niemych, ale, rzecz dziwna, nie potrafił sobie zdobyć nawet uznania swojego daru wymowy. Jedyłą rzeczą, którą się niejako odznaczył, były wielokrotnie usiłowane porywy wyłamania się z pod karności regulaminu Koła. Co my o takich zamachach rozumiemy, tośmy już powiedzieli. Tutaj zatem tylko dodać potrzebujemy, że u Skrzyńskiego były one po prostu skutkiem rozdrażnienia nerwów, ale u Pana Hausnera, który miał nerwy zdrowe, brakiem poczucia narodowej jedności. Wyłamał on się nareszcie stanowczo z tej karności i powiedział ową mowę przeciwko okupacy Bośni, która dała rozgłos jego nazwisku. Mowa ta, w gruncie rzeczy, nie była ani lepszą, ani gorszą od wszystkich innych, które ten mówca powiedział przedtem i potem; jeżeli zaś sprawiła tak wielkie wrażenie, to tylko dla tego, że Pan Hausner był pierwszym, który miał odwagę albo zuchwalstwo, jak to sobie kto zechce nazwać, zaatakować gwałtownie i z podniesioną przyłbicą przywódców niemieckiego zachowawczego stronnictwa, a zarazem obrońców narodowości, jakimi byli: Hrabia Hohenwart, Xiążę Lichtenstein i Monsignor Greuter. To też było jedynym powodem, dla którego centralistyczni Niemcy przyklasnęli tak głośno tej mowie, albowiem dotychczas żaden z nich nie miał odwagi uderyżyć w pierś tych naczelników polityki narodowościowej, któ-

rzy jakkolwiek znienawidzeni przez nich do najwyższego stopnia, imponowali im przecież znamienitością oratorskich zdolności, siłą przekonań i obywatelską odwagą. Przymięszała się też do tego powodu także i pieprzna uciecha z tego, że jeden z posłów polskich opuścił sztandar narodowy, a przeto przynajmniej na chwilę osłabił partyę polską w Sejmie rakuskim. Cóżkolwiek bądź, poklask, jakim Niemcy zapłacili Panu Hausnerowi za ten wyskok odwagi, był kolosalny. Pisma ilustrowane przyniosły jego konterfekt, wszystkie dzienniki centralistyczne i konstytucyjne zapełniły swoje łamy pochwałami jego oratorskiego talentu, który się tak niespodziewanie wyłonił, wszyscy trębacze i fajfry niemieckiego liberalizmu głosili jego sławę i cały Wiedeń się nim bawił od *Neue Welt* aż do *Wurstelprateru*. Pan Hausner tanim kosztem zdobył sobie szczęście pączka pływającego w wiedeńskim maśle:

*Marianka sitzt im Ringelspiel,
S' is a Hetz und kost nicht viel.*

Mowa ta, ze stanowiska naszych interesów wzięta na oko, była krokiem fatalnym, a zarazem złożyła niezbity dowód, że Pan Hausner nie ma w swej głowie ani cienia zmysłu politycznego. Za jej przewodem bowiem poseł polski przeszedł z rozwiniętymi sztandary do obozu centralistów niemieckich, naszych wrogów, a w tym pochodzie podeptał niebacznie tych właśnie Niemców, którzy jak Hohenwart, Lichtenstein, Greuter i inni, walczyli razem z nami o swobody dla narodowości polskiej. Jakoż wystąpienie to sprawiło niezmiernie ckliwe wrażenie

w Kole polskiem, — i byłoby takie wrażenie sprawiło nawet wtenczas, gdyby temperatura liberalizmu w Kole była równą albo nawet i wyższą od temperatury liberalnej Pana Hausnera, bo czyn taki, który popiera nieprzyjaciół kraju, a depce jego przyjaciół, musiałby być potępionym przez każdego Polaka, jakiegokolwiek jest jego przekonanie polityczne, jeżeli tylko jest polskie. Wallenrodyzm nawet w teorii nie wytrzyma krytyki ze stanowiska politycznej moralności, w praktyce zaś nigdy żadnego pożytku nie przyniósł Polsce. Stanowiska wpływowe zdobywane przez Polaków u rządów zaborczych służyły tylko im samym za pokrywkę ich celów egoistycznych, lecz nigdy nie usłużyły krajowi, a bardzo często przyniosły mu szkodę. Dowodem tego Wielopolski i tylu innych. Kto chce być pożytecznym krajowi za pomocą wpływów na który z rządów zaborczych, ten powinien naprzód pozyskać stanowisko w kraju, stanowisko takie, któreby obudziło cześć i szacunek u rządu, a dopiero wtedy może on pozyskać u tegoż rządu wpływy takie, którymi odda usługę krajowi. I Gołuchowski dopiero wtedy oddał znamienite usługi krajowi, kiedy go kraj swoim zaufaniem obdarzył i jednogłośnie zażądał jego nominacji na Namiestnika. Nie poparty przez kraj, a mimo to zamianowany rządcą Królestwa, Wielopolski obudził nieufność, niechęć i opozycję całego kraju przeciwko sobie, aż nareszcie wywołał « krwawe starcie » pomiędzy narodem a rządem rosyjskim. Opierając się tylko na zaufaniu rządu, ostatecznie tylko samemu rządowi wyrządził przysługę. Większość dzienników polskich, olśniona tym wielkim sukcesem Pana Hausnera, dała mu

z razu bardzo silne poparcie. Gdyby Pan Hausner miał zmysł polityczny i niezbędną do odegrania ważnej roli wytrwałość, to byłby w tem poparciu znalazł podstawę do dalszego działania, — a postępując rozumnie, energicznie, wytrwale i ze świadomością swojego celu, mógłby być może pozyskać dla liberalnych przekonań większość posłów polskich, a wtedy i zmienić gruntownie błędną w swych głównych zasadach politykę Koła. A gdyby mu się to było nie udało i gdyby był « padł śród zawodu », to nawet jego upadek byłby mu przyniósł wielką korzyść moralną, bo zawsze pociąga za sobą *vir tenax propositi*, padający w walce szlachetnej ofiarą swoich przekonań. Ale Pan Hausner przestraszył się gromów, które nad jego głową zgromadziły się w Kole, — i niebawem drugą powiedział mowę, którą swoich słuchaczy nauczył, że w gruncie rzeczy nie ma żadnych przekonań, a którą się z obozu liberałów wycofał i znowu do wiernopoddańczych mameluków przybliżył. Toż mowa ta i następne przyniosły mu tylko pogardliwy uśmiech ze strony Niemców, a upokarzające przebaczenie ze strony Koła.... W przeciągu czasu pomiędzy pierwszą a drugą mową obiegały wieści po bruku wiedeńskim, jakoby Pan Hausner kwalifikował się na ministra. Jakiej teki? to wszystko jedno. Byłby przyjął tak samo tekę skarbu i handlu, jak rybołówstwa lub napowietrznej żeglugi. Ale nie wiedział on o tem, że konsekwentność w postępowaniu nie jest wprawdzie koniecznością dla ministra będącego u władzy, ale ministrem w państwie konstytucyjnem zostaje się tylko konsekwentnem i stałem wyznawaniem pewnych zasad. I Dunajewski nie byłby został ministrem, gdyby nie był

miał tej zalety, że od czasu jak wstąpił na scenę publiczną, stał niewzruszenie przy pewnych, dokładnie i ściśle określonych zasadach. Rzecz niezawodna, że z powodu tych zasad będzie musiał swojego czasu swój urząd porzucić; ale i to także pewna, że pozostanie w historyi jako austriacki mąż stanu *aus einem Guss*. Ministrowi bez teki zasad politycznych nie trzeba, bo ten tylko tę jedną ma mieć zasadę, iż jego obowiązkiem jest bronić interesów kraju w każdym wypadku i wedle każdorazowej możliwości. Pan Hausner może jeszcze kiedy zostanie jakim hof-ratem bez teki. Jeden z żyjących poetów nazwał go posłem « exterytoryalnym »: nic trafniejszego nad to określenie. Toż w tem znaczeniu może on w kwestyach administracyjnych i innych sprawach bieżących pożyteczne oddać przysługi, ale politycznej roli w żadnym kierunku już nie odegra. Z tych statystyczno-filozoficznych otrębów polskiego chleba nie będzie. *Guarda e passa!*

LIST SZÓSTY

Z początkiem roku 1883.

Noc ciemna, choć oko wykol. Słońce zagasło i wszystkie gwiazdy zniknęły z widokregu. Czarne chmury piętrzą się jedno na drugich, i tylko dla tego, że jedne są mniej czarne niż drugie, można rozróżnić przedmioty. Po między tymi chmurami widać gdzieniegdzie jakieś umarłe ciało niebieskie, świecące martwym światłem jak próchno. Tu i ówdzie przemknie się jakiś zbłąkany kometa: wydaje on się ciałem ogromnem, ale cała jego substancja składa się z kilkunastu centnarów wody. W innym woda się zamieniła w tysięczne iskierki mrozu, które się kłębią pomiędzy sobą, a oświetlone z dołu odblaskiem płomieni piekielnych, przedstawiają jakoby ruchomy tuman śnieżycy. Z jednego i z drugiego nic nie zostaje; wszystko-to tumany, które nie zostawiają za sobą drogi świetlanej, tylko jeszcze czarniejsze ciemności się za nimi zwierają. Po pod chmurami widać przelatujące czarne postaci,

w długich płaszczach akademickich, o twarzach wyblądłych, z zielonemi oczyma, z których wygląda chytróść i chciwość, i żądza rozsiewania ciemnoty i głupoty, słuźalstwa i upodlenia. I to także tumany. Zresztą noc nieprzebyta. Tak wygląda to niebo, jakie nad Polską chciałiby rozpiąć profesorowie nowej szkoły krakowskiej.

Na ostatniem tle rysują się jakieś widoki. Zdaje się, jakobyśmy widzieli zamek Wawelski i kościół Panny Maryi. Musi tam być i kopiec Kościuszki, ale go nieprzedartą ciemnością zakryto. Północ wybiła, pierwszy kur zapał, w kamienicach widać tylko jeszcze gdziegdzie migocące światełka. Na bruku szarzeje jakaś postać, wesoła i rumiana, rusza się, idzie, ale nie wiezieć, skąd wyszła i dokąd zmierza. Słysząc tylko piosnkę, której słowa się przerywają i giną w powietrzu:

A jeżeli się wszrubuję,
Gdzie diabełka utną,
Tak im kieszeń wypucuję,
Że w niej same płótno.

Ostatnie dwa wiersze powtarzają się jeszcze raz, postać stoi, widać, że jej jeszcze zawcześnie do snu.

Tymczasem zarysowuje się kościół św. Jura. Odległość-to daleka, ale stąd zdaje się, jakby stał tylko o sto kroków od kościoła Panny Maryi. Tam także widać migocące światełka, ale w przyziemiach kamienic, a przytem słysząc brzęk jakby w ulu. Może to są warsztaty; może się przygotowują jakieś wybory. Światełka gasną powoli, widać gromadki ludzi, wracające do domów i nucące pieśń: « Jeszcze Polska nie zginęła ». I tutaj na bruku

okazuje się postać: konfederatka na głowie, rysy surowe, ale uśmiechające się z zadowoleniem. Może to jaki znajomy, ale trudno go poznać, bo się «perekidaje», jak mówią na Rusi. Stanął, spojrzął na bruk krakowski i uśmiechnął się złośliwie.

Obydwie postacie się spotykają.

Jakiś duch, z błazeńska przybrany, przelatuje powietrzem i chichocząc się, śpiewa:

Skąd facety wracają? Z nocnej wracają wycieczki,
Niosą tupy bogate, w klubach i cechach zdobyte...

Obydwie postacie głośnym wybuchają śmiechem.

— Cha, cha, cha!

— Cha, cha, cha!

— Cóż tam «Czas?»

— Zbawi kraj, zbawi nas.

— Cha, cha, cha! wszystko w las!

Ale jak tam abonenci?

— Za protekcją Excellencyi....

— Cha, cha, cha! jest ich sześć.

— Miej cierpliwość, będzie więcej.

A tymczasem bez urazy,

Już jest dziś do dwóch tysięcy.

— Cha, cha, cha! dam się zjeść!

Dam się zjeść siedm razy.

— A «Gazeta?» — Wista, heta?

— U mnie wyżej trzech tysięcy.

— Cha, cha, cha! ale jacy?

— Jacy? tacy. Wciąż ci sami,

Zgodni ze mną zasadami.

— Cha, cha, cha! Ot, chodź ze mną,

Ziemia śmieje się podemną,

Niebo śmieje się nad nami.

Patrz, to światło za oknami

Aż do kości mnie przenika.

Ot, chodź ze mną: może ćwika?

Albo wiesz co? a ja za tę, a ty za tę,

A ja Katarzynę, a ty Małgorzatę....

— Wiesz, że jak żyję,

Nie gram, nie piję....

— Widać demokratę!

— A ty taki!

— A ty siaki!

— Trzask!

— Prask!

Rzucają się na siebie, słysząc tarzanie się po ziemi, widać błoto bryzgające na przechodniów, na domy, na kościoły, na zakłady publiczne, na patryotów, na bohaterów, na męczenników, na całą Polskę.

Kur zapiał po raz drugi i trzeci. Czarne duchy znikają. Noc się zaczyna przeredzać. Pomiędzy grubemi warstwami chmur pokazuje się tu i ówdzie gwiazdka błyszcząca. Na dalekim wschodzie widać jakoby pierwsze brzaski poranne. Świeże powietrze, które mi skronie obwiewa, zapowiada dzień jasny i piękny, lecz może skwarny. Widywałem nieraz takie przedświtę przed wielkimi bitwami. Ciężki sen jeszcze leży na całym obo-

zie. Obejmuje go cisza grobowa. Tylko tu i ówdzie żołnierz wstaje ze swego noclegu i, klęcząc, odmawia modlitwę, prosząc Boga o błogosławieństwo dla swego oręża. Niebawem obaczym ruch około namiotu naczelnego wodza. Potem usłyszym strzały na forpocztach. Aż wreszcie, wśród trąb i bębnow odgłosu, cały obóz się zerwie i zabłyśczy tysiącami promieni w blasku jutrzni wschodzącej. Tymczasem jeszcze śpią wszyscy: ale iluż jest między nimi, którzy na to tylko wstaną, aby się położyć na wieki.....

Pierwszy się zjawił koło mnie Niemcewicz, — forpocztowy-to żołnierz, — i rzecze do mnie z uśmiechem:

— Że też ty, mój Nieczujo, zawsze sobie jakieś sny tworzysz, które cię gniołają jak zmory.

A ja mu na to:

— Myślałem właśnie o dziennikarstwie, ale nie będąc wersatem w tych rzeczach, ot! jakie mi się wyroiły marzydła.

— Dziennikarstwo nasze, — odpowie Niemcewicz, — nie jest takim, jakim być powinno w naszym teraźniejszym położeniu. Dziennikarze nasi, zmuszeni jeszcze zawsze poprzestawać na bardzo chudym kawałku chleba, rekrutują się w znacznej części pomiędzy ludźmi, którym niezawisłe od nich wypadki nie dozwoliły nauk dokończyć, — a stąd idzie, iż brak im często tej książkowej podstawy, bez której nawet najznamienitszy talent nie wykształci się na wzorowego pisarza. Pośpiech zaś w pracy, na który są skazani, nadużywa ich siły i rozdrażnia ich nerwy, — i dla tego rzadki pomiędzy nimi jest ten, który potrafi niedostatki swojej nauki później wypełnić

i przyjść do tej równowagi umysłu, którą dać może tylko zupełna dojrzałość. Stąd też wynika, że walki pomiędzy nimi są zawsze tak namiętne, a często nawet gorszące. Ale myślą się ci, którzy takim zjawiskom przypisują tak wielkie znaczenie, żeby aż nad nimi należało rozpaczać. Dziennikarstwo nasze powinno być bardzo rozważnem, to prawda; ale jest to tylko teoria, bo w praktyce nie może ono być innem, tylko takim, jakim jest w całej Europie, której my jesteśmy częścią składową. Jeżeli Pan Tarnowski jeszcze w roku 1874 powiedział, że dziennikarstwo jest « kapłaństwem », to za jednym zamachem, co mu się zresztą nie rzadko wydarza, rozminął się z prawdą i z konsekwencją. Bo najprzód, pojęcie to było tylko przez krótki czas nigdy nieureczywistnionem marzeniem romantyków, a romantycy nie byli nigdy nauczycielami tego pisarza, — a powtóre, dziennikarstwo nie było nigdy « kapłaństwem », nie jest niem i nigdy nie będzie. Według pojęć, od dawna w całej Europie utartych, dziennik jest takim samem przedsiębiorstwem przemysłowem, jak papiernia albo piekarnia, — a celem jego jest, tę sumę światła, jaką ludzkość produkuje w przeciągu dwudziestu czterech godzin, zebrać, uwięzić drukiem i znowu pomiędzy ludzkość rozrzucić. Im więcej światła który z dzienników potrafi zebrać i im zręczniejsze potrafi rozrzucić, tem lepiej odpowiada swojemu celowi, — i tem lepiej mu się powodzi. Cel zręcznego i skutecznego rozrzucenia światła zniewala największą część dzienników do nadawania temu światłu pewnego politycznego, społecznego albo religijnego koloru, ale tak w tym wypadku, jak w każdym innym, kolor przedmiotu

jest tylko kolorem, a nie samym przedmiotem. Jeżeli są dzienniki, które kolor biorą za przedmiot, to nie idzie wcale za tem, aby ich omyłka zmieniła prawdę, — a jeżeli są inne, których celem jest farbowane światło rozrzucać, to służą one tylko tym, którzy farbowanego światła szukają, ale nie ogółowi. Celem dziennika jest rozszerzanie światła w tej postaci, w jakiej ludzkość je produkuje, i zgoła nic innego, — a jeżeli do pewnego czasu rozumiano, że dziennik może wywierać wpływ na opinię publiczną, to już dawno się przekonano, że była to tylko ogólnie rozpowszechniona omyłka. Dziennik tylko dostarcza ogółowi środków do wyrobienia opinii publicznej, ale sam ani jej tworzy, ani też nią nie kieruje. Jeden z najpierwszych dziennikarzy we Francyi, a zarazem i w Europie, sam się przyznał na starość, iż wśród swojego pięćdziesięcio-letniego zawodu i za pomocą kilkunastu dzienników, które założył, nie zdarzyło mu się ani jednego razu wywrzeć stanowczego wpływu na opinię publiczną. Z takiego na dziennikarstwo zapatrując się stanowiska, pytam się, ażali to jest tak ważnem, albo też tak niezwykłym zjawiskiem, że te lub owe dzienniki się ze sobą poczubią? Jedyne szkoda, jaka stąd dla publiczności wynika, na tem się ogranicza, że te miejsca, które zapełniły swojemi sporami, mogłyby być wypełnić pracami pożytecznemi dla czytelników. Ale i to się odnosi tylko do sporów o wpływy na publiczność, o abonentów, o chleb powszedni. Są wszakże spory o zasady i przekonania, — a tym zapewne nikt nie odmówi pożyteczności nawet w takim razie, jeżeli namiętność uniesie walczących po za granicę przyzwoitości, a choćby nawet dójść miała do

osobistości. Nie masz walki bez ofiar, a z walk duchowych zawsze ogół odnosi pożytek. Walka zaś o zasady i przekonania jest obowiązkiem dzienników. Jak żołnierz jest na to żołnierzem, ażeby bronił fizycznych granic ojczyzny, tak dziennik powinien bronić skarbów duchowych narodu, a tylko ignorant, albo świętoszek może po dziennikach wymagać, aby każdy z nich zamknął się w sobie i wstrzymał się od walki z tymi, którzy w jakibądź sposób naruszają moralną własność ojczyzny. Bądź tedy spokojny, mój Panie Marcinie, i nie frasuj się wcale dziennikarskimi sporami. Natomiast zaś ciesz się, że liczba dzienników polskich wciąż wzrasta, i bądź przekonany wraz ze mną, że jakiegokolwiek będzie ich zachowanie, oświecenie publiczne na tem tylko skorzysta.

Kiedy Niemcewicz to mówił, już dzień zaczęło i coraz bielsze światła nas uderzały od wschodu. Zaczęli się też koło nas gromadzić nasi uczeni, mieszając się do naszej rozmowy.

Zaczem Pan Jan Śniadecki zabrał głos i tak mówił:

— Nie odmawiam ci, Panie Julianie, prawa do wydawania sądu o tych rzeczach, bo sam należałeś do naszych dziennikarzy walczących i znałeś wartość walk duchowych już przedtem, nim nas Mochnacki nauczył, jak wielki one rozwojowi światła w narodzie przynoszą pożytek. Ale do twego ogólnego określenia tej sprawy należy dodać i to i owo. I tak naprzód muszę powiedzieć, że jakkolwiek także jestem zdania, iż trudno od człowieka wymagać, ażeby w walce nie był namiętnym, i jakkolwiek sprawiedliwość każe przymrużyć oczy, jeżeli walczącego namiętność uniesie po za granicę przyzwoi-

tości, a choćby nawet do osobitości; to jednak i tym przekroczeniom należy zakreślić pewną granicę, bo każda czynność ludzka, jeżeli ma być dla ogółu pożyteczną, powinna pewnym ulegać prawom, inaczej popada w bezprawie, a wtedy może być wprawdzie jednemu pożyteczną, ale dla ogółu będzie szkodliwą. Otóż w tym razie, tak mi się zdaje, że tą granicą powinna być dobra wiara. Zasada ta odpowiada tak samo chrześcijańskiej nauce, jak każdej etyce, na jakichkolwiek takowa się opiera zasadach. Kto zgrzeszył w dobrej wierze, temu należy ostatecznie przebaczyć; ale kto choćby najmniejszy występki popełnił w złej wierze, ten winien być potępionym. Zasada ta, to się samo przez się rozumie, odnosi się tylko do strony moralnej dzienników; ich strona polityczna to rzecz całkiem inna. W polityce można największą popełnić zbrodnię w dobrej wierze, tak jak źle zrozumiany patriotyzm może się stać czasem powodem bardzo szkodliwych dla społeczeństwa występków. Z takiego na dziennikarstwo nasze zapatrując się stanowiska, cóż spostrzegamy? Oto dzienniki Lwowskie, odznaczające się od początku swego istnienia niezwykłym ferworem, grzeszą częstokroć bezmiarem namiętności. Zdarzały się tam chwile walk namiętnych, przekraczających granice przyzwoitości i nurzających się w osobistościach. Wynikało stąd niemałe zgorszenie, które potępiała jednogłośnie cała opinia publiczna, nawet w Poznaniu i Warszawie. Ale czy te walki odbywały się z dobrą czy złą wiarą, tego nawet wcale nie potrzebujemy dochodzić, bo nie walczyliśmy tam ani o zasady, ani o sprawy publiczne, tylko o rzeczy czysto osobiste. Ile zaś razy dzienniki Lwowskie, mia-

nowicie co znamienitsze, wystąpiły do walki o zasady, o przekonania, o interesa kraju lub całej Polski, to zawsze na podstawie tradycyjnej polityki polskiej i zawsze trafnie pojmowały interesa narodu. Którąkolwiek z tych szczegółowych kwestyi weźmiemy bliżej na oko, o które one z dziennikami nie-Lwowskiemi różnymi czasy walczyły; czy-to chodziło o obchód Unii, czy Konstytucyi Trzeciego Maja, czy Listopadowego Powstania, czy o wystawę Lwowską, czy o Rezolucyę, czy o jubileusz Kraszewskiego, to zawsze znajdziemy, że miały słuszość, a wywody ich odpowiadały zdrowym uczuciom niezbałamuconej większości narodu. Nie przeczę temu, że w te ogniste polemiki może się zakradł tu i ówdzie jaki argument, który nie mógł wytrzymać surowej krytyki; przypuśćmy nawet, że czasem cała argumentacya, nie umiając utrzymać swego ferworu na wodzy, przekroczyła granice tego, czego właśnie dzisiaj krajowi potrzeba: mimo to przecież nikt nie zaprzeczy, że temu, który walczy w obronie prawdy, wiele przebaczyć można, a nawet koniecznie przebaczyć trzeba. W tym razie konieczność przebaczenia podrzędnych wykroczeń była tem więcej usprawiedliwioną, ile że strona przeciwna walczyła nie tylko z namiętnością, ale z zaślepieniem, że się rzucała na najświętsze uczucia i najwyższe dobra narodu, a występowała w obronie fałszu i interesów egoistycznych więcej niżeli podejrzanego stronnictwa. O « Tece Stańczyka » już tutaj mówiono i określono, jak mi się zdaje, dosyć dokładnie całą przewrotność zawartych w niej zasad i dążeń. Podniesiono także znaczenie innych emanacyi pismiennych tego stronnictwa, które mniej albo więcej mają doniosłość czynów,

jak to Pan Szujski sam utrzymuje w swojej odpowiedzi, danej Doktorowi Bilińskiemu. O dziennikarstwie tego stronnictwa wspominaliśmy dotąd tylko mimochodem. I ja też o niem nie mogę mówić wyczerpująco, bo na to trzeba mówić dni kilkanaście, a zresztą to, co o tem już napisano na ziemi, stanowi prawie małą bibliotekę. Ja tylko mówię o walkach dziennikarskich, a i tu jeszcze z całego tysiąca stańczykowskich artykułów polemicznych podniosę tylko kilka co najgłówniejszych, które Stańczykom służą do dziś dnia za kodex moralny i polityczny i na które ciągle sami się powołują. Owóż jednym z nich jest praca Pana Tarnowskiego pod tytułem « Królowa Opinia ». Cóż-to tam znajdujemy? Oto o opinii publicznej tylko tyle, że Pan Tarnowski nie wie lub wiedzieć nie chce, czem jest opinia publiczna, że opinię publiczną mięsza z opinią stronnictwa i że, przyznałby chętnie opinii publicznej nawet władzę udzielną, gdyby jako opinię publiczną uznano opinię jego stronnictwa. Zapatrywanie się to na opinię publiczną nie jest ani wniosłem, ani prawdziwem, ani nawet nowem, bo nie różni się ono niczem od tego, jakie znajdziemy « Pod Trąbką » w Krakowie, albo « Pod szpiwającym Rybem » we Lwowie, gdzie się zgromadzają na piwo albo na miód kulikowski krzykacze pewnego politycznego odcienia. Ale, co gorsza, Pan Tarnowski, « utkwiwszy oczy w nieprzyjaciół szaniec », bijąc się w piersi i « licząc różaniec », znęca się nad dziennikarstwem Lwowskiem takimi wyrazy, jakie można usłyszeć tylko między straganami, a zmieszawszy je z błotem tak dosadnie, że już i twarzy jego nie rozeznąć, ogłasza wszem w obec i każdemu z osobna, że: « W Ga-

licy.... jest tylko jeden dziennik, od którego żaden w Europie czystszy, bardziej honorowym nie jest....., jeden z tych rzadkich, które ćwierć wieku żyjąc, nigdy się nie zmieniły....., nigdy przekonań swoich nie zaparły....., nigdy się nie ugięły....., nie ułękły....., nie płaszczyły....., ani przed rządami....., ani przed opiniami....., ani przed terroryzmem policyjnym, ani przed rewolucyjnym....., a tym dziennikiem jest — « Czas! »

Na te słowa tak głośny śmiech wybuchł pomiędzy nami, że przez długą chwilę nie mogliśmy się uspokoić. Już się też dzień zrobił i jużśmy byli wszyscy zgromadzeni, jak się zwyczajnie zbieramy na koło. Tym razem nawet zgromadzenie było liczniejsze niż zwykle, bo zbliżyli się do nas rozmaici pisarze nasi, którzy mieszkają w sferach niższych lub oddalonych, i zaczęły się nad nami unosić rozmaite duchy naszych uczonych, które rzadko się nam pokazują. Byliśmy tedy w owej chwili nie naszym zwyczajnym kołem, lecz prawie jak gdyby literacką biesiadą.

Tymczasem, kiedyśmy się uspokojili, Pan Jan Śniadecki nas spytał :

— Wiecież Waszmość, co to jest reklama? Otoż Pana Tarnowskiego artykuł o Królowej Opinii jest niczem innym jak tylko najniższego rzędu reklamą dla « Czasu. » Ażeby nie zapomnieć o niczem, należy dodać, że Pan Tarnowski w tym samym artykule wynalazł całkiem nową cenzurę, nie na druki, ale na dziennikarzy, i o tem tak mówi : « każdy kandydat na dziennikarza powinienby poddać się egzaminowi lub nowicyatowi dojrzałości a zwłaszcza uczciwości, po którym jakiś sąd przysięgły nowoczesnych prytańców świadczyłby o nim. » Pan Tar-

nowski chciałby zapewne złożyć sąd taki ze Stańczyków, którzyby zgłaszających się kandydatów pasował na dziennikarzy. Nie trudno zgadnąć, jakby dziennikarstwo nasze wyglądało natenczas....

Bardzośmy się temi uwagami rozweselili, a najbardziej się śmiali obadwa Potoccy z Lelewelem i Niemcewiczem, robiąc sobie wzajemnie rozmaite uwagi, których jednak nie dosłyszałem.

Tymczasem Śniadecki tak mówił dalej :

— Drugim takim publicystycznym utworem, na który stańczykowscy pisarze wielokrotnie się powołują, jest artykuł Pana Stanisława Koźmiana pod tytułem «Bezkarność.» Wątpię, ażeby Lelewel podobny temu dziwotwór znalazł w swym raptularzu. Według wymienionego autora grasuje w Polsce potrójna bezkarność : « staropolska, liberalna i biurokratyczna », — a jedynym przeciw niej środkiem jest tylko reakcyja, naturalnie, także potrójna : « społeczna, polityczna i kryminalna », reakcyja, « choćby krwawa i okrutna », powiada Pan Koźmian. Dla czegoż nie powiedzieć od razu « święta inkwizycyja ? » Jednak z pomiędzy tych wszystkich staropolskich, liberalnych i biurokratycznych zbrodniarzy, przeciwko którym należy użyć reakcyi, « choćby krwawej i okrutnej », najwięcej niecierpliwia Pana Koźmiana ludzie głupi. I nas także. Przyznaje on wprawdzie, z godną uznania szczerością, że głupcy znajdują się również w stańczykowskim obozie, a nawet « okazy te są doskonalsze » ; ale mimo to, albo właśnie dla tego, należy ich także karać « reakcyą krwawą i okrutną », oczywiście w tym razie reakcyą stańczykowskiego rozumu. Czy artykuł ten, będący zbiorowiskiem

ciemnoty i zaślepienia, a zarazem przeciwny chrześcijańskiej nauce, przeszedł także przez cenzurę stańczykowskich prytańców? Nie masz o tem wątpienia, bo przecież jest drukowany w «Przeglądzie», a Pan Szujski zalicza go także do kodexów moralnych szkoły krakowskiej w swoim Liście do Bilińskiego. Mimo to jest on niewątpliwie w jakimś delirium pisany i sprawia na nas takie wrażenie....., lecz dajmy pokój: zatknijmy nos, zamknijmy oczy i idźmy dalej.

Tymczasem Lelewel uśmiechnął się na to i rzekł:

— Gdybyś się był poradził mego raptularza, to byłbyś znalazł, że autor w tym artykule tylko zastosował i zamplifikował zasadę, wypowiedzianą przez swego dziada Kajetana w następującym czterowerszu:

Nędzna ludzkości! myśl o twojem zdrowiu,
Póki cię wściekłość w ziemi nie zagrzebie,
Śmieć użyć ryglów, żelaza, ołowiu,
A uratujesz społeczność i siebie.

Zapomniałeś zresztą dodać, że autor w tejże samej rozprawie powołuje się na «Królowę Opinią», chwając ją pod niebiosy. Pan Szujski chwali znowu «Bezkarńość», i zgoła, jak tylko który ze stańczykowskich pisarzy jaki artykułik poroni, zaraz jest drugi, który go za to ogłasza pisarzem gienialnym, i tak dalej, i tak dalej bez końca, i bez żadnego wyjątku.

— Cóż w tem dziwnego? — zawołał na to Jędrzej Śniadecki, — stańczykowscy pisarze muszą się chwalić pomiędzy sobą, bo wiedzą dobrze, że ich nikt inny nie pochwali.

— Takiemi natchnione zasadami i taką prowadzone metodą, — mówił dalej Pan Jan Śniadecki, — czemuże być może dziennikarstwo szkoły krakowskiej? Składa się ono głównie, nie licząc rozmaitych afiliacji podrzędnych albo przemijających, z dwóch pism peryodycznych: z « Przeglądu » i « Czasu ». « Przegląd », sądząc go ze stanowiska fachowego, jest źle redagowany, bo nie masz w nim jednolitości; ale ze stanowiska tendencyjnego być może, że bardzo zręcznie. Pan Tarnowski, jako jego dyrektor, wygląda w nim jak owa maszyna do poboru rekrutów, którą swojego czasu wynalazł Wąsowicz. Maszyna ta, jak wam wiadomo, jest podobną do wiatraku, jeno że zamiast czterech ma tylko dwa skrzydła, z których jedno mydli, a drugie goli. Czytając « Przegląd », widzimy oba dwa skrzydła w ustawicznym ruchu: są tam artykuły znaczne, rozumne i patryotyczne, które mydlą; lecz zaraz po nich idą drugie, kłamliwe, przewrotne i tendencyjne, które golią. W nagłych wypadkach « Czas » « Przeglądowi » przychodzi w pomoc, a wtedy « Przegląd » mydli, a « Czas » goli; ale we wszystkich okolicznościach:

Toujours mêmes acteurs et même comédie.

Pismo miesięczne, choćby bardzo konserwatywne, a nawet reakcyjne, mogłoby naukom, literaturze i sztukom, oddać znamienite usługi, ale tylko wtedy, jeżeliby było tak prowadzone, jak niegdyś « Przegląd Poznański », który gruntowną nauką, wzniosłością poglądów i wykwintnością estetycznego smaku, zniewalał nawet swych przeciwników do poszanowania dla siebie. Pismo takie byłoby pożytecznem, bo mogłoby się stać niejako śpichle-

rzem myśli i prawd wyborowych, które naród nasz produkuje, a które nie oddzielone od plewy giną w potopie książek i broszur, nie zasługujących na zachowanie w swojej całości. Miesięcznik taki mógłby także być pożytecznym, gdyby był tak redagowanym, jak « Wiadomości Polskie » które wprawdzie nie zajmowały się naukami, a literaturą i sztuką tylko o tyle, o ile tego rzędu utwory wywierały pewien wpływ na rozwój spraw narodowych; ale za to zapisywały skrętnie wszystkie narodowego ducha objawy, nie powodowały się nigdy duchem koteryi, nie poniżały się nigdy do forytowania spraw osobistych, a na wszystkie działania Polaków, jakichkolwiek politycznych odcieni, zapatrywały się zawsze ze stanowiska interesów całej Polski i zawsze z gorącą i niezłamaną wiarą w jej przyszłość. « Przegląd Polski » gruntownością nauki, wzniosłością poglądów i wykwintnością estetycznego smaku, ani nawet w przybliżeniu nie może się porównać z « Przeglądem Poznańskim », — a pod względem pojmowania spraw polskich i wyniosłej bezstronności w sądzeniu czynności rodaków, jest tak odległym od « Wiadomości Polskich », jak niebo od ziemi. « Przegląd Polski » nie jest nawet pismem, ani naukowem, ani literackiem, tylko tendencyjnym; organem stronnicy, koteryjnym, fakecyjnym, który chwali bezwzględnie, co wychodzi z pod pióra jego adeptów, a gani bezwzględnie, co jego przeciwnicy zrobią albo napiszą; który stronność swoją posuwa aż do okrawywania przysyłanych jemu historycznych pamiętników, o ile takowe nie odpowiadają jego tendencyom, i do przemilczenia dzieł i autorów jemu niemiłych, — a jeśli w swem zbiorowisku zamieszcza czasem artykuły

takie, którym pod względem patryotycznym nic nie masz do zarzucenia, to robi to oczywiście naprzód z tego powodu, że nie ma sił dostatecznych, aby mógł swoje łamy jednolitemi pracami zapełnić, lecz jeszcze daleko pewniej w tym celu, ażeby pomiędzy utwory patryotyczne mógł tem łatwiej przemycać truciznę swoich artykułów tendencyjnych, którą swoich czytelników napawa. Takim jest «Przegląd». O «Czasie» już tu niejednokrotnie wspomniano, nie mamy więc potrzeby rzeczy już powiedzianych powtarzać. Musimy jednak, wbrew stronniczemu sądowi Pana Tarnowskiego, podnieść z naciskiem, do którego upoważniają nas fakta: że «Czas» nigdy nie był honorowym, bo zawsze, nawet pod redakcją Manna, popadał w polemiki prowadzone w złej wierze i tak mało honorowe, jak salonowe; że, ówierać wieku żyjąc, niezliczoną ilość razy zmieniał swe przekonania; że się zawsze ugiął, bardzo często płaszczył, i przed rządami i przed opiniami, aż nareszcie się doprowadził do tego, że, z wyjątkiem klerykalizmu, w sprawie polskiej, a mianowicie w jej odniesieniu do trzech rządów zaborezych, nie ma żadnej opinii. Przez lat kilkanaście, odkąd «Czas» jest w rękach Stańczyków, opinie te zmieniają się w nim wedle powiewu wiatrów nikomu innemu nieznanym. I tak z początku był on austryackim *à tout casser*; później stał się moskiewskim, tumaniąc swych czytelników jakąś «grupą ludzi» w Warszawie, która miała zbawić Polskę przez Rosyę; nie doczekawszy się skutecznej czynności tej «grupy ludzi», a odprawiony z szyderstwem przez dzienniki moskiewskie, stał się znów austryackim; podczas wojny tureckiej był austryacko-moskiewskim i wtedy-to popadł

w owo delirium, w którym się ogłosił obrońcą « straży pożarnej » i « szlachetnej denuncyacji », w którym wykreślił Polskę i Polaków z teraźniejszości i przyszłości, i przyjął obecne granice geograficzne, a dopuścił tylko istnienie « polskiego żywiołu »; później, jeszcze raz oburzony niewdzięcznością Rosyi, znów się nawrócił ku Austrii, — aż w końcu, wzięwszy w rachubę niepewność Rosyi, a słabość Austrii, wyprawił stańczykowskiego magnata do Bismarka, ofiarując mu sojusz zaczepno-odporny z partją krakowską. Jeżeli tak postępują dzienniki rozumne i honorowe, to już wcale nie wiemy, na czym się zasadza postępowanie dzienników głupich i niehonorowych. Czy « Czas » zawsze był czystym? O tem nie nasza rzecz sądzić. My wiemy tylko, że odkąd jest w ręku Stańczyków, zawsze bez zastrzeżenia zamieszcza korespondencye biura prasowego i zawsze staje po stronie wszystkich ministrów, którzy są u władzy, bez względu na ich przekonania, a nawet bez względu na ich zachowanie się wobec Polaków. Mając takie fakta przed sobą, których nikt nie potrafi zaprzeczyć, czy Pan Tarnowski, czy może Pan Szujski.....

W tej chwili Xiążę Biskup wstał z swego siedzenia i mały ruch zrobił się w jego najbliższem otoczeniu. Widzimy wszyscy, że zaszedł jakiś ważny wypadek. Było to właśnie dnia siódmego Lutego. Więc Xiążę Biskup podniósł rękę i rzekł do nas z uroczystą powagą, a zarazem z pewnem wzruszeniem :

— Pan Szujski w tej chwili zakończył życie. Oddajmy mu cześć jako człowiekowi gorliwej pracy i dobrej woli. Zresztą, w obec świeżego grobu, nakazmy sobie milczenie.

Natomiast módlmy się Bogu za spokój duszy zmarłego.

Jakoż zaraz cisza zaległa pomiędzy nami i zatopiliśmy się w modlitwach.

A wtedy Anioł Boży przeleciał nad nami i rzekł do nas:

— Pokój ludziom dobrej woli.

Kiedyśmy znowu powstali do kołowania, jasne słońce wszechświatów błyszczało w całej pełni nad nami i tak spokojnem i czystem światłem oblało całą naszą krainę, jakiego wy nigdy nie widzicie na ziemi. Powietrze też było tak przejrzyste, że widzieliśmy gromadzące się koło nas cienie duchów takich, których nigdy nie dostrzegamy. Stąd zgromadzenie nasze stało się dzisiaj daleko liczniejszym, niż zwykle, i zdaje mi się, że już tam wtedy nie brakło żadnego z pisarzy naszego wieku. Nie masz wątplenia, że i ci się tam wtedy zjawili, co błądzą po owych borach zaklętych, o których Waszmości już wspominałem. Prócz tego i inne duchy zaczęły się koło nas gromadzić, a drugie, co szlachetniejsze, unosiły się nad nami w powietrzu. Ażaliż-to dziwna? Mowa była o piśmiennictwie,— a piśmiennictwo u nas toż-to główny strumień naszego żywota, który w dniach pogodnych i chmurnych wciąż płynie niepowstrzymanie i przenosi naszego narodowego ducha z pokoleń na pokolenia. Przeżyliśmy nieraz lata i lat dziesiątki, w których naród nasz nie miał żadnej innej więzi wewnętrznej, żadnego innego wspólnego oddechu, żadnego innego krwi duchowej obiegu, oprócz tego strumienia, w który wpływają wszystkie uczucia i myśli narodu, i z którego na powrót pomiędzy wszystkie jego war-

stwy się rozplywają. W narodach takich, które same się rządzą od gminy aż do korony, mniejsza o to, jeżeli jaki pisarz swawolny ten strumień zamąci, bo tam duch narodowy żyje, rozwija się, wzrasta w instytucjach publicznych i we wszystkich czynnościach społecznych. Ale w narodzie naszym, który, na trzy części rozdarty, jest niewolnikiem rządów obcych, a którego duch przeto tylko w piśmiennictwie może zachować swą spólność, jedność i niepodzielność, każdy, biorący pióro do ręki, daleko surowiej powinien przestrzegać swych obowiązków: jakoż co gdzieindziej jest przewinieniem, u nas się staje występkiem, a co tam jest występkiem, u nas jest zbrodnią. Bo xiążka gdzieindziej jest tylko xiążką, — a u nas czynem, będącym częścią składową narodowego żywota w terażniejszości, a zarazem cegiełką do fundamentów dla budowy naszej przyszłości. Biada temu, kto piśmiennictwo nasze zaśmieca niemoralnymi lub przewrotnymi utworami: grzeszy on przeciw najdroższej i najświętszej własności narodu, a grzechy jego nigdy nie będą mu przebaczone.

Tak szeptaliśmy między sobą, kiedy wtém Pan Jan Śniadecki znowu głos zabrał i mówił w ten sens:

— Z Panem Stanisławem Tarnowskim chcielibyśmy się rozprawić po kawalersku, nie dla tego, że od niejakiego czasu nakazuje swym czytelnikom uczciwość i honorowość nawet w zachowaniu się względem Moskali, ale dla tego, że stanowiska, jakie sobie wyrobił swojemi zdolnościami i pracą, nie wyzyskuje dla materyalnych korzyści, jak to robią jego koledzy. Ta bezinteresowność daje mu postać człowieka przekonań, co zawsze uwzględnić należy. Przyznajemy mu również, chociaż nie wzorową popra-

wność, to pewien wdzięk stylu, szerokie odczytanie, a zarazem ciepłą miłość rzeczy ojczystych, co wszystko razem stanowi zaletę, wprawdzie dla polskiego pisarza niezbędną, ale w dzisiejszych czasach, a zwłaszcza w stańczykowskim obozie nie wszystkim właściwą. Gdyby Pan Tarnowski był poetą albo powieścio-pisarzem, tobyśmy nawet więcej nie wymagali od niego: ale zajął on stanowisko krytyka, estetyka i moralisty, — a od krytyków, estetyków i moralistów musimy wymagać daleko więcej. Otóż do dopełnienia obowiązków tego potrójnego powołania brakuje Panu Tarnowskiemu filozoficznego kształcenia, i brakuje mu go tak zupełnie, że w jego pismach nie widzimy go ani śladu. Krytyk, estetyk i moralista, bez nauk filozoficznych, wygląda jak kapitan okrętu bez znajomości wyższej matematyki: takich kapitanów posyła się na połów wielorybów i śledzi, ale nie w podróż naukową około świata i nie daje im się nigdy naczelnej komendy nad flotą. Panu Tarnowskiemu brakuje także teorii estetyki, i jest rzeczą aż nadto widoczną, że owi wielcy estetycy, choćby tylko niemieccy i francuscy, których dzieła stanowią całą bibliotekę, nie są mu wcale, a w najlepszym razie zaledwie tylko wyjątkowo i bardzo powierzchownie znajomi. Brak tej nauki nawet jemu samemu uczuwać się daje, jakoż zakrywa on go zwykle ową niby misterną zasłoną, która się zawiera w tych słowach: « że są to rzeczy znajome ». Zapewne, że są u nas ludzie, którzy nauki te znają, znajdują się oni nawet pomiędzy tymi pisarzami, których Pan Tarnowski bardzo lekko traktuje albo nawet, jako niegodnych wspomnienia, milczeniem pomija; ale krytyk nie pisze dla samych pisarzy, tylko dla całego

ogółu, a profesor mówi do młodzieży, która dopiero się uczy. Jakichże-to pojęć estetycznych może nauczyć młodzież profesor taki, który sam nie zna ani filozofii, ani estetyki? Panu Tarnowskiemu brakuje nareszcie znajomości nauk przyrodzonych, na których się cała nowoczesna filozofia opiera, a ekonomia polityczna jest dla niego ziemią nieznaną. A jak to można moralizować społeczeństwa dzisiejsze, które są zniewolone zużywać dziewięć dziesiątych części sił swoich moralnych na zaspokojenie swych potrzeb materyalnych, nie mając o tem pojęcia, od jakich warunków zależy wzrost lub upadek produkcji i na jakich prawach opiera się obrót pieniężny? Pan Tarnowski jest literatem i nie więcej; zaś jako krytyk, estetyk i moralista, jest czystym empirykiem: stanowisko-to jest bardzo niskie i nie daje ono żadnego prawa do przewodzenia opinii publicznej.

— I ja osądziłbym Pana Tarnowskiego zupełnie tak samo jako pisarza, — odezwał się na to Pan Ignacy Potocki, — a nawet dodałbym do tego jeszcze co więcej.

Ale mów dalej, słuchamy ciebie z uwagą.

— Sądząc Pana Tarnowskiego li tylko jako krytyka, — mówił dalej Śniadecki, — musimy mu daleko niższe wyznaczyć stanowisko, niżeli wszystkim jego poprzednikom, których imiona pozostaną na zawsze w literaturze. Nasza literatura, od czasu wielkiego jej wzrostu, który ją porównał z literaturami najoświecenijszych narodów, była przeważnie dodatnią i twórczą; prócz tego, naród nasz, pracujący od czasu rozbioru wszystkimi siłami ku swemu odrodzeniu, nie ma ani czasu, ani usposobienia do czystej reflexyi: a stąd idzie, że nie wielu mieliśmy krytyków,

zasługujących na to nazwisko. Mochnacki, Mickiewicz, Ropielewski, Michał Grabowski, Kaszewski, Krajewski, Tyszyński, Małecki, Klaczko, Lewestam, Majorkiewicz i jeszcze ledwie kilku, zajmujących mniej więcej równe z nimi stanowisko. Otóż ci wszyscy mieli jakiś rzetelnie nabyty tytuł do wydawania sądów o literaturze, zalecisz się ogółowi albo dziełami naukowymi niezaprzeczonej wartości, albo też utworami wyobraźni, ale opartymi na naukowej podstawie, — a każdy z nich bez wyjątku, nawet w swych pracach krytycznych, obok gruntownej znajomości swojego przedmiotu, rzucał szerokie poglądy albo na pewien rodzaj, albo na pewną epokę, albo zgłębiał na całość literatury, przy czem celem jego był nie sam rozbiór, ale wynikająca z rozbioru estetyczna i moralna nauka. Głównym zaś charakterem tych wszystkich krytyków naszych była też sama dodatniość, jaką się odznacza cała nasza literatura, — a ktokolwiek przeczytał uważnie wszystkie ich prace, ten niezawodnie dostrzegł, może nawet ku swemu zdziwieniu, że krytycy ci, nie wydobyli z krytykowanych przez siebie książek, ale sami stworzyli prawie drugie tyle światła, ile go stworzyli nasi znamienici dziejopisarze i poeci. Drugim rysem charakterystycznym, który naszych krytyków w ogólności odznacza od krytyków wszystkich innych narodów, jest niezmiernie wysoka moralność, moralność obyczajowa, obywatelska i patriotyczna, która im służy za absolutną przewodniczkę w ich sądach: negacya, analiza dla analizy i wylewy żółciowe stanowią w ich pismach bardzo rzadkie wyjątki, — a słońcem, które ich sądy ogrzewa, jest miłość i uwielbienie dla najwyższych dóbr moralnych narodu

i żywe pragnienie lepszej dla niego przyszłości. Nawet jeżeli czasem w nich znajdujemy głośne wybuchy gniewu lub oburzenia, jak w Mochnackim, Michale Grabowskim i Klacze, to jest to zawsze owa prawdziwa *sacra ira*, od której czasem sinieją usta rozgniewanego ojca, ale tylko z gorącej miłości dla swego syna. Krytykizawistne, napady żółciowe, chryje zazdrości o sławę, znajdujemy tylko u niedobitków szkoły klasycznej i nic nie znaczących pisarzy późniejszych. My z przewodników naszej nowszej krytyki zaprawdę dumni być możemy, bo stali oni nauką i ukształceniem zawsze na równi z naszymi najpierwszymi pisarzami twórczymi, a często sami znamienite miejsca zajmowali pomiędzy nimi. W obec tych krytyków, jakież-to stanowisko zajął Pan Tarnowski? — Oto przedewszystkiem nie napisał on nigdy żadnego dzieła, w któremby albo był wyłożył swoje naukowe i estetyczne teorie, jak Mochnacki, Grabowski, Tyszyński, albo też złożył inne naukowe dowody, jako jest uzdolnionym do wydawania sądów o literackich utworach. Wymagać od dziennikarzy, których prace efemeryczne tylko jeden dzień żyją, ażeby składali egzamina przed prytanami, jest dziecinną śmiesznością: ale kto zasiada na trójnogu jako sędzia utworów ludzkiego ducha, ten jest obowiązany złożyć egzamin, nie przed prytanami, ale przed tym wielkim prytanem i sędzią najwyższym, którym jest ukształcona powszechność. Otóż Pan Tarnowski takiego egzaminu nie zdał dotychczas. Przed laty kilkunastu zaczął on pisać artykułiki krytyczne i literackie i do dziś dnia jeszcze się nie podniósł po nad artykułiki pisane albo ustnie opowiadane, to o Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu, to o Koźmia-

nie i Fredrach, to wreszcie o pierwszym lepszym szlachcicu, który oddał Bogu ducha, nie zamąciwszy wody nikomu: lecz dotąd jeszcze nie zdobył on się choćby na jeden utwór taki, którego gruntowna uczoność i pogląd szeroki postawiłyby go na równi choćby tylko z pomierniejszymi z wyż wymienionych jego poprzedników. Pan Tarnowski zdaje się nie mieć o tem pojęcia, jak wielka leży różnica pomiędzy tym, który pojął, a tym, który objął swój przedmiot, i nie wie o tem, że trzeba koniecznie objąć i stać się panem swego przedmiotu, ażeby go osądzić z pożytkiem dla czytających. Nie bierze on nigdy tego albo owego wielkiego pisarza w potężną rękę i nie przedstawia go w jego całości tak, jak go zrozumiał i objął; tylko się chyłkiem podkrada pod ich posągi, rozpatruje fałdy ich sukien, babrze w ich jelitach, maca ich nerwy, — a zawsze ma swój stańczykowski kwaczyk za rękawem, ażeby przy sposobności jakieś święte uczucie obryzgać. Nie miał on nigdy dotąd odwagi, a przeto bez wątpienia nie ma tej siły, aby wziąć jakąś epokę albo jakiś cały dział literatury przed się i dać jej obraz gruntowny i pełny: epoka Zygmuntońska jak gdyby nie istniała dla niego, daleko lepiej mu się podoba wiek XVII, w którym piśmiennictwo nasze zaczyna upadać; do owego promienistego wulkanu literatury romantycznej, który całą Polską wstrząsł i oświecił, zbliża się tylko na to, ażeby ostrzegać przed temi iskrami, które mogłyby sparzyć; nawet literatury klasycznej, którą koniecznie chce rehabilitować, nie przedstawił nam nigdy w pełnym obrazie: ażaliż tu jeszcze wątpić można, że ma on dosyć ruchliwe pióro, ażeby jakąś okrągłą i w sobie zamkniętą pracę utworzyć?

Ale nie dosyć na tem. Pan Tarnowski, nie umiejąc opanować swojego przedmiotu, tylko wlokąc się za nim i dając się jemu prowadzić, nie jest także panem miary, kształtu i formy. Wziąwszy na siebie obowiązek uczenia innych tej sztuki, w swoich utworach składa dowody, że jej sam nie posiada. Nie wymagamy od niego rzeczy niemożliwych. Nie jest on ani poetą, ani artystą: nie robimy mu z tego zarzutu, że nie tworzy dzieł sztuki. Ale mamy zupełne prawo żądać od niego, ażeby jego wykład miał początek i koniec, ażeby był należycie uczłonkowanym, ażeby każdy członek następny wywijał się logicznie z poprzedzającego i aby wszystkie razem tworzyły całość. Między jego pracami szukaliśmy skrzętnie takiego utworu, aleśmy go nie znaleźli. Natomiast zaś spostrzegliśmy tylko tu i ówdzie usiłowanie bez skutku, a zarazem dowody na to, że Pan Tarnowski bierze materyalne rozcięcie swego wykładu na kilka części, jak w trzech odczytach o Alexandre Fredrze, albo chronologiczny porządek, jak w pracy swojej o « Romansie w XIX wieku », za układ wewnętrzny. To też wykłady jego cieką jak woda i mogą tak ciec przez kartek piętnaście, trzydzieści albo pięćdziesiąt, i mogą ustać gdzie się podoba, a nikt się nie spostrzeże, że to jeszcze nie koniec. Wykład jego, pomimo usterek i często zanedbanego stylu, jest gładki i dźwięczny; z wyjątkiem częstokroć bardzo nieparlamentarnych wyrazów, w całości swojej nie jest wcale « gminnym »; jest w nim pewien ton, zdradzający człowieka dobrego wychowania i spadkobiercę literackich tradycji z najlepszych czasów: ale wykład jego jest zimny, « nie lgnie do niego fala, ani on do fali », a usiłując być zarazem podniosłym i zrę-

cznym, staje się śliskim i powierzchownym. Pan Tarnowski, mimo rycerskiej krwi w swoich żyłach, nigdy nie występuje do walki z zupełnie podniesioną, tylko z cokolwiek podchyłoną przyłbicą, nigdy nie uderza w pełną pierś przeciwnika, nigdy nie łamie i nigdy nie przesadza trudności, tylko je mniej albo więcej zręcznie podłazi; toż nigdy on swemu czytelnikowi zdań swoich nie narzuca, nigdy go z uczuciem swojej przewagi do swoich przekonañ nie zniewala, nigdy go z sobą nie porywa, tylko mu myśli swoje półgłosem insynuuje i pyta: Powiedzmy prawdę, czyż-to tak nie było? Słyszac takie pytanie, często sami nie wiemy, czy to głos niewinnej i naiwnej panienki, czy głos tego węża, co przemawiał do Ewy. Takim jest wykład tego pisarza. Cóżkolwiek bądź, prace jego mówione i pisane są to po prostu pogadanki czysto-literackie, może zajmujące dla jednych, dla drugich obojętne, według stopnia ukształcenia słuchacza i czytelnika, — a zdolność pisania pogadanek choćby nawet bardzo zajmujących, jakich dziś całe setki codziennie się rodzą we Francyi, nie daje jeszcze zupełnie prawa do zasiadania na trójnogu i wydawania wyroków o utworach ludzkiego gieniuszu.

Kiedy Śniadecki odetchnął, odezwał się Pan Ignacy Potocki w te słowa:

— Literacka twórczość narodów jest jako morze, na którem czasem wysoko piętrzą się fale, a czasem nieruchomości panuje. Od lat kilkunastu lub więcej, literatury wszystkich narodów nie tworzą rzeczy niezwykłych. Trudnoż i nam naszych pisarzy dzisiejszych mierzyć miarą Mochnackich i Mickiewiczów. Nie można nikogo za to ro-

bić odpowiedzialnym, że nie ma tej głębokości umysłu, tej objętości rozumu, jak ten lub ów z jego poprzedników. Ja z mojej strony nie przywiązywałbym nawet tak wielkiej wagi do formy rozpraw literackich, bo i mistrze formy nie rodzą się na zawołanie. Ale mówiąc o Panu Tarnowskim, zbadałbym przedewszystkiem, jakie są jego pojęcia estetyczne i moralne, bo czy on do nich przyszedł na drodze empirycznej, czy teoretycznej, zawsze w nich leży cała wartość jego utworów.

— Właśnie chciałem do tej kwestyi przystąpić, — rzecze na to Śniadecki, — i miałem zamiar rozpatrzeć w tym celu ostatnie prace tego pisarza, jakiemi są : naprzód jego rozprawa o Kajetanie Koźmianie...

W tej chwili Lelewel znów się rozśmiał złośliwie, a Potocki, śmiejąc się także, spytał go głośno :

— Już tam znowu coś masz w twym raptularzu.

— Nic ; — rzecze Lelewel, — tylko przeczytawszy tę rozprawę o Koźmianie i przypomniawszy sobie, co Pan Tarnowski tu i ówdzie powiedział o Mickiewiczu, stanęła mi przed oczyma rycina, którą po bitwie pod Lipskiem wydano w Wiedniu, a która dzisiaj mało komu jest znaną. Na tej rycinie jest przedstawiona ogromna czarna góra, a u jej stóp wyobrażony niezmiernie maleńki Cesarz Napoleon I ; pod tem zaś wszystkiem czyta się napis :

*Was bist du kleiner Zwerg,
Gegen den grossen Schwarzenberg?*

Wszyscy się bardzo tem ubawili, a Lelewel ręce zacierał ; ale tymczasem Śniadecki zabrał głos i tak mówił dalej :

— Ej, Lelewelu! zaczynasz mi być cokolwiek niesprawiedliwym, bo chociaż rozprawa Pana Tarnowskiego o Koźmianie niemal takie sprawia wrażenie, jednak sąd taki jeszcze z niej nie wypływa. Owszem przeciwnie, ja właśnie w tej rozprawie spostrzegam, — i dla tego tę, a nie inną, do osądzenia jego zasad estetycznych i moralnych sobie wybrałem, — że Pan Tarnowski uczuciem swoim lgnie jaknajzupełniej do szkoły romantyków. Widać to z każdego wiersza tej pracy, widać nawet tam, gdzie się wysila przyznać klasykom znaczenie po nad ich zasługi. Mimo to wszakże i wbrew temu uczuciu robi z Koźmiana wielkiego swojego czasu poetę, robi go « mistrzem » i « posągową postacią tego samego odlewu ». Tutaj też znajdziemy wyrażone jak najdobitniej pojęcia autora o estetyce i moralności publicznej. My z naszej strony nie mielibyśmy nigdy powodu wspominać o Koźmianie. Był to człowiek ani lepszy, ani gorszy, od wielu tysięcy swoich współczesnych, którzy się nigdy nie podnieśli nad mierność. Posągowego nigdy nic w nim nie było; był on raczej jak najzupełniejszym przeciwieństwem posągu « tego samego odlewu », bo nigdy nie stał na własnych nogach, zawsze był przez kogoś protegowanym, nigdy nie miał opinii własnych, zawsze wyznawał cudze, i w sprawach publicznych zawsze płynął z wiatrem, z którejkolwiek on wiał strony. Z młodu kształcił się na prawnika pod okiem ojca, człowieka zacnego i surowych obyczajów; lecz mimo to zasad żadnych w sobie nie wyrobił, bo z równą szczerością korzył się przed wielkimi panami, którzy protegowali Jezuitów, jak i burzył się przeciw Jezuitom, o czem dowiadujemy się z jego Pamiętników. Podczas Kościuszkow-

skiego Powstania miał « popęd » do wojska, ale umiał go umiarkować, tak że się na samym popędzie skończyło. Za Xięstwa Warszawskiego zaczął szukać karyery, którą też znalazł, i trzymał się jej rękami i nogami, aż póki go jej to « ohydne » Listopadowe Powstanie nie pozbawiło. Aby tej karyery nie stracić, był wszyskiem z kolei: z początku wolnym mularzem, potem konwencyonalnym katolikiem, wiernym sługą króla Saskiego, wielbicielem Xięcia Jenerała i Xiędza Staszica, Xięcia Adama i Linowskiego, Zajączka i Woronicza; zwyciężającego Napoleona nazywał Bogiem, a zwyciężonego kopnął Odą na upadek dumnego. Pan Tarnowski liczy oczywiście na niewiadomość swych czytelników, gdy mówi, że Koźmian po upadku Xięstwa Warszawskiego nie pogodził się z Moskalami; dość bowiem jego Pamiętniki przeczytać, — a są jeszcze inne i bardzo liczne na to dowody, że nikt z ówczesnych Polaków tak nisko się nie płaszczył, nikt tak nie uwielbiał, nikt tak się nie modlił do Alexandra I, jak Koźmian. Prócz tego miał on to nieszczęście, że wiele takich położył zasług, które uznali tylko sami Moskale: aż wreszcie, na kilkanaście miesięcy przed Listopadowem Powstaniem, bezprawnie dostał się do Senatu, bo mianował go Kasztelanem Mikołaj, nie na propozycję Senatu, jak chciało prawo, ale z własnej inicjatywy. Obok Dąbrowskiego, Kniaziewicza, Chłopickiego, Wielhorskiego, Linowskiego i tylu innych niepoliczonych istotnych posągów z jednej sztuki, których Pan Tarnowski wcale znać nie chce, to ma być « postać posągowa jednego odlewu? » — Winszujemy takich pojęć o moralności publicznej tym, którzy je do swego katechizmu włożyli; widzi-

my je przyjęte i przeprowadzone w stańczykowskim obozie: dla nas są one stanowczą niemoralnością. W literackim zawodzie Koźmiana jest istotnie jedna nić stała, która go nie opuszcza od początku do końca: tą nicią jest klasycyzm, tak jak on go pojmował. Pojęcie to jednak było tylko jemu właściwe, bo dzielił go z nim tylko jeden Osiński. Było to pojęcie drewniane, materyalne, bezduczne, i polegało na tem, ażeby naśladować formy Horacego, Wirgiliusza i Owidyusza, za przykładem Delilla; naśladownictwo form było dla niego celem, — a wszystko, co tchnęło jakąkolwiek oryginalnością, było według niego zbrodnią przeciwko dobremu smakowi, było pospolitością, gminnością i grubiaństwem, było po prostu literackiem « warcholstwem ». Czy tak pojmowali klasycyzm Naruszewicz, Krasicki, Trembecki z dawniejszych, a Wężyk, Morawski, Niemcewicz, z jego współczesnych? Naśladowali oni formy klasyczne, ale te formy własnym napełniali duchem. U Koźmiana o duchu nigdy mowy nie było. Duch była to kraina jak najzupełniej obca dla niego. A gdyby był nawet miał zamiar naśladowania ducha wiejącego w Horacym, to jeszczebyśmy nie mogli powiedzieć, żeby to był wybór najlepszy. Wyż wymienieni trzej poeci łacińscy byli sobie współcześni, ale jakaż-to przepaść rozdziela pod względem moralnym Wirgiliusza od Horacego, — a Wirgiliusz z Owidem stanowią dwa najskrajniejsze krańce uczuć patryotycznych i moralnych. W Wirgiliuszu żyje jeszcze w całej świetności i pełni patryotyczna idea światowładnej Romy: « *Tu regere imperio populos, Romane, memento!* » Owidyusz już tylko wzdycha do śmierci w objęciach odurzającej miłości: « *Felix,*

quem Veneris certamina mutua perdunt! » Horacy, klient Mecenasa, był sobie po dzisiejszemu hofrathem Augusta; ma on jeszcze uczucie patryotyczne, ma świadomość wielkości i sławy swojej ojczyzny: « *Alme sol, possis nihil urbe Roma visere majus!* » Wie on, co jest moralność; czasem zdaje się, jakoby gwałt sobie zadawał, okadzając imperatorską postać Augusta: ale przecież to czyni, po nad zepsuciem swojego wieku, które strąca w przepaść jego ojczyznę, przeslizguje się z wyniosłą ironią, karci, ale bez gniewu, gromi lecz nie obala, uderza lecz nie zabija, bo przedewszystkiem idzie mu o to, aby mu się dobrze działo na ziemi. Otóż-to najszczytniejszy wzór dla Koźmiana, którego ojczyzna nie dopiero zaczynała upadać, ale już się z upadku dźwigała i mogła się zeń wydzwignąć tylko najwyższem wysileniem cnot patryotycznych. Wszelako i tego poetę Koźmian tylko chciał naśladować, a nie umiał, chciał choćby się zbliżyć do niego, ale i to mu się nie udało. Jego ody i hymny są to bardzo nieudolne ramoty, nieudolne nawet pod względem formy i stylu. Chwalili je przez grzeczność protektorowie jego i przyjaciele, żyjący na bruku warszawskim, ale powszechność polska nigdy ich nie czytała. Aż do upadku Xięstwa Warszawskiego tylko jedną napisał satyrę na tańczący Kraków, składającą się z kilkunastu wierszy, ale i tę puścił w obieg bezimiennie, i po za Krakowem nikt o niej nie wiedział. Nie może ona iść w żadne porównanie z inną podobną satyrą, napisaną w dwadzieścia lat potem: « Tańczucie Polki », którą cała Polska śpiewała. Jego dwa poemata: « Ziemiaństwo » i « Czarnieckiego » już dawno osądziła publiczność, pozostawiając ich czytanie literatom.

Natomiast ma Koźmian coś w sobie, co jest istotnie oryginalnem, a to jest piekielna nienawiść ku romantyzmowi, ku romantykom w ogólności, a w szczególności ku osobie Mickiewicza. Jeżeli kto chce widzieć, jak wygląda pozioma i zaciekaająca się zazdrość literacka, z zieloną twarzą, z krwią nabiegłemi oczyma i rozczochranymi włosami, niechaj czyta, co Koźmian pisał wierszem i prozą o romantykach i Mickiewiczu. My tych żółciowych wymiotów nie będziemy powtarzać. Co napisał o Listopadowem Powstaniu, o rządach gminnych i demagogach, jest także budującym, — a wyraża się krótko i zwięźle w tym wierszu:

Równość, ojczyzna, wolność, są znane mamidła,
Któremi głupich ludzą, ślepych wiodą w sidła,
Ażeby za pomocną zwiędzionych posługą
Mogli wznieść się nad pierwszą, mogli złupić drugą.

Autorowie « Teki Stańczyka » także liczyli na niewiado-
mość swych czytelników, rozumiejąc, że nikt nie odkryje,
kto jest ich protoplastą. A wszakże w tych czterech wierszach
znajdują się zamknięte ich najwyższe zasady, — a oprócz tego są one jak gdyby wyjęte z ust Optymowicza. To nam też może po części wytłumaczy, dla czego Pan Tarnowski nazywa Koźmiana « mistrzem » i « posagową postacią ».

A wtedy odezwał się Lelewel, mówiąc:

— Ej, odbierasz mnie chleb, Panie Janie, bo jak widzę,
znajdujesz wszystko, czego ci trzeba, bez mego raptularza. Przebrodziłeś ty swego Koźmiana od deski do deski,
której-to roboty wcale ci nie zazdroszczę. Ale czy wiesz

ty także, że to Koźmian, a nie kto inny wynalazł ów sławny synonim dla Polski, który brzmi: «Ziemie przez nasze plemię zamieszkałe?» Przyznaj-że, że przynajmniej za to mu się posąg należy.

Wszyscy się uśmiechnęli, a tymczasem Śniadecki tak skończył:

— Pod względem kształcenia stał Koźmian najniżej ze wszystkich klasyków. Z obcych języków znał tylko łaciński i cokolwiek francuskiego; po niemiecku, po angielsku, po włosku ani słowa. A przecież były to czasy, w których znajomość języków obcych była właśnie jednym z najwybitniejszych rysów oświeconych Polaków. Z nauk ścisłych nie posiadał żadnej, historię Rzymu znał tylko według jezuickich « *editiones castratae* », pisarzy łacińskich, z którymi cokolwiek się obznajomił, można wyliczyć na palcach, z historii polskiej tylko materialne fakta były mu znane, co większa! zygmontowskich pisarzy znał on tylko bardzo powierzchownie i do nich się nigdy nie odwoływał, — a nawet o pierwszorzędnych arcydziełach literatur obcych nie miał najciemniejszego pojęcia. Wprawdzie ówczesna powszechność także nie wiele wiedziała o tem, jak szerokiego i wielostronnego kształcenia potrzeba na to, aby napisać taką książkę, którą cały ogół przeczyta i swoją uczyni własnością. Dopiero z Kursów Mickiewicza dowiedziano się, jakie ogromy nauki wziął w siebie ten, który pisał Ballady i Romanse. Dopiero dziś wiedzą wszyscy, że romantyczni pisarze, nawet niższego rzędu, odznaczali się bez wyjątku bardzo rozległą znajomością języków i literatur obcych, a narodową niemal umieli na pamięć. Godziłoby się postawić pytanie, czy autorowie

dzisiejsi nie dla tego rzadko się zdobywają na znakomitsze utwory, że zanadto wysoko cenią siłę talentu, zanadto nisko wartość nauki? Koźmian o wartości nauki żadnego nie miał wyobrażenia. Mickiewicz już po Kursach jest dla niego literackim « warchołem », a wszyscy romantyczni pisarze to « gryzmoły smorgońskiej szkoły », którzy piszą tylko dla chleba. Pan Tarnowski się pyta, dla czego Koźmian z Zygmunta Krasińskiego robi wyjątek? A dla czegoż Pan Tarnowski, umniejszając zasługi romantyków gdzie tylko może, także z Krasińskiego robi wyjątek i to do tego stopnia, iż gotów jest nawet jego domowe rejestra ogłosić za arcydzieła? Koźmian miał do tego trzy powody: Krasiński był wielkim panem, był synem klasyka Wincentego i był namiętnym przeciwnikiem rewolucyi. Który z tych trzech powodów Pana Tarnowskiego do bezwzględneho wielbicielstwa zniewala, to tylko jemu wiadomo. Jak niska zazdrość literacka, tak samo i takie sądy literackie mogą tylko wypływać z tępego pojęcia. Toż Koźmian odznacza się nawet pomiędzy klasykami niezmiernie ciasnym umysłem. Czytając jego Pamiętniki, trzeba nieraz się dziwić, do jakiego stopnia brak mu zmysłu politycznego, jak często nieborak nie wie, co się dzieje około niego, jak nie ma żadnego sądu o doniosłości tych spraw, w których sam bierze udział, jak do końca życia nie może się z tem połapać, czem były legiony, czem emigracya, czem wszystkie powstania i jaki-to duch porusza te « ziemie przez nasze plemię zamieszkałe », że dotąd jeszcze wolą czytać dzienniki i powieści, zamiast uderzyć nareszcie czołem przed klasykami i Osińskiemu postawić pomnik *aere perrennius*. Szczytem zaś jego gienialnych pomysłów pozosta-

nie na wieki Oda, która spalenie Moskwy ogłasza jako Napoleońskie zwycięstwo. Oto jest Koźmian, jakim był w samej istocie. Niechaj spoczywa w Bogu razem z najpocziwszym i przez wszystkich kochanym swym synem Jędrzejem, — i niechaj te słowa nie ochłodzą ani na chwilę tej czci gorącej, jaką dla niego chowa jego potomstwo. Cześć dla ojców i dziadów, chociażby przesadzona, jest u nas zawsze w poszanowaniu, bo pochodzi z miłości. Ale Pana Tarnowskiego się spytać musimy, na jakich-to zasadach estetyki i moralności się oparł, ogłaszając go « mistrzem » i « posagową postacią jednego odlewu? » — Estetyka, mająca nas uczyć, co jest najwyższa prawda, najwyższa wzniosłość, a przeto i najwyższa moralność, staje się farsą, popadając w takie fatalne obłądy. Mając dobre serce, można swym przyjaciołom wyrządzać przysługi: ale przysług takich nie wolno wyrządzać kosztem najwyższych dóbr moralnych narodu, — a kto to robi, nie ma żadnego prawa do sędziowskiego głosu w sprawach poezyi i literatury, ale przeciwnie sam winien jest sądu i najsurowszego skarcenia.

— Jesteśmy zupełnie zgodni z Waszmością, — rzecze na to Xiądz Podkanclerzy, — ale dołożyć musimy, że takie piórowe wyroby nie pochodzą li tylko z kamaraderyi, lecz także, i przedewszystkiem, z potrzeby wynajdywania wielkich ludzi w przeszłości, którychby można przedstawić jako zgodnych z zasadami nowej szkoły krakowskiej. Bywali po wszystkie czasy « ojcowie bezdzietni »; ci Krakowianie są to synowie bez ojców, — a ponieważ nie przystoi im uchodzić za podrzutek, więc wyszukują sobie ojców gdzie mogą, i czynią to często z bezprzykładnem

zuchwalstwem. Tak, aby długo nie szukać, czytam na przykład w « Czasie » z 11-go Lutego, jakoby « Wiadomości Polskie », redagowane przez Kalinkę, były pierwsze, które zainaugurowały politykę austriacko-polską, — a Panowie Wodzicki, Szujski, Tarnowski i Kozmian tylko tę ideę « pochwycili i rozwinęli działalność publicystyczną w jej duchu », narzucając ją krajowi i kołu polskiemu. Powiedzieliśmy już poprzednio, że tę politykę zainaugurował Gołuchowski, kiedy jeszcze Stańczyków nie było, i zainaugorował ją w duchu wcale odmiennym, niżeli go później rozwinęli Stańczycy, na co są przecież historyczne dowody. Ale jakiegoż-to zuchwalstwa potrzeba na to, aby « Wiadomościom Polskim », których zresztą wcale bronić nie zamierzamy, przypisywać idee, których one wcale nie miały, a jeśli się nie mylę, wypowiadały nawet przekonania diametralnie przeciwne, bo zawsze jak najzawzięciej występowały przeciwko Austrii. Panie Joachimie! A co tam masz o tem w twoim raptularzu?

— I ja też także długo szukać nie będę, — odpowiedział Lelewel. Rzucam okiem na ostatnią kartę « Wiadomości Polskich » z dnia 18 Grudnia 1858 i czytam wrywką co najśłabsze ustępy: « Młodsze pokolenie, patrząc na takie frymarki, oswoi się z niemi i łatwiej trafi na ten szeroki gościniec, co prowadzi naród do moralnego bankructwa..... Mówimy to naturalnie do tych słabych, nieogłędnych, chwiejących się, którzy nie mają odwagi odmówić swego uczestnictwa w aktach, obrażających sumienie polskie. Tym słabym, choć nie zawsze występnym, przypomnieć byśmy chcieli, że na tej śliskiej drodze przymilań się rządowi, na tych niebezpiecznych pochyłościach, co

do zaparcia się Polski prowadzą, nie istnieje granica, do której dochodząc powiedzieć sobie można «dalej już nie pójdę». Rola złego Polaka bezkarnie odgrywać się nie da. Kto ją na chwilę odgrywa, a do tego gwałtem nie zmuszony, ten się już staje złym Polakiem; z czasem rola w naturę się przemieni, dzisiaj był tylko słabym, jutro stanie się występny. Henryk Rzewuski, bo kiedy jest mowa o nikczemnościach, to do dostojniejszej i właściwszej powagi odwołać się trudno, Henryk Rzewuski powiedział raz w poufnym kole z właściwym sobie cynizmem bardzo głęboki axiomat: «Podłość, wedle autora Listopada, jest jak gorąca kąpiel, z początku parzy, ale potem bardzo w niej miło». Czyż galicyjscy amatorowie..... chcą próbować kąpeli wedle systemu Rzewuskiego i z czasem dójść do temperatury, gdzie już zaczyna być miło?.....» Owóż, jak przemawiają «Wiadomości Polskie.»

Na to Kołłątaj brwi zmarszczył i rzekł:

— Dość tego na teraz. Otóż takiemi wywnętrzeniami «Wiadomości Polskie» są przepełnione na wszystkich swych kartach. Łączyły one zawsze radykalny patryotyzm z arystokracją. Myliły się co do Austrii w swoich przewidywaniach. Powiedzieliśmy sami, że Polacy powinni iść z Austrią i przy tem stoimy. Ale nie o to tu idzie, tylko o owe niesłychane zuchwalstwo, z jakim Stańczycy powołują się na «Wiadomości», jakoby na swego ojca w politycznych zasadach. Stańczycy mają swojego ojca, lecz jest nim właśnie ów wyż wymieniony Henryk Rzewuski, a spłodził on ich wtenczas, kiedy pod imieniem Jarosza Bejły napisał swe «Mięszaniny». Proszę wziąć tę książkę do ręki, zresztą z daleko większym talentem i głębszą

nauką napisaną, niżeli «Teka Stańczyka», a łatwo się przekonać, że wszystkie zapatrywania się i zasady tej nowej szkoły krakowskiej są tam złożone *in nuce*. Zasady te zresztą stanowią już duchową podstawę «Listopada». Ale Rzewuski był jeszcze o tyle mniej winnym od szkoły krakowskiej, że literaturę romantyczną cenił bardzo wysoko, a z klasyków, zwłaszcza ostatnich, drwił jak należy. Drugim ojcem szkoły krakowskiej był Antoni Walewski, — a jest to także pewnego rodzaju liczeniem na niewiedomość czytelników, jeżeli ktoś w tem znajduje różnicę pomiędzy Walewskim, a historyczną szkołą krakowską, że tamten nie miał, a ta ma «metodę». Metoda jest sposobem postępowania, a przeto rzemiosłem, — a nam chodzi o ducha. Owóż duch jest ten sam w Walewskim i w nowej szkole krakowskiej. Trzecim nareszcie ojcem stańczykowskich pisarzy, a szczególnie Pana Tarnowskiego, jest Lucyan Siemieński, człowiek znamienitego talentu, ale plagiator, obszernych wiadomości, lecz płytkiej nauki, wytwornego smaku, ale więcej niż chwiejnej moralności. Z początku czystej wody romantyk, później czerwony radykał, a w końcu najzuchwalszy reakcyjny ryzus, który wynalazł w Trembeckim złego patryotę, ale «dobrego Polaka», i zuchwalstwo swoje posunął do tego stopnia, iż śmiał utrzymywać, jakoby Mickiewicz bronił Targowicy. Gdybyśmy nie mieli stu innych na to dowodów, to już sam ów «zgrzyt» na cymbałach Jankiela, który dotąd wszystkim rozdziera uszy, nauczyłby nas raz na zawsze, co Pan Adam rozumiał o Targowicy. Tacy-to są rzeczywiści protoplaści stańczykowskich pisarzy, — i chyba dzieciom, zaledwie uczącym się czytać, można to opowiadać, że są jacy inni.

— Ja jeszcze nie skończyłem mojej rzeczy o Panu Tarnowskim, — rzekł na to Śniadecki i tak mówił dalej: — Oprócz niedostatecznej nauki, skrzywionego smaku i niezmiernie bałamutnych pojęć o moralności publicznej, najcharakterystyczniejszym rysem Pana Tarnowskiego jako krytyka jest stronność. Posunął on ją do tego stopnia, iż można o nim sumiennie powiedzieć, że chwali bezwzględnie wszystkie utwory, które mniej-więcej potwierdzają stańczykowskie zasady, a gani bezwzględnie wszystkie, które się im sprzeciwiają. Znajdując się z tego powodu w bardzo trudnem położeniu, wydaje on częstokroć sądy, które przechodzą wszelkie granice śmieszności. Tak, według niego, jak to już tutaj wspomniano, najgłówniejszym reprezentantem klasycyzmu nie jest ani Naruszewicz, ani Krasicki, ani Trembecki, tylko « mistrz » Koźmian, i Koźmian jest « daleko wyższym od Osińskiego, Wężyka i Niemcewicza. » Zdaniem tego krytyka, najznamienitszym utworem Mickiewicza, bo przecież znamienitości nie śmie mu odmówić, jest « Pan Tadeusz », podczas gdy wszyscy znawcy literatury, nie ujmując nic wcale « Tadeuszowi », muszą jednogłośnie zgodzić się na to, że gdyby Mickiewicz « Tadeusza » wcale był nie napisał, to zawsze-by był pierwszym poetą polskim i nie miałby ani o jeden cień mniejszej zasługi. Z prac Rzewuskiego najznakomitszą jest, według niego, nie « Pamiętki Soplicy », tylko « Listopad »; a dla czego? bo w « Soplicy » żyje cała dawna Rzeczpospolita polska, a w « Listopadzie » już wieje duch odstępstwa od narodowych tradycyi. Takich przykładów moglibyśmy przytoczyć ile kto zechce; ale czyż trzeba więcej? Pan Tarnowski, jako krytyk, stanął na jednej

linii z krytykami skrajnych opinii demokratycznych, którzy na przykład jak Edward Dembowski, w «Przeglądzie naukowym», i tylu innych tej kategorii, dzielili literackie utwory na postępowe i wsteczne, i chwalili bezwzględnie wszystkie, które były napojone duchem liberalnym, a ganiłi bezwarunkowo te, które tchnęły konserwatyzmem. To też Pan Tarnowski, tak samo jak oni, wcale ani krytykiem, ani estetykiem nie jest, tylko pisarzem politycznym, który w sposób świętokradzki posługuje się skarjami narodowego gieniuszu, aby służyć materyalnym interesom fakcyi, która się rozpostarła w jednej z polskich prowincyi.

Na to zaś rzecze ze smutkiem Pan Ignacy Potocki :

— Otoż mamy odkrytą całą wartość tych pisarzy, którzy się sami nazwali nową szkołą krakowską. Ileż-to zasad z gruntu fałszywych, ile pojęć skrzywionych i skarłowaciałych, ile najfatalniejszych obłędów rozsiali oni pomiędzy uczącą się młodzież i w ogólności pomiędzy czytającą publiczność. I nie dość na tem, że sami, częstokroć pisarze zdolni i mogący rzeczywiste oddać usługi ojczyźnie, poszli w służbę idei płaskich i interesów bardzo niskiego rzędu, ale jeszcze natworzyli literackich wyporków, jak Lisicki, Bobrzyński, Moszyński i inni, którzy albo nie byliby nigdy pisali, albo gdyby byli wzięli za pióro, nigdyby byli nie mieli występnej odwagi splugawienia tego wszystkiego, co dotąd było świętem w narodzie, i nie staliby się narodowego piśmiennictwa zakałą. Zrodzeni z powszechnie wzgardzonych duchowych przodków, spłodzili ci krakowscy pisarze potomstwo, którego literacka sława jest naturalną córką politycznego skandalu, a dla którego w na-

szym języku już nie masz wcale nazwiska. I stała się ta rzecz, chociaż dziwna, jednakże naturalna, że synowie, zaledwie wypruci z wnętrzości, rzucili się zaraz na swoich rodzonych ojców, ażeby ich wymordować. Jeden z nich ogłasza ich jako odrodzone stronnictwo « białe », drugi jako zakapturzonych rewolucjonistów, a trzeci chciałby ich zgoła wywieszać. Gdyby się działo po woli szaleńców, których głosy na obudwóch skrajnych końcach politycznych obozów słyszemy, to jużby chyba każdemu Stańczykowi mieć trzeba dwie szyje. Owoż jaką nagrodę otrzymała szkoła krakowska za swoje uwielbienie dla Alexandra Wielopolskiego, którego ogłosiła politycznym gieniuszem i twórcą przyszłej polityki polskiej. Ale nie dosyć na tem. W podziękę za to uwielbienie Pan Zygmunt Wielopolski napisał do Pana Tarnowskiego List otwarty, pełen wyniosłej pogardy, w którym się wyrzekł wszelkiego powinowactwa z zasadami szkoły krakowskiej. Od Pana Zygmunta Wielopolskiego dzieli nas dziesięć wieków historii polskiej, a w sprawach ziemskich jest to astronomiczna odległość, której nic wypełnić nie może. Lecz mimo to przyznać mu musimy, iż w jego Liście do Tarnowskiego jest daleko więcej zmysłu politycznego, a zarazem bez porównania więcej osobistej godności, niżeli w całej politycznej literaturze Stańczyków. List ten przypomniął nam zakończenie owej rozprawy « Wiadomości Polskich », z której Lelewel przytoczył nam urywkowe wyjątki. Zakończenie to brzmi jak następuje : « Niejeden z tych panów ma może szlachetne zresztą marzenie, że jest piastunem tradycyi narodowych; niejeden odwołuje się do owych tradycyi w życiu. To niechajże będą podobnymi

w czemkolwiek do owej dawnej szlachty, w której, jak mówi poeta, tli się senatorska wspaniałość i tkwi stara śmiałość, i niewoli wzgarda bucha. Wspaniałości senatorskiej okazać nie mogą. . . lwięj odwagi dowieść nie przychodzi pora. . . lecz wzgardę łask obcych, lecz godność szlachetną, codzień mają sposobność okazać. Niechajże po tych przynajmniej oznakach naród ich pozna, że od tej wielkiej szlachty pochodzą, która chrześcijaństwa broniła. . . » Czy tak odpowiedział Pan Tarnowski Panu Wielopolskiemu? Bynajmniej. Znowu podlaźł swoim zwyczajem i — poprawił się. Kiedy niebawem po tym Liście Pan Lisicki ogłosił nowe dzieło o Alexandrze Wielopolskim, pod tytułem Żywotu Helcla, Pan Tarnowski dał mu pocałowanie braterskie, wziął go pod ramię i wprowadził do areopagu pisarzy krakowskich. Dzieło to jest, jak wiadomo, zbiorowiskiem nieuctwa i zaślepienia, zawsze z sobą w parze idących; Pan Lisicki tam pisze o Helclu, o którego osobie, charakterze, talencie i nauce nie ma nawet encyklopedycznych wiadomości; pisze o rewolucjach i sprzysiężeniach, o których wie tylko tyle, ile wyczytał z kilku broszurek; obok tego tarza w cuchnącem błocie wszystkich najznamienitszych mężów, jakich Polska wydała w czasach rozbioru i po rozbiorze, i posuwa się w końcu do takiego wściekłego bluźnierstwa: « że w owych czasach w całej Polsce nie było dziesięciu ludzi rozumnych i uczciwych », a Pan Tarnowski to dzieło chwali i mówi: « że Pan Lisicki pięknie wywiązał się ze swego zadania », a « jego obraz, jako całość udał się bardzo dobrze. » Taka jest odpowiedź Pana Tarnowskiego na pogardliwy List Zygmunta Wielopolskiego; ale czegoż się można po tym

pisarzu spodziewać, jak skoro już w swojej krytyce poprzedniego dzieła o Aleksandrze Wielopolskim tegoż samego Pana Lisickiego, po długich wykrętach i wywijaniach, ogłosił światu, jako apostoł szkoły krakowskiej : « że Polska z swej własnej winy utraciła pewną część praw do niepodległości ! » Przez długie czasy prawili nam takie rzekome prawdy najęci pisarze niemieccy i moskiewscy ; słuchaliśmy ich ze wstrętem, ale ze spokojem, bo same one się odbijały od jednolitej a granitowej podstawy naszej narodowej istoty. Ale dzisiaj na naszej własnej ziemi wyrasta szkoła, która wyręcza owych Moskali i Niemców, — a podkopując fundamenty moralności publicznej, ćwierając narodowego ducha na części odpowiadające rozbirom i nazywając nakoniec tę ojcobójczą robotę tylko « nową metodą, ogłasza się zbawcą, a jest zabójcą ojczyzny. « Metodzie » takiej należy wreszcie koniec położyć. . .

W tej chwili Potocki przerwał, bo wielki ruch dał się słyszeć koło nas. Zdało się, jakoby wichry szumiały ponad niezmiernymi puszciami lasów, albo jak gdyby morza przerwały tamy i olbrzymimi falami zlewały się z sobą. Spojrzymy około siebie i widzimy, że chociaż już przedtem rozliczne duchy koło nas się zgromadziły, teraz zaczęły nas zdala otaczać nieprzejrzone rzesze dusz polskich, zlewające i równające się z sobą, jako kłosa na łąkach. Już tam nie było rozpoznać, kto z szablą w ręku a kto z kajdanami na nogach dosłużył się duszy zbawienia, kto wymównemi usty a kto słowem pisanem błogosławieństwo Boże sprowadził na siebie : jako prądy na morzu,

niewidzialne dla oka, tak owe strumienie dusz łączyły się z sobą, — a wszystkie razem przedstawiały nam jedność, całość i niepodzielność nierozzerwanego przez dziesięć wieków narodu.

Nad szumiącymi strumieniami dusz unosiły się duchy wyższe, w postaci światła nie rzucających promieni: więc nad ludem wiejskim Kościuszko, — nad żołnierzami Xiążę Józef z generałami legionów, — nad sybirskimi wygnanymi błyszczała wspaniała gwiazda potrójna: to duchy trzech świętych niewiast polskich, Róży Sobańskiej, Grocholskiej i Brzozowskiej.

Tymczasem taki sam szum jak przedtem dał się słyszeć nad naszymi głowami.

To dawne wieki z wyżyn niebieskich spuszczały się na nas, układając się odrębnymi warstwami w przestworze. Każdy wiek miał barwy i kształty odmienne. Wiek Wazów jak chmura szarego koloru, po której krwawe błyskawice latają. Trzy wieki poprzednie jakoby promienne mgławice, pełne rycerskiej świetności i blasku, pełne wspaniałości hetmańskiej, a zwycięskie chorągwie w nich powiewają. Wieki Polski w podziałach, zamęczone cierpieniem i poświęceniem, jak czasy nasze, a Biskupy pancerne na koniach stoją na straży jedności narodu. Nad nimi wiek Bolesławów jak zbity w sobie gwiazd migocących gromada, a w jej środku świeci niespożyтым blaskiem słońce Chrobrego.

Oddech mi się zaparł w piersiach i święty dreszcz ścisnął mi serce: nigdy całej Polski w takiej pełni i wspaniałości nie widziałem. Po rzeszach przeszedł szmer miłości i uwielbienia.

Słońce, chociaż już pochylone ku zachodowi, oblewało nas światłem gorącym, ale przezrystem. Tylko zdaleka od nas podnosiły się jakoby chmury złotego kurzu. Nad nami kołysały się jak orły w powietrzu idee wieków. Po między nami podniosła się owa wielka pieśń ciszy, która jest grobem dźwięków, a którą tylko duch słyszy.

A wtedy Xiążę Biskup stanął na podnózu swojego tronu, podniósł prawą rękę i rzekł:

— Błogosławieni ci, którzy wierzą i trwają, bo tylko tym będzie dano doczekać lepszej przyszłości na ziemi i wiecznej nagrody po śmierci.

Zaczem miał do nas długą przemowę, a mówił tak, jak gdyby kazał na ziemi. Ale nie wymagaj Waszmość odemnie, prostego człowieka, abym ci tę całą przemowę powtórzył. Ani mój umysł, nie ćwiczony w naukach, ani pamięć moja nie są po temu. Lecz spamiętałem sobie co głównejsze ustępy, a te ci powtórzę dosłownie.

— Rzeczpospolita Polska, — przechodząca od X do XIV wieku, jak wszystkie państwa ówczesne, rozmaite koleje losów, ale w tych zmianach wciąż wzrastająca i stanowiąca nareszcie w następnych dwóch wiekach jedno z najpotężniejszych i najoświecieńszych państw w Europie, — zaczęła się już z początkiem XVII wieku ku upadkowi pochylać. Zwichnięcie tradycyjalnej polityki, dążącej do przewagi nad Północą i Wschodem, nierozumne zachowanie się z kozaczną, poddanie się szkodliwym wpływom Habsburgskiego Domu i Apostolskiej Stolicy, wyrastająca w potworność przewaga szlachty z oligarchami na czele, a stąd niemożność zaprowadzenia jakiegokolwiek organizacyi zdolnej do dalszego rozwoju: były przy-

czynami upadku Państwa. Taż sama przewaga szlacheckiego żywiołu, jego szczelne zamknięcie się w sobie i niedopuszczanie innych warstw społecznych do praw i obowiązków obywatelskich, tłumienie miast, ucisk wiejskiego ludu, a wreszcie zatamowanie dalszego rozwoju oświaty przez oddanie szkół Jezuitom: oto przyczyny podupadania narodu. Wszakże co wieki zbudowały, tylko wieki mogą rozburzyć. Stąd, mimo ciągłego pochylenia się państwa i narodu, Rzeczpospolita była jeszcze tak silną, iż w drugiej połowie XVII stulecia zdołała się własną potęgą, z pod zalewu poczwórnych najeźdców uwolnić, a pod koniec tegoż stulecia świat chrześcijański od azyatyckiej przemocy obronić. Były-to jednak już ostatnie starej Polski tryumfy. Dziesięcioletnie domowe wojny po śmierci króla Jana III-go osłabiły do reszty wewnętrzną budowę Państwa, a przytem otworzyły na ścieżaj jej wrota wpływom postronnym: te dwa czynniki osłabiły naród do reszty, znużywszy jego siły moralne i wyczerpawszy go materyalnie. Po klęsce Połtawskiej i ustaleniu siebie na polskim tronie, król August II zrozumiał to położenie i chciał mu zaradzić: ale więcej swym własnym, niżeli interesem narodu wiedziony, zamierzył tylko skołatany gmach państwa na nowych odbudować podstawach, bez względu na istotę i moralne potrzeby narodu, owszem nawet z ich szkodą, bo przedsięwziął cel ten przedewszystkiem osiągnąć środkiem, nie rozszerzenia umiarkowanych potrzebami państwa wolności na wszystkie warstwy społeczne, lecz ukrócenia wogóle istniejących wolności narodu za pomocą i na korzyść przewagi panującej rodziny Saskiej. Cóżkolwiek bądź, naród miał wówczas

przed sobą dwie drogi: albo poddać się zamiarom królewskim i dozwolić mu odbudować państwo w kształcie nowożytnych monarchii, a odzyskanie utraconych w tym razie praw i wolności zostawić pokoleniom następnym, — albo swoje swobody i prawa od despotycznego zamachu ocalić, a odbudowanie państwa przyszłemu zostawić czasowi. Sądząc tę sprawę dzisiejszym rozumem stanu, należy powiedzieć, że trzeba było przede wszystkim ratować państwo: naród byłby nawet i pod despotycznym rządem nie zginął i byłby prędzej lub później odpowiednią czasowym potrzebom część swobód odzyskał. Ale tego rozumu stanu nie miał wówczas żaden z europejskich narodów; miały go tylko panujące dynastye. Gieniusz naszego narodu był tylko do wygaśnięcia Jagiellońskiej rodziny w jakiegokolwiek zgodzie i równowadze z ideą państwa; już pod koniec XVII wieku wszedł z nią w rozterkę, a odtąd, brakiem stałej dynastyi, rozbujawszy się po bezgranicznych przestworzach jednostronnie pojętej wolności, nie podniósł się aż do Ustawy Trzeciego Maja do jej trafnego pojęcia. Gieniusz narodu, jakim był wówczas, musiał koniecznie wybrać drogę ostatnią: toż zawiąawszy konfederacyę Tarnogrodzką, złamał zamiary królewskie. Dziejopisarze, nie umiejący się wznieść na stanowisko bezstronne i przedmiotowe, i w tym wypadku znajdują winnych: wszelako nam przystoi powiedzieć, że myśl oporu przeciwko odbudowaniu monarchii, która przewodniczyła Konfederacyi Tarnogrodzkiej, była koniecznością dziejową, — a źródła jej należy szukać, nie w czasach pochylenia się, ale właśnie w epoce najwyższej naszej świetności, w epoce Zygmuntońskiej.

Po takim wstępie Xiąże Biskup tak mówił dalej :
— Nie wchodźmy w sprawę, coby się było stało, gdyby był August II zwyciężył. Dowiedlibyśmy z łatwością, że instynkt narodu w tym razie był trafny. Powiedzmy natomiast, że idea państwowa i idea niepodległości narodu przestały być jednoznaczniem w uczuciu ogólnem, a nawet w pewnym znaczeniu stanęły oporem przeciwko sobie. Naród nasz, zwyciężywszy ideę państwową w tej formie, w jakiej August II chciał ją wprowadzić w życie, powinien był teraz zabrać się do jej przeprowadzenia w tych kształtach, które odpowiadały jego własnym tradycjom z czasów jego najwyższej potęgi. Ale tak się nie stało. Naród, upojony nad miarę zwycięstwem, a uprzedzony przeciwko wszelkiej reorganizacji maszyny państwowej, zamknął siebie i państwo jak najszczelniej w tych nieszczęśliwych warunkach bytu, w których już od wieku odbywał się proces rozkładu. Nie było tam wtedy ani stronniectw przewrotnych, ani ludzi złej woli; było tylko zaślepienie ogólne, wynikające z braku oświaty. Toż jeżeli w naszych dziejach jest chwila, w której Rzeczpospolita sama sobie grób wykopała, to jest nią właśnie chwila Niemego Sejmu, — i jeśli jest epoka zupełnego upadku Polski, to jest nią właśnie, wbrew wszystkim chronologiom i kartom politycznym, bezpośrednio po tym Sejmie następująca epoka Saska. Gruntowne rozchwianie podstaw dawnego państwa, zupełne zaniedbanie stosunków zewnętrznych, górująca zasada « nie miészania się w sprawy obce » i wyzebrywanie tym środkiem bezpieczeństwa swych granic, kraje graniczne od Prus i od Rosyi oddane dowolnym grabieżom i poborom tych obu-

dwóch sąsiadów, wojska rosyjskie ciągle, a pruskie często przeciągające, obozujące, furazujące, a nawet wybierające rekruta bez zezwolenia rządu po kraju; do tego wewnątrz administracji żadnej, policya w rękach dowolnych, skarbu tylko cień jakiś, sądownictwo bez żadnej powagi, a cała armija Korony i Litwy zredukowana do kilkunasty tysięcy ludzi, służących tylko przy konsekracjach biskupów i koronacyach obrazów świętych: oto ówczesny stan państwa. Ciemnota powszechna rozszerzona do tego stopnia, że wielu szlachty podpisuje się znakiem krzyża świętego, narodowego światła upadek zupełny, edukacya publiczna, w której panuje alwar z batogiem, w stanie potwornym, dawna wzniosła i czysta pobożność zanurzona w przesądach i zabobonach, pieniactwo, kosterstwo, pijaństwo i biesiadnictwo, grasujące jako choroby dziedziczne po kraju, duchowieństwo zepsute, sędziowie przekupni, miasta podupadłe, lud uciśniony i ciemny, — a pomiędzy tem wszystkim rozpierających się kilkudziesięciu magnatów, wodzących tłumy szlachty za sobą, trząsających sejmikami, napadających na trybunały: oto stan ówczesny narodu. Naród nasz, roztoczywszy do reszty ściany i fundamenty gmachu państwowego, zaczął sam siebie roztaczać i popadać w zgniliznę, — i miał on wówczas tyle już tylko siły żywotnej, ile dać może więz związków rodzinnych, krewkość temperamentu i moralna wielkiej przeszłości puścizna. Toż jest-to z całych naszych dziejów, należy to raz jeszcze powtórzyć, epoka najniższego upadku Polski.

A któż-to, — zawołał wtedy Xiążę Biskup głosem potężnym, — umierający ten naród ze snu obudził? Kto go

otrząśł ze zgnilizny? Kto wskrzesił w nim dawną moralność i jego dziejowe tradycje? Kto natchnął go duchem ofiary i poświęcenia i pchnął go na owe tory, na których wkrótce dawną potęgę duchową, a nawet dawne znaczenie odzyskał i po których kroczy do dziś dnia ku swojej lepszej przyszłości? — Czy ci, co bezwarunkowo z przeniewierczym królem trzymali? czy ci, co się z Moskalami łączyli przeciwko Konfederatom Barskim? czy ci, co się sprzeciwiali Ustawie Trzeciego Maja? co się usunęli od Kościuszkowskiego Powstania? co Legiony nazywali awanturnictwem? czy ci, co w czasie Listopadowej wojny opierali się przeciw wyprawie na Litwę i z Mikołajem wchodzili w traktaty? czy ci, co po tej wojnie płaszczyli się przed zaborczymi rządami? co w roku 1846 oddawali Polskę na łaskę i niełaskę Carom rosyjskim, a w dwa lata później chcieli ją utopić w konfederacji słowiańskiej? czy ci, co z Wielopolskim zamierzali ją zbawić brankami do szeregów rosyjskich? czy ci nareszcie, którzy po rozbiórce polskiego państwa na trzy zabory chcą naród polski rozćwiertować na trzy odrębne kawały? — A nie te niepoliczone miliony rycerzy, mężów stanu, mowców, pisarzy, apostołów i męczenników, które tutaj widzicie zgromadzone około siebie, a które były najwyższym wykwitem rozumu, cnoty, moralności, zapału, ofiary i poświęcenia? Nie ci, którzy w Konfederacyi Barskiej podnieśli czysty i nieskażony sztandar narodu? którzy odbudowali naród i państwo w Ustawie Trzeciego Maja? którzy pod Dubienką i Maciejowicami z ciał swoich wiekuisty pomnik postawili całości narodu? którzy za Polskę kośćmi swemi całą Europę zasłali od Somo-Sierry do Smo-

leńska i Moskwy? którzy poświęcili częściowe swobody w Królestwie, widząc swych braci uciemżonych na Rusi i Litwie? którzy potem tysiące zawiązali sprzysiężeń, ażeby ducha narodowego utrzymać przy życiu, który we wszystkich ziemiach polskich przemocą tłumiono? którzy za to ginęli na szubienicach, gnili w więzieniach i marli w kopalniach sybirskich? którzy nareszcie rozpaczliwe podnieśli powstanie, aby okazać, że naród, wierny swojej przeszłości, przenosi śmierć nad zniewagę? — Zaprawdę powiadam wam, ciężkie-to jest zaślepienie, spaczenie serca i wykrzywienie rozumu, jeżeli ktoś w dziejach tak jasnych nie umie znaleźć prawdy dziejowej.

Kiedy Stanisław August zasiadł na tronie, — mówił dalej duch wzniosły Sołtyka, — chociaż to był król narzucony przez wroga, cały naród się zgarnął ku niemu i nie pragnął niczego więcej, jak wykonywać jego rozkazy, aby się podnieść z upadku. Ale zdradzony przezeń i opuszczony w Konfederacyi Radomskiej, przejrzał od razu, że ma na tronie wiernego sługę Carycy, i podniósł Konfederacyę Barską, aby własnymi siłami dobić się swego ratunku. Konfederacya Barska nie była ostatnim rycerskim czynem umierającej, ale pierwszym podrywem budzącej się Polski, i jako taka słusznie nazwaną jest «*zorzą narodu*». Konfederacya Barska była zarazem stanowczym postępem w znaczeniu społecznym, bo podniesioną została, nie przez oligarchów, ale przez demokratyczny gmin szlachecki, który też przypuścił do równości ze sobą wszystkich bez różnicy stanu, co się bić chcieli za Polskę. Pomimo upadku Konfederacyi i dokonanego pierwszego rozbioru, Polska, rozbudzona tym wielkim czynem dziejo-

wym, rozwija czynność tak energiczną i skrętną, jaką podówczas tylko we Francyi widzimy: a chociaż słaba i uciśniona, dobiega pierwiej do celu niż Francya i odtwarza naród i państwo w Ustawie Trzeciego Maja. Ustawa ta jest dotychczas skarbnicą mądrości narodu i, wbrew fałszywym prorokom, którzy się na nią miotają, będzie jeszcze dla wielu pokoleń główną szkołą rozumu stanu. Naród, powtórnie przez swego króla zdradzony, upada w bitwie Maciejowickiej, ale ginie walecznie i świetnie, i w swoim upadku wskazuje swemu potomstwu, w których warstwach społecznych ma odtąd szukać swego zbawienia. Nie mogąc nowej rozpocząć czynności na własnej ziemi, instynkt ludzi wybranych wskazuje mu, gdzie swoją żywotność może objawić, — i wtedy tworzą się polskie legiony. Upadająca, a nareszcie upadła Polska w cudowny sposób mnoży i wzmaga swe siły: Konfederacya Barska nie była w stanie piętnastu tysięcy ludzi na jednym punkcie zgromadzić, Ustawa Trzeciego Maja zgromadziła ich już piędziesiąt tysięcy, w legionach bywało jednocześnie po osmdziesiąt tysięcy, a przez legiony przeszło różnymi czasy dwa kroć sto tysięcy polskiego żołnierza. Gdyby armia Kongresowego Królestwa była stała dla wszystkich ochotników otworem, byłaby się składała co-najmniej ze stu tysięcy regularnego wojska. W tych masach wojskowej młodzieży objawił się w chwili wybuchu Listopadowego Powstania jasnowiedzący gieniusz narodu, — i stamtąd wyszły zbawcze dla nas wołania: Za Bug i na Litwę! Zwyciężyła, niestety, mądrość xiążkowa, ażeby do upadku przywieść powstanie. Po klęsce, Mikołaj wydał hasło: « że Polska będzie, ale Polaków nie bę-

dzie», — i trzy rozbiorowe mocarstwa zawarły ze sobą sprzysiężenie na tej podstawie. Ażaliż przeciwko sprzysiężeniu naród polski miał inny środek do walki jak sprzysiężenia? Zaślepienie i bezrozumne-to głosy, które mu z tych sprzysiężeń czynią zarzuty, boć była-to w jego rękę broń, nie zaczepna, ale odporna. Jego prześladowcy go sami do niej zmusili. Przypomnijmy sobie, jak srogim i nieubłaganym nas wtenczas przygnieciono uciskiem w całym zaborze rosyjskim, jak drapieżnie i nielitościwie postępowali z nami Prusacy, jakie żelazne zapory postawiono rozwojowi ducha polskiego w Małopolsce i na Rusi Czerwonej. Zasiadając do sądu nad uczynkami naszymi, nie zapominajmy o tem, w jakim stanie znajdowały się wówczas zwłaszcza te ostatnie prowincye. Język polski był zupełnie wykluczonym z administracji i szkół publicznych, za lada polską książeczkę zamykano dzieci do więzień, za lada schadzki wytaczano procesy o zbrodnie stanu, nie dopuszczano nigdzie nawet Polski wspomnienia, — iluż-to było ludzi dorosłych w tym kraju, mówiących jeszcze lada jakim językiem polskim, lecz nie wiedzących o dziesięciu wiekach historii polskiej nawet tyle, ile dziś wiemy o naszych dziejach bajecznych? Niepoliżone sprzysiężenia ówczesne, które potrójną siecią nakrywały te kraje, miały tylko w głowach swych twórców zbrojne powstanie na celu: między spzysiężonymi służyły one tylko za środek uczenia się języka i dziejów narodu. Jakoż, jeżeli krwawą łzę trzeba uronić nad rzezią Tarnowską, to przecież nasze dzieje nas uczą, że dopiero od rzezi obudził się duch narodowy w Galicyi. Taką samą usługę oddało ostatnie powstanie Królestwu i Litwie. Z wyroków

Bożych krwi trzeba było na to, ażeby się pomnożyła liczba Polaków i aby ich wszystkich przejęła miłość ziemi ojczystej i duch ofiary i poświęcenia. Policzmy się sumiennie pomiędzy sobą: obaczmy, ilu nas było w czasach rozbiorów, jakeśmy odtąd, pomimo tylu prześladowań i ofiar, ciągle się rozmnażali i rośli, i ilu nas jest dzisiaj w porównaniu z tymi, którzy się pozostali po trzecim rozbiorze, — a wtedy, lecz tylko wtedy, zdołamy sprawiedliwie osądzić, czy idee i środki, któremiśmy się posługiwali, ażeby nasz naród utrzymać przy życiu, odpowiedziały swojemu celowi. Wszelkie na innych podstawach oparte sądy, to są mrzonki głów wypaczonych i pustych, to oderwane od prawdy dziejowej teorie niepowołanych proroków, to sidła zastawiane przez politycznych wszeźteczników na sumienia i serca pokoleń żyjących!

Zaczem Xiążę Biskup, wypogodziwszy wspaniałą twarz swoją, zakończył prawie w te słowa:

— Naród nasz w czasach dzisiejszych rozrósł się, wzmochnił i spotężniał do tego stopnia, że nie potrzebuje uciekać się do sprzysiężeń. Duch jego krzewi się własną swą siłą w rodzinie, w szkole, w literaturze, w naukach, w stowarzyszeniach, w reprezentacjach i w zakładach publicznych, — i nie masz już dziś tej przemocy brutalnej, któraby go potrafiła utłumić. Walka pomiędzy nami, a naszymi nieprzyjaciółmi odbywa się dziś bronią moralną. Jużi oni dziś zrozumieli, że im większym nas przygniatają uciskiem, tem większą w nas wywołują siłę oporu, — a jeśli są jeszcze pomiędzy nimi, którzy wierzą w skuteczność siły brutalnej, to i ci wkrótce przejrzą i pod naciskiem opinii publicznej ich własnych ludów broń tę po-

rzucą. Dziś nie potrzebujemy także uciekać się do zbrojnego powstania. Powstania stały się niemożliwymi w obec takich olbrzymich armii stojących, — a zarazem stały się niepotrzebnymi, jak skoro dalszy rozwój naszego ducha narodowego nie potrzebuje wstrząśnień gwałtowych, mając dość siły, aby się mógł dalej rozwijać na drodze pracy spokojnej. W pracy tej tracimy częściowo ziemię na naszych kresach zachodnim i wschodnim: takie jest zrzęczenie losów niezawisłych od naszej woli. Ale natomiast potężniejemy tam, gdzie nie jesteśmy przetłani niejednością z nami ludnością, albo gdzie nad nią mamy moralną przewagę; posada naszego ducha staje się głębszą, tkanina naszej więzi społecznej równiejszą i gęstsza, oświata nasza obszerniejszą i gruntowniejszą, — a tak odradza się w nas owa siła przyciągająca, która swojego czasu złączyła z nami Ruś, Litwę i Ukrainę. Któż wie, jakie są drogi, któremi duch naszych dziejów nas wiedzie do naszych przeznaczeń! Przeszłość nasza jest dość potężną i świetną, aby się odezwała w naszej przyszłości i ogromadziła koło nas szczepy pokrewne. Ale to stać się nie może wtenczas, jeżeli sami naszą przeszłość obrzucimy klątwami, jeżeli nasze najświetniejsze czyny dziejowe nazwiemy błędami, jeżeli naszym najznamietniejszym mężom odmówimy rozumu, cnót i zasługi, a sami pójdziemy w służbę ciemnoty, reakcyi i absolutyzmu, — a stanie się tylko w tym razie, jeżeli, pełni czci i miłości dla naszej bohaterskiej i męczeńskiej przeszłości, pójdziemy drogą ubitą przez naszych wielkich praojców i będziemy wszędzie i zawsze obrońcami rozszerzenia oświaty, wyjarzmienia ludów z pod despotyzmu ich władców i rozumnymi prawami umiarkowanej wolności.

W ostatnich czasach, korzystając z chwilowego omdlenia ducha w narodzie, wyroliła się między grobami naszych wielkich umarłych rzekoma szkoła, powyższym zasadom, które po wszystkie czasy były ewanelią naszego narodu, pod wielu względami przeciwna. Zdaniem jej naród polski stracił skutkiem swych własnych przewinień prawo do niepodległości — i powinien sam się rozdzielić na trzy odłamy, z których każdy ma szukać znośnego tylko istnienia w przedsiönku zaborczego mocarstwa, do którego należy. Ażeby dowieść błędnego mniemania, przewodnicy tej szkoły rzucili się z namiętnem uprzedzeniem na naszą epokę porozbiorową, aby jej ducha obniżyć a tegoż dziejowe znaczenie wykrzywić i podać lekceważeniu i wzgardzie. Roboty te, mające partykularne a nie narodowe widoki na celu, nazwali oni z pychą, właściwą wszystkim fałszywym prorokom, nową szkołą historyczną. Owoż główna zasada tej szkoły jest błędną: bo naprzód, naród podzielony sam w sobie i zmierzający każdym swoim odłamek do innych celów, przestałby być narodem, — a potem, przestawszy być jednolitym narodem i zamieniwszy swe części na pozostałości jestestwa, nie mającego własnego bytu, przeznaczone tem samem na to, ażeby zostały spożyte przez organizmy sąsiednie, wyrzekłby się nieodwołalnie wszelkiego prawa wymagania nawet dla tychże części jakiegokolwiek odrębnego istnienia. Jeżeli mocarstwa zaborcze z narodem polskim się liczą, to tylko dla tego, że, mimo politycznych podziałów, jest on jednolitym i stanowi nawet najgwałtowniejszą pręmcą nierozzerwaną jedność i całość: podzieliwszy się sam na części, stałby się we wszystkich swych częściach bez-

duszną materyą, mogącą służyć tylko na karm dla innych organizmów państwowych. Szkoła ta zatem jest płytka, a jej rozum stanu nie sięga po za granice praktyk fakcyjnych. Toż nie jest ona nawet szkołą historyczną, tylko polityczną, — nie szkołą krytyki, tylko szkołą rekryminacyi, — nie « mistrzynią życia », tylko służebnicą interesów bieżących. Szkoła ta wywołuje pewne zaniepokojenie pomiędzy patriotami, pracującymi sumiennie około lepszej przyszłości narodu. Ale my takich szkolnych obłędów mieliśmy już wiele od czasu wojen napoleońskich. A wszakżeż i to była szkoła, która, uznawszy Mikołaja królem polskim i poprzestawszy na Kongresowem Królestwie, wyrzekła się wszystkich innych części Rzeczypospolitej polskiej i gotowa była tym patriotom, którzy się opierali dobrowolnemu podziałowi narodu, kazać ucinąć głowy toporem katów moskiewskich. Niebawem potem, na Rusi, utworzyła się szkoła reakcyjno-ultramontańska, z której jak raca wystrzeliły « Mięszaniny Obyczajowe », a których zdaniem wszelki ruch liberalny na ziemiach polskich był tylko szmerem robactwa, toczącego trupa narodu. Jednocześnie dwie inne szkoły powstały w tułactwie : szkoła mesyanizmu, która najwyższy swój wyraz znalazła w « Biesiadzie », i szkoła filozofii narodowej, która swe zrozumiałe zasady złożyła w « Chowannie », aż wreszcie obydwie połączyły się w owem przesławnem dziele, które się nazywa « Ojciec nasz » i które zapewne całe jest w niebie, lecz w niebie takim, do którego za pomocą pięciu zdrowych zmysłów jeszcze nikt się nie dostał. Wszystkie te szkoły były chorobliwymi wytworami zboląłego serca i spaczzonego rozumu. Niektóre z nich wypowiedziały za-

sady nader przewrotne, a nawet zabijające : ale wszystkie minęły bez szkody, — a ich nauki pozostały tylko jak drogoskazy, ostrzegające wędrowca, kędy znajdują się bagna i topieliska. Tak samo minie także i nowa szkoła krakowska. . .

Duch naszego narodu jest jako dąb starożytny, na którym od czasu do czasu jakiś konar usycha. Jak długo ciosa, uschnięty konar trzyma się pnia, a nawet czasem skarłowaciałe tryby wypuszcza. Ale za pierwszym silniejszym zdrowego powietrza powiewem, łamie się z trzaskiem, a wtedy licho go niesie na cztery wiatry. Dąb mimo to tak jest wspaniały i rozłożysty, jak dawniej, a na miejscu spruchniałego konara zostaje tylko plama na korze.

Brońmy się przeciw pokusom takich obłędów szkolnych, ale nie sądźmy, ażeby one nas zdołały wyrzucić z tej drogi, na jaką nas wprowadził dziesięciowiekowy duch naszych dziejów. Potęga narodowego gieniuszu jest daleko silniejszą, niżeli znikomy rozum, szukający pożytku dla dnia dzisiejszego. Rozum taki jest przemijający; kierunek wytknięty od wieków duchowi narodu jest wiecznym. Pracujmy dalej w tym samym kierunku, licząc się roztropnie i mądrze z wypadkami, na których bieg nie możemy mieć wpływu. Przyjmujmy z wdzięcznością ulgi, jakie nam przynoszą pomyślne okoliczności, i starajmy się postępowaniem rozważnem nowych ulg sobie przysporzyć. Umiejmy milczeć, kiedy mówić nie pora, umiejmy czekać, kiedy wypadków nie możemy przyspieszyć; nie dobijajmy się niecierpliwie rzeczy takich, które w danej chwili nie są możebne, i urządzajmy pracę naszą według danych a nie-

przełamanych warunków. Ale nie usiłujmy kupować sobie swobód przemijających kosztem dóbr naszych najwyższych i wiecznych, któremi rozporządzać nie ma prawa żadna prowincya, ani żadne stronnictwo. Praca nasza, ograniczona tem przykazaniem, chociaż może jeszcze dłu-ka i żmudna, nie pozostanie bez skutku : owoc tej pracy sam swego czasu dojrzeje, — a wtedy dziejowa konieczność straci go z drzewa naszych wiekowych poświęceń i trudów, ażeby służył ku pożywieniu pokoleń następnych.

A my, którzy tu w świecie duchowym stoimy na straży sumienia naszych następców, zawołajmy z poetą :

Chwalmy Pana ! Przed nami on stępuje przodem,
W nocy słupem ognistym, a we dnie obłokiem,
Do ziemi obiecanej dójdzie z swym narodem :
A znużone nam dusze pokrzepi widokiem
Kraju wiosny, co płynie i mlekiem i miodem,

A kiedy Xiążę Biskup skończył swoją przemowę, owe wzniosłe obrazy naszych dawnych wieków rozplynęły się zwolna po niebie, a rzesze dusz rozlały się po przestworze, właśnie jakoby mgły ranne, które rzednieją, oddalają się, a nareszcie znikają.

Już też i słońce zaszło i lekki zmrok zaczął zapadać.

Myśmy zostali sami, jako się zwykle zbieramy na koło.

Zaczem Pan Ignacy Potocki, który najpierwszy ochłonał z wrażenia, zabrał głos i tak zaczął mówić :

— Wszystko-to dobrze ! Samozwańcze szkoły się tworzą i mijają bez szkody. Ale kraj je przyjmuje. Coż powiedzieć o kraju, który zezwala na to, ażeby karyerowicze dobijali się do wysokich urzędów, ażeby polityczni agitatorowie zasiadali na naukowych katedrach, ażeby starcy ze skrzywionemi głowami ubierali się w szaty kapłańskie. . .

Ale w tem ogromny głos zawołał silnie i przeciągle nad nami :

— *Hal-la-li!*

A wtedy znaleźliśmy się wszyscy na wielkiej polanie, otoczonej z dwóch stron niebotycznymi borami, podszytymi wrzosem i inną krzewiną. Z trzeciej strony jakaś wspaniała rzeka płynęła w oddali, a z czwartej czarne piętrzyły się skały. Ktoby nie wiedział, żeśmy tak daleko od ziemi, mógłby rozumieć, żeśmy w puszczy Niepołomickiej i widzimy Wisłę przed sobą.

A na środku polany leżały stopy dzikiego zwierza : niedźwiedzie i wilki, rosomaki i lisy, łosie i ostrowidze, tu jeleni rogaty, a tam żubr brodaty, wszystko to haniebnie pobite i podruzgotane.

Właśnie Wojski, jako to żadne łowy nie mogą się obejść bez niego, przyłożył do ust swój róg centkowany i chciał otrąbić zwycięstwo : kiedy wtem dreszcz przeszedł po nas, jak się to nam zwykle zdarza, kiedy czujemy zbliżanie się jakiegoś wielkiego zdarzenia.

Przytuliliśmy się jedni do drugich, — aż tu św. Piotr wychodzi z za skał i poważnym krokiem do nas się zbliża.

Miał on jak zwykle klucze u pasa i owę złotą tabakierę trzymał w swych ręku, którą, jak powiadają, niedawnymi czasy w podarunku otrzymał od jednego z ostatnich Papieży, kiedy mu robił niejaki trudności około bramy niebieskiej. Ale mimo łagodnego wyrazu około ust, gniewny był dzisiaj, brwi miał nastroszone, a w oczach błyski bardzo niepewne.

Więc my uszy po sobie : a tymczasem św. Piotr, rzuciwszy okiem po nas i po całej polanie, rzecze naprzód jak gdyby do siebie :

— Już oddawna slysze pukanie, a nie wiem, gdzie to poluja.

A potem do nas glosem surowym :

— A kto-to Wasciom pozwolil spuszczac sie na ziemie i takie tam lowy wyprawiac, ze az sie strzaly rozchodza po niebie ?

Wiecej na to Imc Pan Pasek, ktory i tutaj rad idzie na pierwszy ogien, wysunal sie naprzod i rzecze :

— *Illustrissime*, dobrze nam sie tu dzieje z laski Jego-mosci, ale w tej szczesliwosci niebieskiej godzi sie tez czasem cokolwiek rozerwac, bo przy tych ciaglych slodyczach dziwnie człek pragnie chociazby lyzke staropolskiego bigosu.

Ale sw. Piotr, majac go zapewne juz oddawna na pieńku, haniebnie sfukal go za to :

— A Wasc-byś milczec powinien ! Patrzcie-no go. Zuchwalec jakis, jeszcze mi odpowiada. Dam ja tobie bigosu ! A czy-to myslisz, zem ci juz zapomnial, jakos sie tutaj wrabal krzyzowa sztuką, a nawet mi poturbowal aniolow, co wejścia bronili, ze jeden z nich dotad na lewa noge kuleje ? A czy-to ja nie wiem, cos-to tam ze szwaczkami wyprawial w duńskich obozach ? a jakie spiski knowales w wojsku ? a karbownika niewinnie dales na męki ? A czy-to Wasc nie wiesz, jakie tu kary sa na tych, co swoich bliźnich w ręce kata oddaja ? A tobie to wszystko płazem uchodzi — i jeszcze sie rozzuchwalasz ? Otoz powiadam tobie, ze ja tu takich zolnierzy nie znosze, co wyprawiaja halasy, chocby sie cale zycie bili za Polske. Co mi tam wasza Polska ! Kochajcie ja sobie, jak chcecie, lecz wiedzcie o tem, ze tutaj w niebie nie masz ani tych ani owych

narodów : tutaj jest równość dla wszystkich. A wy jeszcze i tutaj się oddzielacie od innych, na sejmy się zwołujecie, polityką się zabawiacie, a przytem mi taki robicie harmider, że Święci Pańscy nawet snu spokojnego nie mają. A czy-to nie dość nawichrzyliście światem za życia? czy może jeszcze i tutaj rowolucye robić będziecie? . . .

Ale w tej chwili Xiąże Biskup uśmiechnął się do niego, pogroził mu palcem i rzekł :

— Ej, nie pieprz Pietrze, bo przepieprzysz. . .

Więc św. Piotr sam się także uśmiechnął, lewem okiem mrugnął do Xięcia Biskupa, podał mu tabakierę i sam zażył tabaki, i rzekł już łaskawie :

— A jakżeście-to polowali? z sieciami, obławą czy z ogarami?

A wtedy Niemcewicz, który ma wielkie łaski u niego, odpowie mu na to :

— My po staremu, z gończemi.

Więc św. Piotr spojrział z uśmiechem na niego i rzekł :

— A Waszmość ślubowałaś jeszcze za życia, że nawet i w niebie będziesz « agitował za Polską », toż mnie nie dziwi, że cię tu widzę.

Zaczem rzucił okiem na stosy zwierzyny i dodał :

— Nie małoście tego natłukli i grube-to sztuki; jeno że drobniejszej zwierzyny pomiędzy niemi nie widzę.

A wtedy Wojski wysunął się naprzód, pokłonił mu się do kolan i rzekł skromnie : « że od króla Lecha, żaden za zajęciami nie jeździł Hreczecha. »

Więc św. Piotr już wcale był dobrej myśli i rzekł :

— Dajcież pieskom odprawę, aby na drugi raz także dobrze gonily.

A wtedy już szedł od nas precz. Lecz idąc, spostrzegł Lelewela. Więc zatrzymał się przed nim i rzekł do niego te słowa :

— A Waśc chowaj dobrze swój raptularz, bo kto wie, ażali go nie będziesz potrzebował na potem.

A kiedy św. Piotr odszedł, Wojski przyłożył do ust swój róg centkowany i zatrąbił.

Wysłuchawszy rogowej arcydzieła sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Aż nakoniec Wojski do góry

Podniósł róg — i tryumfu hymn uderzył w chmury.

A my tymczasem zgromadziliśmy się wszyscy około owych stosów pobitej zwierzyny, — a Niemcewicz, pełen jak zawsze owego uśmiechu, w którym się miesza złośliwość z serdecznością, wylazł na pień starego dębu, wpatrzył się w główne sztuki naszego obłowu i rzekł słowami Torquemady :

— *Ite in pace!*

—*—



D Nr 131632



Cena

zł 105 gr

CUW — Kd 3r CWD. W-wa. 1864/Wa
Prl - 2. Zam. 3133. 10.XI.55. 2000 x 100.



38437/
2.